

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Czy Morawiecki idzie w niebyt?
- Mastalerek nie odbiera od Kaczyńskiego
- Polski kierowca, czyli rajdowiec
- Darmowe apki będą bardzo drogie



WYSOKIE OBCASY
Magdalena Cielecka: Życ i umrzeć po swojemu



• **GRAFFITI NA MURZE.**
Flaga palestyńska i izraelska, a między nimi płynie ława
FOT. SHUTTERSTOCK

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

4 4>

9 770860 908167

Zapomniani
kościuszkowcy Czołg 102 nie był Rudym, ale jechał nim Szarik



Oddam Polskę Polakom Taki pomysł miał Tadeusz Mazowiecki na rządzenie

Matczak: Trzeba karać za zło, ale nie zaczynajcie od pomników ▶7

Agnieszka
KublikPożegnanie
z TVP

Jest nieuniknione, niezbędne i sprawiedliwe. Bo czy może istnieć nadal stacja, której wyznacznikiem poziomu kultury artystycznej jest obecność Zenka Martyniuka i nieobecność Olgi Tokarczuk? A kultury politycznej – szkalowanie Tuska?

Ja bym nawet nazwę zmieniła, bo ta obecna kojarzy się fatalnie. Wedle CBOS w 2012 r. zaledwie 12 proc. postrzegało programy informacyjne i publicystyczne telewizji publicznej jako niewiarygodne. Dziś 47 proc. Dla szyldu TVP nie ma już więc ratunku. Może PolTV? PiTV? PoTV? To tylko żartobliwe propozycje, ale może na serio zrezygnować z tego skompromitowanego szyldu?

I dla „Wiadomości” trzeba znaleźć nową nazwę. I nowe twarze, żeby telewizji publicznej nie firmowali Holecka, Adamczyk, Rachoń, Ogórek...

Skoro Kaczyński jest im wdzięczny za ich dokonania, to najlepsza rekomendacja, by ich z tej nowej telewizji zwolnić, bo na co dzień oblewali lukrem władzę i cykutą opozycję. Legalnie zwolnić, rzecz jasna, co nie będzie trudne – tyle razy łamali ustawę medialną.

Czy może istnieć nadal stacja, której wyznacznikiem poziomu jest obecność Zenka Martyniuka i nieobecność Tokarczuk?

Nowa władza nie może jednak zapomnieć, że telewizja publiczna to nie tylko informacja i publicystyka. Kultura i rozrywka okulały, przetrąciło je disco polo, rozwały klikiwość martyrologiczna i werwa hur-rapatriotyczna. W prime timie zapanowały szmira i narodowy

kicz. Seriale historyczne jak latynoskie telenowełe, teatr telewizji zmieniony w publicystykę historyczno-polityczną. Polityka dobila kulturę.

I dobila dobre obyczaje. Czy pamiętacie, że w grudniu 2019 r. nie było transmisji z przyznania Oldze Tokarczuk literackiego Nobla (Jacek Kurski, wtedy szef TVP, się zaklinał, że telewizja „nie miała technicznych możliwości”). Ale za to Zenon Martyniuk okupował czas najlepszej oglądalności.

Lecz nowa władza musi też pamiętać, że nie wystarczy posprzątać, żeby było lepiej. Telewizja publiczna, jakiej my wszyscy – z miast i wsi, głosujący na zwycięską opozycję i głosujący na PiS – potrzebujemy, wymaga stałego finansowania. Czysto rynkowe wskaźniki nie mogą być jedynym wyznacznikiem, co produkować, a czego nie. Jeśli nie wesprzemy telewizji publicznej, nie możemy od niej oczekiwać misyjności.

Nieraz słyszałam: ale kultura wysoka to dla dwóch trzech społeczeństw nuda. Że co? Nie można zakładać, że Polska – w domyśle, ta spoza naszej bańki – składa się z ludzi pozbawionych smaku, krytycyzmu i ciekawości świata.

Gdy nowa TVP wyróżni się spośród komercyjnej głupawki mądrością, tematami, zapraszającymi nazwiskami, poziomem realizacji – ludzie będą ją namiętnie oglądali. ●

Nairobi
Smok i słoń

Brytyjska królowa Kamila karmi niemowlę słonia podczas wizyty w sierocińcu dla słoni Sheldrick, na obrzeżach Nairobi w Kenii. **Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

OW85HL2

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 4-5.11.2023 r.

The Beatles znów razem
Nieznany kawałek Lennona

To brzmi, jakby John był tu razem z nami. Ale odlot! – mówi Ringo Starr.

Nowa płyta Beatlesów już się nigdy nie ukaże, ale dzięki nowoczesnej technologii fani mogą się cieszyć utworem „Now and Then”, którego premiera odbyła się w czwartek.

– Móc w 2023 roku nagrać piosenkę The Beatles, której nikt jeszcze nigdy nie słyszał, to naprawdę jest podniecające – mówi o kompozycji Paul McCartney.

„Now and Then” powstała w latach 70., John Lennon nagrał ją na kasetę w swoim nowojorskim mieszkaniu. W latach 90. wdowa po Lennono Yoko Ono wręczyła Paulowi McCartneyowi kasetę z napisem „Dla Paula”. Nagranie przeleżało, bo Paul, Ringo Starr i George Harrison nie mieli pomysłu, co z nim zrobić. Potem się okazało, że technologia jest wciąż za słaba, żeby z zarejestrowanego



przez Lennona materiału wykreślić coś, co brzmiałoby dobrze – szum tła był zbyt intensywny, a dźwięk fortepianu zamulał odbiór. Pomogli im reżyser Peter Jackson, jego ekipa fachowców i sztuczna inteligencja, by z nagrania wydestylować głos Lennona i pozbyć się szumu.

„Now and Then” nazywana jest ostatnią piosenką Beatlesów. Ale nie jest ostatnim wydawnictwem. W przyszłym tygodniu, 10 listopada, do sprzedaży trafią nowe, poszerzone wydania kolekcji 1962-66. ●

Łukasz Kamiński

Andrzej rysuje

Poszukiwany
nawet pod
ziemią

Gdy zamykaliśmy to wydanie, policja nadal poszukiwała Grzegorza Borysa, podejrzanego o zabójstwo syna. Śledczy używają georadaru, bo Borys budował w lesie ziemianki

• Więcej ► Wyborcza.pl

FOT. POMORSKA POLICJA

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Na imieniny
proboszcza
nie chodziłem

„Żałuję, że głosowałam za obecnością w Trybunale Konstytucyjnym Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza” – wyznaje posłanka Magdalena Sroka, dziś Trzecia Droga, dawniej Porozumienie Gowina. **Marcin Wójcik przepytuje postów Trzeciej Drogi**

Bio-
myślenie

A gdyby zamiast stadionu zbudowali system do zagospodarowania odpadów? **Z Wojtkiem Kamińskim, specjalistą od recyklingu, rozmawia Agnieszka Rodowicz**

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Poniedziałek

Książka
na czasie

1 Polska premiera książki „Drobnny szczegół” Adanii Shibli, palestyńskiej pisarki, z którą odwołano spotkanie na targach książki we Frankfurcie, bo wypadło kilka dni po ataku Hamasu. Zdaniem krytyków literackich to najbardziej aktualna powieść o Izraelczykach i Palestyńczykach.



FOT. NATIONAL BOOK FOUNDATION/DOMENA PUBLICZNA, ALBERT ZAWADA, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Środa

100 lat
Hena

2 Józef Hen, pisarz, publicysta, dramaturg, reportażysta, scenarzysta filmowy, autor m.in. powieści „Crimen”, esejów „Nie boję się bezsensnych nocy”, wspomnień „Nowolipie”, kończy 100 lat.



Piątek

Dogadana
koalicja?

3 Krzysztof Gawkowski, przewodniczący klubu Lewicy, powiedział w TVN 24, że do końca przyszłego tygodnia umowa koalicyjna powinna być ustalona. Czy zostaną podane nazwiska członków rządu i marszałków? Tego nie powiedział



Cytat tygodnia



Niestety, większość polskiego społeczeństwa w ostatnich wyborach nie przyjęła tego przekazu o suwerenności. Większość uznała, że nie warto suwerenności bronić

PROF. RYSZARD LEGUTKO
europoseł PiS, wPolityce.pl

Konflikt izraelsko-palestyński

Podpalony lont antysemityzmu

Sytuacja na Bliskim Wschodzie zaraża resztę świata nienawiścią. Od USA przez Europę po Rosję i Chiny mnoży się antysemicka przemoc. Rośnie też liczba aktów islamofobii.

Stefanicki



Polowanie na Żydów urządzone w niedzielę w Dagestanie przez tłum wymachujący palestyńskimi flagami to chyba najbardziej ekstremalny przykład trendu narastającego od 7 października. Tego dnia komanda Hamasu wtargnęła do Izraela i zabiła 1,4 tys. ludzi. Jak dotąd odwet Izraela kosztował życie ok. 8 tys. Palestyńczyków. Dane zebrane przez amerykańską Ligę przeciwko Zniesławieniom (ADL) pokazują, że nowa fala antysemityzmu nie ogranicza się do jednego regionu ani kontynentu.

Przybywa nienawiści

W Niemczech odnotowano 240-proc. wzrost liczby incydentów antysemickich. 300-proc. – w Austrii. Budynki w Berlinie, w których mieszkają Żydzi, oznaczono gwiazdami Dawida, synagogę obrzucono koktajlami Molotowa. Niemiecki komisarz ds. antysemityzmu przestrzegł przed cofnięciem się do „najstraszniejszych czasów”.

We Francji, która ma największą w Europie społeczność żydowską i muzułmańską, doszło do większej liczby incydentów antysemickich niż w ciągu całego ostatniego roku: zgłoszono 501 przestępstw, od obelg po grafitti, np. „Zabijanie Żydów jest obowiązkiem”. Po groźby śmierci i napaści.

W Wielkiej Brytanii zgłoszono ponad 600 incydentów antysemickich, co stanowi najwyższą liczbę, odkąd w la-

tach 80. XX w. zaczęto je rejestrować. To wzrost o 641 proc. w porównaniu z ub. rokiem.

W miejscach, w których odnotowuje się takie zdarzenia, wzrosła także liczba przestępstw z nienawiści na tle islamofobicznym. Według londyńskiej policji było ich w tym mieście 101, gdy w tym samym okresie 2022 r. – 42.

Human Rights Watch ubolewa, że po wybuchu wojny inne kraje poza Wielką Brytanią nie publikują statystyk incydentów związanych z islamofobią. Ponadto władze różnych krajów europejskich nałożyły nadmierne – zdaniem tej organizacji – ograniczenia na propalestyńskie protesty i wystąpienia.

Sondaż przeprowadzony wśród społeczności żydowskich w Europie przez Agencję Praw Podstawowych Unii Europejskiej wykazał, że zdaniem 90 proc. respondentów antysemityzm się nasila i coraz więcej Żydów zastanawia się nad opuszczeniem Europy. Niestety, ankietarzy nie dopytali, dokąd Żydzi chcieliby się udać. Bo wydaje się, że wszędzie jest podobnie.

W Stanach Zjednoczonych, kraju generalnie bardzo przychylnym Żydom, w dniach 7-23 października Liga przeciwko Zniesławieniom odnotowała 312 incydentów antysemickich, co daje wzrost o 388 proc. rok do roku.

Natomiast Rada ds. Stosunków Amerykańsko-Islamskich podała, że otrzymała blisko 800 skarg na in-

cydenty motywowane uprzedzeniami wobec Palestyńczyków i Arabów – to najwyższy poziom od 2015 r. (trzykrotnie więcej niż w ubiegłym). Najstraszniejszym było śmiertelne pchnięcie nożem muzułmańskiego chłopca w Illinois.

Antyizraelska lewica

Wielu ekspertów wskazuje na negatywne przekonania na temat Żydów, które – choć zawsze obecne – ujawniają się w okresach napięcia społecznego. Badania potwierdziły wzrost opinii antysemickich w internecie podczas pandemii COVID-19 i po rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym zeszłego roku.

O ile dawniej dominował antysemityzm konserwatywny, bazujący na przekonaniu, że Żydzi potajemnie rządzą światem, o tyle obecnie coraz większy jest udział postaw antyizraelskich. Według jednego z badań 91 proc. ostatnich incydentów w Europie ma związek z konfliktem palestyńskim, nie z „żydowskimi bankierami”. I ten nurt bardziej angażuje osoby o poglądach lewicowych.

W USA szczególnie kampusy uniwersyteckie są sceną potyczek grup zatroczonych bardziej o bezpieczeństwo Izraelczyków z protestującymi przeciwko zabijaniu Palestyńczyków, przy czym ci ostatni dominują. W sobotę Uniwersytet Cornell Hillel radził żydowskim studentom, by trzymali się z daleka od budynku koszernej jadalni, bo ktoś zagroził, że wystrzela „wszystkie żydowskie świnię”. Jared Kushner, zięć i doradca byłego prezydenta Donalda Trumpa, stwierdził w niedzielę, że dla amerykańskich Żydów (sam jest jednym z nich) Arabia Saudyjska jest bezpieczniejsza niż kampusy uniwersyteckie w USA.

Przedłużona nienawiść

Można dyskutować, co jest antysemityzmem. Na pewno nie jest nim każda krytyka Izraela, jak by chcieli – zwłaszcza prawicowi – Izraelczycy. Nawet nawoływanie do przemocy – np. życzenie śmierci izraelskim żołnierzom lub kibicowanie Hamasowi – niekoniecznie musi mieć podłoże antysemickie, choć może być tak ujmowane w statystykach. Czy bardzo popularne hasło o Palestynie „od rzeki do morza” oznacza chęć zniszczenia państwa Izrael czy narodu żydowskiego? Gwiazda Dawida na szubienicy dla jedynych będzie symbolizowała zagładę narodu żydowskiego, dla innych – może nieświadomych historycznych konotacji tego połączenia – jedynie niepopularne państwo Izrael. Albo wręcz Stany Zjednoczone. Bo w wielu krajach nienawiść do Izraela jest tylko przedłużeniem nienawiści do Ameryki.

Na przykład Chiny nie mają tradycji antysemityzmu, Żydzi byli tam raczej podziwiani jako naród pracowity i zdyscyplinowany. Teraz w Pekinie uznano, że Izrael jest przydatnym narzędziem w rywalizacji z Waszyngtonem. Chińskie media państwowe oskarżają USA o przemykanie oka na izraelską agresję, a jednocześnie utrwalają stereotypy o żydowskim wpływie na amerykańską politykę. 10 października w państwowym kanale CCTV padło stwierdzenie, że „Żydzi, którzy stanowią 3 proc. populacji USA, kontrolują 70 proc. bogactw tego kraju”.

Podobną narrację słychać w Rosji, która ma bogate tradycje antysemickie oraz wielu prominentnych Żydów, więc antysemityzm jest wykorzystywany zarówno w globalnych, jak i w wewnętrznych rozgrywkach. ●

Robert Stefanicki

Koniec kariery Morawieckiego?

JAK „DZIKI” POSZEDŁ DO POLITYKI

**Za Tuska był liberałem,
potem populistą i radykałem prawicy.
Kim będzie teraz?**

PIOTR GLUCHOWSKI



Lider Konfederacji Sławomir Mentzen zaoferował milion złotych dla osoby, która ujawni nagraną przed dziesięciu laty w restauracji Sowa i Przyjaciele taśmę, na której prezes BZ WBK Mateusz Morawiecki omawia rzekomo zakup nieruchomości na podstawionych ludzi. Wedle wyjaśnień oskarżonych kelnerów takie nagranie istniało i zostało przez nich przekazane organizatorowi podsłuchów, powiązanemu z Kremlm przedsiębiorcy Markowi Falencie. Do akt śledztwa tej taśmy jednak nie włączono. Opinii publicznej ujawniono inne nagranie: niewinny tekst Morawieckiego o ludziach „zapiierdalających po II wojnie światowej za miskę ryżu, dzięki czemu gospodarki się odbudowały”.

– W grudniu 2014 roku Morawiecki powiedział oficerom ABW badającym aferę taśmową, że nigdy nie zetknął się z Markiem Falentą – mówi mi Tomasz Piątek, autor książki „Morawiecki i jego tajemnice”. – Tymczasem przedsiębiorca zeznał pod przysięgą w sądzie, że się znał. Potwierdza to dokumentacja biznesowej imprezy Big Data CEE Congress. Na jej stronie internetowej czytamy, że 10 lipca 2014 spotkali się członkowie rady programowej owego kongresu. Wymienione są nazwiska: Mateusz Morawiecki i Marek Falenta.

– Dlaczego to jest ważne?

– Podsłuchy pomogły PiS zdobyć władzę, a Morawieckiemu – zostać premierem mimo obciążenia wcześniejszą współpracą z Tuskiem. Czyżby Mateusz wyswatał PiS z Falentą, by ten przyniósł partii nagrania? Utorował mu drogę do gabinetu Kaczyńskiego? To mogłoby tłumaczyć wielką karierę polityczną Morawieckiego po tym, kiedy podsłuchy zrobiły swoje.

SZACHISTA BEZ KONIA

Odchodzący premier i żona Iwona są katolikami, rodzicami czwórki własnych oraz opiekunami dwójki adoptowanych dzieci (o adopcji pierwszy napisał „Super Express”, co wywołało cztery lata temu mały skandal). Są też multimilionerami, a jego otacza – pielęgnowany przez rodzinę – mit działacza opozycji, który od małego walczył o wolną Polskę.

– Wkroczył do polityki jeszcze przed urodzeniem, bo mama była z nim w ciąży akurat w marcu 1968 – mówi najstarsza siostra Anna w rozmowie z portalem Wszystkoconajważniejsze.pl.

– Poród się odbył w mieszkaniu, a syna odebrał ojciec, co ma wymiar symbolu – dodaje Piotr Gajdziński, współautor powieści o premierze książki pt. „Delfin”.

– Wyssał patriotyzm z mlekiem matki – ocenia w rozmowie z „Gazetą Wrocławską” przeszło 90-letnia, pochodząca z rodziny kresowej mama premiera Jadwiga. Jej nieżyjący już mąż i ojciec Mateusza – Kornel, fizyk na Politechnice Wrocławskiej, działał w opozycji długo przed Sierpnem ’80. Po wprowadzeniu stanu wojennego założył Solidarność Walczącą – radykalnie antykomunistyczną, domagającą się wyjścia wojsk sowieckich i pełnej suwerenności.

– Już mając trzynaście lat, zrywałem z kolegami czerwone flagi przed 1 maja – pochwalil się Morawiecki junior Igorowi Jankemu, autorowi książki o SW „Twierdza”. – Dzięki ojcu od początku rozumiałem, na czym polega konspiracja.

W niedużym mieszkaniu Morawieckich przy wrocławskiej ulicy Kilińskiej było więc dwóch konspiratorów i same kobiety. Poza mamą Jadwigą i najstarszą Anią jeszcze środkowa Marta i najmłodsza Marysia.

Warunki bytowe rodzina miała trudne – raz nawet przyszedł komornik. Mama z pensją nauczycielki, ojciec praco-

wał na uczelni z przerwami, bo przez lata ukrywał się przed SB, a jednocześnie zarządził, aby nie przekazywać rodzinie ani grosza ze środków zbieranych przez SW na walkę z komunistami. Schwytany w listopadzie 1987 siedział w izolacie przy Rakowieckiej, rok później dostał wybór: wyjazd albo proces i długoletnie więzienie. Wyjechał do Włoch, ale wrócił. Deportowany do Austrii wrócił po raz drugi, już konspiracyjnie. Ujawnił się dopiero w czerwcu 1990.

Do tego czasu Mateusz istotnie związał się z podziemiem. Pomagał przy drukowaniu „Biuletynu Dolnośląskiego” zdelegalizowanej „Solidarności”. Dużo przy tym czytał – od wczesnych lat szkolnych pochłaniał książki z biblioteki z korkami włożonymi w uszy, bo non stop chodzili w domu Wolna Europa albo Głos Ameryki. Już jako siedmiolatek nauczył się grać w szachy.

Anna Morawiecka dla Wszystkoconajważniejsze.pl: – Kiedyś ojciec obiecał, że jeśli w ciągu roku Mateusz da mu mata, dostanie w prezencie konia, o którym marzył.

Pokonał ojca po trzech miesiącach. Konia nie dostał.

LEGENDA TROCHĘ ROZDĘTA?

– Pamiętam go jako chłopca czytającego i nieco zadufanego rodziną w gronie siostr – mówi mi Stanisław Huskowski, prezydent Wrocławia w latach 1998-2002, działacz „Solidarności”, który z Władysławem Frasyniukiem i Józefem Pinio-rem ukrył przed stanem wojennym słynne 80 mln ze związkowego konta. – Mateusz nazywał mnie „wujkiem”, ale nie był nadmiernie ufny, rzekłbym raczej: wyniosły.

Jako nastolatek, przyjęty jeszcze przed pełnoletnością w szeregi SW, chadzał w nielegalnych demonstracjach trzeciomałowych i na msze „za ojczyznę”, które po 13 grudnia 1981 odprawiano trzynastego każdego miesiąca.

Anna: – Raz po wyjściu z kościoła zatrzymało go ZOMO i kiedy na pytanie o nazwisko usłyszeli „Morawiecki”, wciągnęli brata do radiowozu, obili pałami. Wrócił do domu w sińcach, co potem opisał w „Biuletynie”, podpisując „Dziki”.

Ten pseudonim sporo mówi. Anna w zastępstwie rodziców chodziła na wywiadówki brata i wspomina, że „Mati bywał niegrzeczny i nieusłuchany”. Porzucił szkołę muzyczną, wyładował we wrocławskim IX LO. Tam również sprawiał kłopoty wychowawcze, a i kolejne zatrzymania kończyły się dlań coraz gorzej. Wedle rodzinnej legendy esbecy straszili go wymierzonym w głowę pistoletem; grozili, że najmłodszą siostrę mogą zgwałcić nieznani sprawcy; chcieli wiedzieć, gdzie się ukrywa ojciec. Encyklopedia Solidarności podaje, że w maju 1987, „by uniknąć zatrzymania w czasie matury, [Mateusz] położył się na oddziale szpitalnym, który opuścił w towarzystwie świadków tylko na egzamin”.

Stary znajomy Morawieckiego seniora z opozycji, nazwijmy go X, przedstawia mi inną wersję: – Kornel był szalenie apodyktyczny wobec żony i dzieci, jak to się dzisiaj mówi: przemocowy. Mateusz rósł znerwicowany, uparty, dostawał od ojca lania, a w czwartej klasie liceum zachorował neurologicznie i rzeczywiście wychodził z lecznicy, aby zdawać maturę.

Udało się zdać świetnie, lecz bezpieka czuwała. Już po schwytaniu ojca nakryli syna w trakcie wieszania transparentu SW przy wrocławskim placu Kościuszki. Ponownie go pobili.

– Spaliliśmy za to domek letniskowy szefa wrocławskiej SB pułkownika Czesława Błażejewskiego – wyznał serwisowi Wszystkoconajważniejsze.pl by-

ły konspirator, przyjaciel Kornela i także pracownik naukowy wrocławskiej polibudy, obecnie honorowy profesor Uniwersytetu Przyrodniczego, Wojciech Myślecki.

Prawda jest inna: Myślecki z drugim działaczem SW, seniorem Romanem Lipińskim, byłym żołnierzem WiN, chcieli spalić dachę głównego esbeka w mieście, lecz pomylili działki i podpálili altanę jego sąsiadowi. Okazało się jednak, że w sumie nie szkodzi, bo sąsiad był zastępcą Błażejewskiego w bezpiece.

W tym czasie Mateusz został studentem historii UW. Przez kolejne lata działał w zdelegalizowanym Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, brał udział w strajkach okupacyjnych, wydawał z kolegami gazetkę plakatową „Wolni i Solidarni”.

Anna Morawiecka: – Mama bała się, że Matiego wyrzucą za to z uczelni, zabiorą do wojska. Próbowала mu perswadować, ale wyciągnął indeks ze środnią 5,0 i mówi: „Jakieś pytania?”.

Władysław Frasyniuk zdradza mi, że Mateusz nie był jednak w konspiracji rozpoznawalny: – Z rodziny Morawieckich, poza samym Kornelem, znano tylko Annę, która w odróżnieniu od brata nie chwali się teraz przeszłością. Jedynie, co w latach 80. słyszałem o Mateuszu, to skargi koleżanki, nauczycielki z dziewiątki, że młody Morawiecki nie umie się zachowywać.

„Ja również nigdy nie słyszałem, aby on działał w konspirze – mówi na kartach „Delfina” poznaniak Rafał Grupiński, kiedyś współpracownik SW, potem poseł i senator Platformy. – A przecież mieliśmy doskonały obieg informacji i dobre kontakty z wrocławskim podziemiem”.

Także dr Łukasz Kamiński, historyk z UW, twierdzi, że „relacje o działalności Mateusza w Solidarności Walczącej pochodzą przede wszystkim z jego kręgów rodzinnych”.

Huskowski, ten od 80 mln: – Po latach mówił o sobie, że go prześladowano... mnie nic takiego nie wiadomo. Solidarność Walcząca była w podziemiu enklawą na uboczu, a on był tylko pionkiem z tej enklawy. To, że go rzekomo do lasu wywieziono, że mu esbecy kazali kopać grób – nie wierzę. Kornel był nazbyt znanym opozycjonistą, także na Zachodzie, aby bezpieka robiła takie rzeczy synowi. Ta legenda jest nadto rozdęta.

Inaczej młodego Mateusza wspomina Marek Krukowski, działacz podziemnego ruchu Wolność i Pokój, wyrzucony z wrocławskiej Akademii Medycznej za odmowę złożenia przysięgi w studium wojskowym (sprzątał potem wagony PKP). W 1988 był uczestnikiem głodówki zorganizowanej w Bydgoszczy w geście solidarności z ukrywającym się Morawieckim seniorem:

– Wierzę, że Mateusz zaczął działać jako 13-latek, bo sam wypisywałem na murach hasła przeciw komunie, gdy miałem czternaście i pół. Jako student Morawiecki był już rozpoznawalny, a fakt, że ci z głównej „Solidarności” go nie pamiętają, wynika z ich ówczesnego odklejenia od tego, co się działo na dole. – A co się działo?

– Nas, młodych, działały we Wrocławiu setki. Był WiP, była Solidarność Walcząca, była Pomarańczowa Alternatywa. To się przenikało i Mateusz w tym był.

Potwierdza to Waldemar Kras, w tamtych latach konspiracyjny drukarz i lider Międzyszkolnego Komitetu Oporu, który dziś prowadzi we Wrocławiu restaurację z centrum edukacyjnym Konspira: – Siedziałem razem z Mateuszem na milicyjnym dolku po demonstracji Pomarańczowej Alternatywy w 1988. Widywaliśmy się także na innych akcjach protestu. Dziś Władysław Frasyniuk nie przypomina go sobie, bo jest po drugiej stronie sceny politycznej.

Na dowód Kras przysłał mi odbitkę milicyjnego raportu sprzed 35 lat: „Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami ulotkowymi, w rejonie przejścia podziemnego na ul. Świdnickiej we Wrocławiu zebrala się grupa około 80-90 osób w młodym wieku, z których część – na sygnał – przebrała się w stroje karnawałowe i maski, trzymała baloniki itp. Grupa ta – mimo wezwań funkcjonariuszy MO do rozejścia – przemieszczała się śpiewając piosenki i skandując okrzyki o treści karnawałowej (...). Ponieważ zebrani nie reagowali na wielokrotne komunikaty o niezakłócanie ruchu ulicznego, funkcjonariusze MO przystąpili do legitymowania. Do Dzielniczowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Wrocław Stare Miasto dowieziono 52 osoby, w tym znanych z angażowania się w działalność WiP Marka Krukowskiego, Waldemara Fydrycha [założyciel Pomarańczowej Alternatywy], Waldemara Krasa, Mateusza Morawieckiego. (...) Rozmowy ostrzegawcze przeprowadzono z 19 współorganizatorami zajścia, po których wraz z pozostałymi osobami zostali zwolnieni”.

PATENT NA LEKKĄ PRACĘ

„Młody Morawiecki był wybitnym studentem” – twierdzi na kartach „Delfina” wrocławski historyk, prof. Włodzimierz Suleja. Jego słuchacz obronił magisterkę w 1992 roku. Temat pracy: „Geneza i pierwsze lata Solidarności Walczącej”. Materiałem źródłowym było przeszło 50 rozmów z ludźmi opozycji, m.in. Karolem Modzelewskim, Frasyniukiem, Pinio-rem, Myśleckim. Ten ostatni uważa, że praca przyszłego premiera to „bez-cenna dziś i unikatowa historia ruchu oporu”. Z lustracyjnym zacięciem w rozdziale „Aresztowania i przesłuchania” magistrant ujawnił działaczy, którzy po zatrzymaniach podjęli współpracę z SB: „W wypadku osób, które nie sprawdziły się w warunkach konspiracji (...), nie ma konieczności zatajania nazwisk” – napisał.

– Po latach, już jako prezes BZ WBK, mocno się ekscytował nazwiskami z listy Macierewicza i późniejszej listy Wildsteina – mówi mi współautor „Delfina”, Gajdziński, który był w tym banku rzecznikiem prasowym i dyrektorem departamentu PR. – O niektórych osobach ze świata polityki w prywatnych rozmowach mówił, posługując się ich pseudonimami tajnych współpracowników.

Bankier Morawiecki miał rozmach – do wypasionego audi zamówił tablice W2 AK44 – hold dla powstańców

Po magisterce, dzięki staremu koledze ojca Wojciechowi Myśleckiemu, Mateusza przyjęto na podyplomowe studia Business Administration na Politechnice Wrocławskiej. Połowę grupy szczęśliwców stanowili ludzie związani z opozycją, m.in. Zbigniew Jagiello, późniejszy prezes banku PKO BP.

W tym czasie Morawiecki z Jagiellą próbowali równolegle z nauką zarobić w spółce Kompania Przemysłowo-Handlowa Reverentia, którą założyli byli opozycjonista i przyszły wydawca kwartalnika „Opcja na Prawo” Józef Bialek. Handlowali sprzętem przeciwpożarowym, artykułami medycznymi, ogrodnictwami... szło kiepsko. Jagiello odszedł w swoją stronę, Morawieckiemu powierzono redagowanie lokalnego pisma „Dni”. W założeniu solidarnościowo-prawicowa gazeta miała wyprzeć z rynku postkomunistyczną „Wrocławską” i „Wieczór Wrocławia”, ale skończyło się kląpą. Znowu musiał pomóc ówczesny pełnomocnik rektora politechniki i szef doradców wojewody wrocławskiego Myślecki. Dzięki niemu młody historyk wyjechał na staż w Deutsche Bundesbank. W 2016 roku, już jako wicepremier i minister rozwoju, odwdzińczy się Myśleckiemu posadą członka rady nadzorczej KGHM.

– Po stażu w Bundesbanku bez większych problemów dostał posadę we wrocławskim Banku Zachodnim – mówi mi dalej informator X. – To była początkowo instytucja nomenklaturowa związana z wojskowymi służbami specjalnymi i właśnie dlatego go chcieli. Pierwszy prezes, powołany jeszcze za komunę Tadeusz Głuszczyk, był prominentnym członkiem PZPR. Po 89 roku towarzysz się połapał, że musi przyjąć ludzi związanych z „Solidarnością”. Kto mógł być lepszy od syna sławnego Kornela z dyplomem MBA?

W 1998 roku Morawiecki junior był już najbliższym doradcą Głuszczyka i w tym charakterze zabiegał m.in. o to, aby miasto otworzyło w Zachodnim rachunek.

– Chodził w tej sprawie do prezydenta Bogdana Zdrojewskiego, którego byłem zastępcą; dawał nam wykład, jak Wrocław korzysta, że ma świetny bank, który płaci na miejscu podatki – wspomina Stanisław Huskowski. – Był irytujący. Niczego nie wskórał, bośmy się nie chcieli poddać naciskowi.

W tym samym czasie Morawiecki pomagał w tak krytykowanej później prywatyzacji („wypzedaży majątku państwowego”). Konkretnie: w sprzedaniu udziałów BZ irlandzkim inwestorom z Allied Irish Banks. Skontaktował przyszłego prezesa Jacka Ksenia (następcę Głuszczyka) z innym byłym opozycjonistą, ówczesnie posłem Akcji Wyborczej Solidarność Tomaszem Wójcikiem. Chodziło o to, by on i inni wrocławscy parlamentarzyści rządzącej koalicji AWS-Unia Wolności poparli sprzedaż banku. Wójcik znany jest głównie z tego, że w 1997 roku w środku nocy zawiesił w Sejmie krucyfiks, który tam wisi do dziś. Jego spotkanie z inwestorami z Zielonej Wyspy odbyło się w pubie irlandzkim przy placu Solnym we Wrocławiu, a Morawiecki odgrywał rolę gospodarza-tłumacza. Wójcik dał się przekonać do poparcia sprzedaży, zdecydował argument, że przyszli właściciele są katolikami.

Sprzedanym BZ zarządzał (choć formalnie był tylko wiceprezesem) Liam Horgan, który wcześniej kierował placówką AIB w niewielkim mieście Cork. Menedżerowie banku wspominają w „Delfinie”, że irlandzki namiestnik „traktował Polaków, jak głupków, którzy nic nie wiedzą”.

– Morawiecki szybko się w łaski Horgana wkupił – mówi mi Piotr Gajdziński. – Był gotowy na każde zawołanie Irlandczyka. Stał się w banku szarą eminencją.

„Nie pracował ciężko, lecz wymyślił patent, aby podkreślić swoje zaangażowanie – zdradza w książce były pracownik BZ. – Wysyłał maile w weekendy, albo późno w nocy, co miało sugerować, że wciąż siedzi w pracy”.

Dogadzał Irlandczykom także w inny sposób: jako szef bankowej administracji zadbał, by luksusowo wyposażać dom i apar-

tament, które wynajęto dla Horgana i jego współpracownika Anthony’ego Mackeya. W tym czasie bank zwalniał pracowników, bo pierwsze dwa lata pod rządami Irlandczyków skończyły się stratą. Gdyby w trzecim roku nic nie uległo zmianie, Główny Inspektorat Nadzoru Bankowego musiałby wprowadzić zarząd komisaryczny. Nowi właściciele uciekli do przodu: ponieważ mieli już udziały w dobrze prosperującym Wielkopolskim Banku Kredytowym, połączyli oba przedsięwzięcia, by stworzyć bank BZ WBK. Do tego awansowali szefa administracji.

– Raptem po trzech latach pracy w sektorze finansowym Mateusz został członkiem zarządu trzeciego czy czwartego co do wielkości banku w kraju i miał widoki na fotel prezesa – mówi mi Gajdziński.

Widoki ziściły się w maju 2007, gdy Morawiecki zajął miejsce Jacka Ksenia.

– Półtora miesiąca później siedziałem z Mateuszem w jego gabinecie w warszawskiej siedzibie banku i omawialiśmy treść listu, jaki miał rozesłać do pracowników jako nowy prezes – wspomina dalej współautor „Delfina”. – Zapytał mnie wówczas: czy myślę, że go interesuje zwiększanie lub zmniejszanie oprocentowania kredytów? „Moim prawdziwym celem jest polityka”. Dwa lata później, przy innym spotkaniu, uściślił, że ma życiowy plan na fotel prezydenta Polski.

Przez chwilę wydawało się, iż droga do Pałacu będzie wiodła przez stanowisko prezesa NBP. Taką informację po śmierci Sławomira Skrzypka w katastrofie smoleńskiej podało kilka serwisów.

W 15 lat Morawiecki zarobił ponad 35 mln zł.

Także dzięki kredytom frankowym

– To ja zadzwoniłem do jednej z największych gazet i wcisnąłem ten rzekomy przebieg – zdradza teraz Gajdziński. – Liczyliśmy na sprzężenie zwrotne. Skoro piszą o tym gazety, warto rzecz rozważyć.

Ostatecznie prezesem banku narodowego został Marek Belka, lecz w opublikowanym wówczas wikipedycznym biografii Morawieckiego znalazła się informacja: „w 2010 był poważnym kandydatem na stanowisko prezesa NBP”. Według Gajdzińskiego biogram napisał asystent przyszłego premiera.

NOWY ZELIG

Być może pierwszą osobą, która publicznie nazywała wrocławianina „banksterem, oszustem i kłamcą”, była Barbara Husiew, wiceprezesa stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu. Razem z mężem wzięli w BZ WBK frankowy kredyt hipoteczny, umowę podpisali półtora roku po tym, gdy Morawiecki objął tam fotel prezesa. Pożyczyli 262 tys., po 10 latach spłacania odsetek dług urosł do pół miliona. Mąż Barbary popełnił samobójstwo.

Tymczasem Morawiecki – m.in. w czasie pobytu w Davos w 2018 roku – zarzekał się w obecności dziennikarzy, że BZ WBK był jednym z nielicznych banków, które toksycznych kredytów frankowych nie udzielały.

– Mijał się z prawdą, słusznie zakładając, że wiedza żurnalistów jest powierzchowna – mówi mi dalej Gajdziński. – Szczególnie że wtedy w Davos nie było dziennikarzy zajmujących się sektorem bankowym.

– Jako prezes BZ WBK nie tylko oferował, ale wręcz promował kredyty walutowe – dodaje Tomasz Piątek. – Zachwalał je publicznie m.in. w 2013 roku, są na to publikacje.

Z rządów Ksenia pożyczki frankowe były dostępne wyłącznie dla osób zarabia-

jących w dewizach. Morawiecki to zmienił. W 2007 roku portfel kredytów frankowych BZ WBK wynosił 500 mln zł. Po niecałych dwóch latach rządów nowego prezesa – 2,3 mld. Szef banku zgodził się nawet na konkursy dla najwydajniejszych sprzedawców kredytów. Raporty o wysokości udzielonych pożyczek frankowych szły prosto na jego biurko. Premie dla managementu rosły, bogacił się i Morawiecki: od 2001 roku, gdy został członkiem zarządu BZ WBK, do 2015, gdy wszedł do rządu Beaty Szydło, zarobił ponad 35 mln zł.

Zmienił konfekcję i styl. Zamówił audi A6 z maksymalnym wyposażeniem, a kiedy okazało się, że w polskich salonach jest tylko jeden taki egzemplarz – niebieski, kazał go przemalować na czarno. Jako kierowcę zatrudnił byłego drukarza „Biuletynu Dolnośląskiego” i działacza SW, który po 89 roku pracował jako taksówkarz. Z czasem miejsce A-szóstki zajęła A-ósemka, dla której Morawiecki zamówił tablice rejestracyjne W2 AK44. Hołd dla powstańców warszawskich. Zaczął też nosić szyte na miarę garnitury, do tego koszule z monogramem, spiniki do mankietów. Jednak gdy w 2009 roku „Rzeczpospolita” opublikowała ranking najlepiej zarabiających bankowców, gdzie z pensją 3,3 mln rocznie znalazł się na trzecim miejscu, strasznie się zdenerwował. Zadzwoił do ówczesnego naczelnego „Rzeczy” Pawła Lisickiego i załatwił „odkręcającą” publikację już nazajutrz. Tytuł: „Cięcie kosztów nie ominie top managementu”. Najistotniejszy fragment: „Zarobki prezesa BZ WBK Mateusza Morawieckiego spadły”. Obok infor-

Czy milion złotych wystarczy, by poznać prawdę o Morawieckim w restauracji Sowa i Przyjaciele?

macja o dużo wyższych dochodach bankierów niemieckich i francuskich.

W tym czasie wrocławianin żył jeszcze doskonale nie tylko z głównymi mediami, ale i władzą PO-PSL. Z Grzegorzem Schetyną, wiceprzewodniczącym Platformy, wcześniej członkiem SW i NZS, jadali śniadania w hotelu Radisson nieopodal stołecznej siedziby banku. 12 sierpnia 2009 Morawiecki udzielił „Rz” wywiadu na temat strategii finansowej gabinetu Donalda Tuska: „Polityka, którą prowadzi premier i polski rząd, jest dobrą polityką fiskalną i gospodarczą (...)

pan premier osobiście odgrywa ważną, stabilizującą rolę”.

Pół roku później, w marcu 2010, bankier zasiadł nawet w Radzie Gospodarczej przy premierze Tusku. To wówczas – co lider PO wypomni mu w telewizyjnej debacie przed wyborami 2023 – sporządził dla niego notatkę ze słowami: „mam nadzieję, że rząd będzie z determinacją działał w celu podniesienia wieku emerytalnego”. Co ciekawe – skorzystawszy z zaproszenia do tuskowego gremium, Morawiecki odrzucił ustne zaproszenie do Narodowej Rady Rozwoju, którą rok wcześniej powołał prezydent Lech Kaczyński. A w radzie przy premierze popierał – jak zdradza inny jej członek, ekonomista liberal prof. Bogusław Grabowski – „wszystkie dokonania III RP i działania liberalizujące gospodarkę”.

„Teraz zaprzeczam temu, co wcześniej głosił – mówi w „Delfinie” profesor. – Takiego człowieka w życiu nie widziałem!”.

Autor, Gajdziński, dodaje: – Morawiecki to nowy Leonard Zelig. Za Tuska był liberałem, po 2015 roku stał się populistą i radykałem prawicy, ciekawe, kim będzie teraz.

Do tego pytania wrócimy.

BANK DLA HARCERZY

Ogłoszenie przez Sławomira Mentzena nagrody za nagranie, które mogłoby skompromitować premiera, zostało powszechnie odczytane jako próba przykrycia nagrania sporządzonego pół roku wcześniej, a wymierzonego w Konfederację i ujawnionego przez TVP Info, prawdopodobnie na zlecenie PiS, w tygodniu przed wyborami. Na tej taśmie prezes NIK Marian Banaś, ojciec konfederackiego kandydata do Sejmu Jakuba Banasia, zapewnia związanego z Platformą prawnika Marka Chmaja, że zgodził się na kandydowanie syna głównie po to, aby mieć wpływ na konfederatów i zapobiec ich ewentualnej koalicji z PiS.

Dalsza część też jest ciekawa, bo Banaś senior zapewnia Chmaja, że przed wyborami dostarczy „kosz prezentów”, czyli ogłosił miażdżące władzę raporty NIK (jak obiecał, tak zrobił). Jednak poszukiwana przez Mentzena taśma „o słupach” – o ile się znajdzie – może być jeszcze ciekawsza, zważywszy, że Morawiecki i jego żona przez dwie ostatnie dekady kupowali, sprzedawali i dzierżawili domy, mieszkania, lokale użytkowe oraz parcele warte około 90 mln zł.

Chodzi m.in. o 15-hektarową działkę na wrocławskim Oporowie kupioną w 2002 roku po znajomości od Kościoła za 700 tys. zł, a sprzedaną za 15 mln; dalej o lokale przy wrocławskim placu Grunwaldzkim (650 m powierzchni, wartość 7,5 mln) i przy ulicy Olawskiej (226 m i 3 mln); jeszcze dalej o działkę w Żernikach Wrocławskich; trzy wrocławskie mieszkania o powierzchni od 29 do 75 m i na deser o luksusową, wartą około 10 mln willę na warszawskim osiedlu, gdzie obecnie państwo Morawieccy mieszkają.

W czasie gdy prezes BZ WBK kupował te nieruchomości (później część przepisał na żonę), Irlandczycy z AIB – docieńczy kryzysem na wyspie – sprzedali jego miejsce pracy Hiszpanom z Santander, ówczesnie największej grupy finansowej w UE. Po wchłonięciu kolejnej firmy – Kredyt Banku – powstał znany obecnie Santander Bank Polska SA. Morawiecki swe stanowisko zachował, a nawet się umocnił. Zaczął przyjmować do pracy potomków działaczy SW.

– Miejscem ich desantu był przede wszystkim dział zarządzania marką, który nadzorował sam prezes – mówi mi dalej Gajdziński. – Byłem świadkiem, jak w stołecznej siedzibie jedna z nowych pracowniczek pytała jeszcze młodszą: „Twój ojciec też był internowany?”. Odpowiedź była twierdząca. Nie mam nic przeciw dzieciom ludzi, którzy walczyli o Polskę, rzecz w tym, że ci nowi nie pracowali dla banku. Ich zadaniem była promocja Morawieckiego juniora w mediach i elitach prawicy oraz wspieranie Morawieckiego seniora w wyborach prezydenckich 2010 [dostał 13 setnych procentu i zajął ostatnie miejsce], a potem w wyborach do

sejmiku dolnośląskiego, w których również poległ. Kiedy w obszarze zarządzania marką zatrudniono Piotra Trąbińskiego i Michała Kuczmierowskiego, działaczy Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, którzy ustawili krzyż smoleński na Krakowskim Przedmieściu, wszyscy zrozumieliśmy, że nasz bank jest dla prezesa jedynie trampoliną do skoku w politykę. Już wtedy, siedząc w radzie przy Tusku, nawiązał kontakty w PiS. Co potem przyznał osobiście Jarosław Kaczyński.

ZAKON Z MULTIMILIONEREM

9 listopada 2015 Morawiecki zrezygnował z banku, nie biorąc odprawy, co wszystkich zaskoczyło. Zadowolił się milionową premią i niespełna 14 tys. akcji BZ WBK kosztujących wtedy 290 zł za sztukę oraz prawami do kolejnych 3,8 tys. Miał je jeszcze w 2016 jako minister rozwoju i wicepremier u Beaty Szydło (w tym czasie kurs podskoczył do 360 zł), spieniężył całość w pierwszej połowie grudnia 2017, gdy objął tekę premiera. Co go wzbogaciło o kolejne pięć baniek. Wcześniej, bo w marcu 2016, został członkiem PiS.

Zdaniem Gajdzińskiego Kaczyński zdecydował się postawić na Morawieckiego, bo ten, planując przeskok do polityki, wyrobił sobie doskonałą markę po prawej stronie sceny. Po pierwsze, był synem Kornela, który jako poseł (najpierw Kukiz'15, potem Wolni i Solidarni) głosował często razem ze Zjednoczoną Prawicą. Po drugie, jeszcze jako prezes banku sponsorował (poprzez Fundację BZ WBK) mile PiS organizację – jak ZHR, publikacje – jak dodatek do „Rzeczypospolitej” pt. „Kresy-Syberia”, a także patriotyczne produkcje filmowe, jak „1920 Bitwa Warszawska”. Do tego fundacja organizowała konkurs z nagrodami „Pamiętamy o Żołnierzach Wyklętych”, a sam bank zamieszczał reklamy w niszowym, lecz propi-sowskim Radiu Wnet. Gajdziński twierdzi, że Morawiecki chciał nawet wrzucać ogłoszenia bankowe do stacji ojca Tadeusza Rydzka (gdzie po 2015 roku stanie się antenowym gościem), niestety – Radio Maryja jako zwolniony z podatków nadawca społeczny nie może puszczać reklam. Co ciekawe, Fundacja BZ WBK, która ujawnia na stronie internetowej dofinansowane projekty, nie udostępniła tabeli wydatków z kluczowego roku 2015.

Gajdziński: – Morawiecki wykorzystał pieniądze banku jako trampolinę do zajęcia miejsca w polityce. Gdy już został premie-rem, do fundacji wkroczyli ludzie z departamentu audytu. Nie udało mi się zdobyć końcowego raportu, lecz wiem, że stwierdzono łamanie procedur i dano zalecenie, aby na przyszłość „odciąć Fundację od prywatnych decyzji prezesa”.

Tomasz Piątek zgadza się (i pisze w książce), że wpompowane w prawicowe projekty pieniądze BZ WBK pomogły, lecz samo powołanie i trwanie na fotelu premiera syn Kornela zawdzięcza jednej usłudze: skontaktowaniu Nowogrodzkiej ze znanym mu wcześniej Falentą i jego współpracownikiem z firmy Hawe SA, twórcą wielkiej agencji pracy Work Service, multimilionerem Tomaszem Misiakiem, który – podobnie jak Falenta – działał również na rynku rosyjskim. Do 2011 roku był wrocławskim senatorem PO, lecz później skonfliktował się z partią. Powód: w 2008 roku przewodniczył senackiej komisji gospodarki narodowej, gdy przygotowywała ustawę o przemyśle stoczniowym, a potem Work Service bezprzetargowo zawarł z państwową Agencją Rozwoju Przemysłu kontrakt na doradztwo (czyli szukanie pracy) dla zwalnianych pracowników stoczni. Po ośmiu latach PiS wydaje się, że to niewielki skandal, lecz wówczas oburzone media pisały o „aferze stoczniowej”. „Misiak tworzył ustawę, a jego firma zarobi bez przetargu” – donosił serwis Money.pl. W efekcie Tusk zapowiedział wykluczenie Misiaka zarówno z partii, jak i klubu parlamentarnego. Biznesmen odszedł szybko z własnej woli. Pelen pretensji do Platformy przygotował dla PiS – zdaniem Piątka – „kosz ośmiorniczkowych prezentów”.

To on miał wabić do skrycie okablowanych restauracji swoich byłych znajomych z PO.

Fragment „Morawieckiego i jego tajemnic”: „Misiak ciągle jadał w Sowie... wszystkich zapraszał do tej restauracji. Tylko tam się umawiał. Gdy raz jeden kumpel powiedział, że do Sowy i Przyjaciół nie przyjdzie, Misiak odwołał spotkanie”.

Według Piątka urobek z podsłuchów i destrukcyjny wpływ nagrań na niezwykcioną przez osiem lat Platformę miał zrobić na prezesie PiS takie wrażenie, że nagroził Morawieckiego – łącznika z Falentą i Misiakiem – stanowiskiem przyznanym całkiem niedawno Beacie Szydło, którą dotychczas chwalił ile wlezie i która nie miała powodów, by się spodziewać dymisji.

Informator X: – Kaczor zamienił uwielbianą przez lud pisowski „naszą Beatkę” na człowieka nieznanego w polityce, bez własnego zaplecza w partii i z hakiem w postaci taśmy, żeby musiał się słuchać.

„Wystarczyłoby, że kot Kaczyńskiego wstanie lewą nogą, a Morawieckiego nie ma” – czytamy na kartach „Delfina”. To samo można jednak powiedzieć o każdym członku PiS. Gorsza, że wrocławianin miał od początku wrogów wśród starych działaczy Porozumienia Centrum, czyli w tzw. zakonie. To „zakonnicy” próbowali zablokować w 2018 roku przyznanie mu Człowieka Roku „Gazety Polskiej” – protestowali jednak tylko do czasu, kiedy Kaczyński osobiście zdecydował, że premier może tytuł wziąć.

W końcu „zakon” zaakceptował byłego bankiera i multimilionera. „Politycy PiS uznali, że skoro dobrze urządził siebie, to może i urządzenie kraju mu się uda” – pisała w grudniu 2017 Agata Szela, autorka serwisu Bezpiecznik.org.

Jak kraj został urządzony w latach premiershipowa Morawieckiego – to już wszyscy wiemy.

LUKSUSOWY FIGURANT?

W wyborczym roku 2023 były bankier uznawany z początku za premiera technokratę pokazał, że potrafi być także wojującym politykiem PiS. Urządzał wiece w całym kraju, a jego wystąpienia stały się równie ostre, jak mowy Kaczyńskiego czy Zbigniewa Ziobry.

O Tusku: „Judasza, bajeranta, kłamca i kłótnik”.

O Unii Europejskiej: „Jest plan w Brukseli i w Berlinie, żeby zalały nas fale migracyjne, żeby Polska nie była bezpiecznym krajem”.

O wyborach: „15 października pogonimy Tuska szkodnika”.

O dawnych rządach PO-PSL: „Ich polityka była mieszaniną naiwności i głupoty, zostawili Polskę wschodnią na pastwę losu”.

Tomasz Piątek: – W mojej ocenie Morawiecki nigdy nie był technokratą, to była maska. Jego prawdziwym obliczem jest radykalnie prawicowy populizm. Uważa Unię Europejską za ściemę, bo liczą się wyłącznie interesy etnicznie pojmowanych narodów. Zrobił w banku karierę, gdyż nie koncentrował się na zwiększaniu zysków, tylko na powiększaniu władzy.

– Co będzie dalej? – pytam.
– Kaczyński wciąż go popiera, bo za dużo wie, by go zostawić na lodzie. Nawet gdyby czasowo wrócił do bankowości, to dalej będzie robił politykę, tyle że za pomocą narzędzi dostępnych finansistcie. Nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Frasyniuk: – Był figurantem w banku, był nim w polityce, teraz zostanie luksusowym figurantem na styku polityki z biznesem. Tam się najlepiej czuje.

Huskowski: – On nie znosi porażek, dlatego być może będzie chciał uciec czasowo z polityki i zrobić jakiś biznes, bo majątek ma.

Gajdziński: – To nie jest facet, który się zadowolili majątkiem, by hodować alpaki. Ma zasoby ludzi, którym pomógł i którzy są w niego wpatrzeni... Sądzę, że jednak powalczy o prezydenturę. ●

Nie zaczynajcie od pomników

Nie ma nic bardziej rozbijającego lojalność sprawców niż rzetelne postępowanie karne.

Marcin Matczak

„Nie karm trolla” – to internetowa rada dla tych, którzy reagują na prowokację. Odpowiadają na komunikat kogoś, kto podburza i sieje zamęt. Karmią go, bo reagują na jego zaczepkę, a tym samym dają mu pożywkę, by zaczepiał dalej.

Wielkim trollem naszego życia publicznego jest PiS. Drażni, konfliktuje, kreuje wroga wewnątrz i na zewnątrz. Długo karmiliśmy tego trolla, reagując nienawiścią na nienawiść, podziałami na podziały. Trzeba z tym skończyć, ale nie umiemy – bo troll zaraża i z tego zarażania, jak z ciężkiego wirusa, wychodzi się długo i wychodzi się osłabionym.

Ktoś musi polaryzację zmniejszyć. Badacze autorytaryzmu, tacy jak Karen Stenner, uważają, że bardziej nadaje się do tego strona postępowania niż konserwatywna. Jest bardziej elastyczna emocjonalnie, może użyć swoich pokładów tolerancji, aby przestać obrzucać się błotem.

Niestety, gdyby Stenner przeczytała komentarze pod moim ostatnim felietonem, zmieniłaby zdanie. Po jego napisaniu dostałem wiele retorycznych pytań w stylu: „Czy mamy przytulić Mateckiego i Meję?” Nie – macie nie karmić trolli. Populiści zatrudniają harcowników, których zadaniem jest podstępnie niszczyć spokój wspólnoty, a większość z nas daje się na to nabrać.

Raport fundacji More in Common pokazuje, że konflikt generują dwie niewielkie, skrajne grupy: „postępowi zapaleńcy” (7 proc.) i „oddani tradycjonalisci” (6 proc.). Są głośni, więc całość społeczeństwa odbiera tę walkę jako większą, niż jest. W ten sposób kształtuje się „zmęczona wspólnota”: 57 proc. badanych, którzy mają dość konfliktu. Uważają, że podziały polityczne przesłakły nawet do sportu i muzyki, że zatruwają życie rodzinne i stosunki z przyjaciółmi. Jednocześnie wierzą, że współpraca między Polakami jest możliwa. Autorzy raportu piszą: „dostrzeżliśmy nie tylko dojmujące zmęczenie wyborczyńmianymi sporami, ale i pokażne zasoby empatii. To kapitał, który nie może się zmarnować”.

Na tę zmęczoną wspólnotę przychodzi teraz czas rozliczeń – coś, co ma ogromny potencjał, aby dzielić jeszcze bardziej. Dlatego tak kluczowy jest ich styl. Bo można rozliczać lepiej i gorzej. Na pewno robi się to źle, jeśli damy upust emocjom.

Z pewnością nie wolno stosować odpowiedzialności zbiorowej: razem z funkcjonariuszami PiS karać ich wyborców. To karanie, jak pisałem, najczęściej przybiera postać ataku na wartości dla nich cenne.

Kara musi być indywidualna. Dodatkowo, aby mogła przynieść poczucie sprawiedliwości, nie wystarczy powiedzieć: „nie masz zbrodni bez kary”. Zanim nałoży się karę, wszyscy muszą tę zbrodnię wyraźnie zobaczyć.

Dlatego rozliczanie trzeba zacząć nie od przenoszenia pomników, ale od postępowań karnych w sprawach, których okoliczności są oczywiste: przeciwko Beacie Szydło i Mateuszowi Morawieckiemu za niepublikowanie wyroków TK, przeciwko Jackowi Sasinowi za wybory kopertowe.

A tam, gdzie charakter czynów nie jest w pełni znany publicznie, od zacisza prokuratorskiego gabinetu lepsza jest komisja śledcza. Nie całe zło rządów PiS jest oczywiste dla widzów TVP. Trzeba im je

pokazać, bo mogą mieć poczucie, że kara jest zemstą polityczną za działanie, które propaganda przedstawiła jako dobre dla Polski. Trzeba to przekonanie obalić, żeby nikt nie miał wątpliwości, że karze się za zło, nie za przynależność partyjną.

Nie wolno w trakcie rozliczeń naruszać wartości wspólnych – konstytucji, w szczególności tych jej przepisów, w których obronie przez osiem lat walczyliśmy: art. 10 (podział i równowaga władz) i art. 173 (niezależność sądownictwa). Co to oznacza? To, że parlament i rząd mogą rozliczać władzę sądowniczą tylko wtedy, gdy ona sama daje im do tego podstawę.

Weźmy TK. Są wyroki władzy sądowniczej w sprawie nielegalności dublerów. Można więc ich odwołać bez naruszania zasady podziału władz, uchwałą Sejmu. Nie ma natomiast wyroków stwierdzających, że nielegalne były powołania Pawłowicz i Piotrowicza, nawet jeśli wydaje się, że były nieprawidłowe, bo oboje przekroczyli maksymalny wiek dla sędziego. W takiej sytuacji ani rząd, ani parlament nie mogą same osądzić sprawy. Nawet więc jeśli zgrzytamy zębami, gdy Pawłowicz po raz kolejny udowadnia, jak bardzo się na sędziego nie nadaje, jedyny legalny sposób na jej usunięcie to uzyskanie wyroku władzy sądowniczej. Na przykład w postępowaniu dyscyplinarnym.

Powiecie, że to naiwne, bo ręka rękę umyje i pisowscy nominaci w TK nie dadzą sobie zrobić krzywdy. Nie jest to oczywiście. W tym roku pełnomocnicy posła Treli złożyli wniosek o uchylenie immunitetu Pawłowicz. TK odmówił, co mogłoby potwierdzać tezę, że będą się wzajemnie chronić. Ale Pawłowicz wygrała to głosowanie minimalnie – siedem do sześciu. Z następnymi wnioskami może więc być różnie. Zwłaszcza gdy do TK wrócą zamiast dublerów trzej prawidłowo wybrani w 2015 sędziowie (albo ich następcy).

Rząd i parlament mogą działać legalnie wobec neo-KRS i neosędziów – tu wyroków jest dużo, jest więc glejt od sądownictwa. Mogą działać wobec prokuratury, która nie jest regulowana konstytucyjnie. To ważny ruch, bo nie ma nic bardziej rozbijającego lojalność sprawców niż rzetelne postępowanie karne. Trzeba zbadać wpływ polityków PiS na terminy i rozstrzygnięcia TK, zbadać, o czym Przylębska rozmawiała z Dworczykiem, co serwowała Kaczyńskiemu i co się działo w podwarszawskiej willi, w której ponoć spotykali się sędziowie i politycy. Skoro już przed wyborami wewnętrzna jedność pękała jak lukier na torcie, co będzie, gdy ktoś mocniej na ten tort dmuchnie?

Rozliczajmy przestępstwa funkcjonariuszy reżimu, ale nie atakujmy wartości ważnych dla ich wyborców. Jeśli nawet nowa władza wsadzi do więzienia całe PiS, pozostanie w Polsce ich elektorat. Żądania, by obalać jego pomniki i pogardzać jego idealami, spowodują, że będzie miał jeszcze większą potrzebę obrony swoich wartości. Wybierze więc innych populistycznych przedstawicieli, pojawią się nowi Kaczyńscy i Czarnkowie. Chodzi więc nie o to, żeby zamknąć za kratkami całe populistyczne opium, ale o to, żeby spadł na nie popyt. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

W Pałacu chodzi w aurze mołojcekiej sławy, prezydent polega na nim całkowicie. Jego plan: Duda zostaje akuszerem koalicji PiS, PSL i Konfederacji, a on rozdaje karty

Dominika Wielowieyska

Marcin Mastalerek siedzi z kolegami w restauracji i je kolację. Jest rok 2015. Trwa kampania przed wyborami parlamentarnymi. Jest bardzo pewny siebie i zadowolony. Opromienia go sława skutecznego sztabowca, który przed chwilą doprowadził do zwycięstwa Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. Nagle dzwoni komórka. To prezes PiS Jarosław Kaczyński. Mastalerek nie odbiera, wypowiada jakąś lekceważącą uwagę pod adresem prezesa. Odkłada komórkę i dalej spokojnie spożywa. Kaczyński dowiaduje się o tej reakcji. I Mastalerek łąduje na politycznym aucie. Dziś powraca. Jako główny kreator polityki Pałacu Prezydenckiego.

Szef gabinetu prezydenta ma 39 lat, jest żonaty, ma dwie córki. Ukończył stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Szczecińskim. Był szefem Forum Młodych PiS. W wyborach samorządowych w 2010 r. został radnym sejmiku łódzkiego, objął funkcję przewodniczącego klubu radnych PiS. W wyborach parlamentarnych w 2011 r. zdobył mandat w okręgu sieradzkim, zyskując 8,5 tys. głosów. O tej kampanii w książce Michała Kolanki „Game changer. Z kulisami polityki” mówi tak: „Startowałem z niższego miejsca. Postawiłem wszystko na jedną kartę, wydałem wszystkie oszczędności, zapożyczyłem się. I walczyłem każdego dnia, na ryneczkach, na bazarkach, przystankach, ulicach, chodząc po domach”.

– Marcin jest cholernie ambitny, ale to zdrowa ambicja. Gdy zaczęliśmy pracować na Nowogrodzkiej w 2005 r., on sobie rozpisal karierę polityczną na poszczególne etapy: chce być radnym, potem posłem, a potem awansuje w strukturach partii. To mi imponowało. Potrafi strategię polityczną zaplanować kilka kroków do przodu, a w obozie Zjednoczonej Prawicy wiele się dzieje ad hoc. Przy tym olbrzymim zaangażowaniu w pracę jest niesamowicie rodzinny, obowiązki ojca i męża traktuje bardzo serio, nie lazi po knajpach jak wielu działaczy – opowiada jedna z osób, dobrze znająca Mastalerka.

W 2014 r. został rzecznikiem prasowym PiS. Ale choć był jednym z głównych organizatorów zwycięskiej kampanii prezydenckiej w 2015 r., nie wystartował wtedy w wyborach parlamentarnych, które dały PiS władzę. Niemal w ostatniej chwili Kaczyński wykreślił go z list. Wcześniej na posiedzeniu władz partii prezes miał powiedzieć: „Albo ja, albo Marcin Mastalerek”. Mastalerek wtedy wstał i powiedział, że to oczywiste, że Prawo i Sprawiedliwość to Jarosław Kaczyński, więc on – Mastalerek – ustępuje.

– Prezes jest bardzo wyczulony na lekceważące, aroganckie zachowanie. Kazimierz Michał Ujazdowski, gdy jeszcze był w PiS, stawał na głowie, by wciągnąć na listy Konrada Szymańskiego, a prezes nie chciał. Powiedział, że Szymański kiedyś się z nim witał, trzymając rękę w kieszeni. Jarosław może z takiego powodu człowieka skreślić – mówi jeden z moich rozmówców. Szymańskiemu prezes wybaczył po wielu, wielu latach – ceniony europoseł został u Morawieckiego ministrem od spraw europejskich, tak naprawdę ważniejszym niż szef MSZ – ale nigdy nie miał do niego pełnego zaufania. Ale też Szymański, inaczej niż Mastalerek, nie prowokował bez przerwy prezesa. A scena z telefonem w restauracji była kroplą, która przelała czarę goryczy.

Po co Kaczyński wtedy dzwonił do Mastalerka? Trwała kampania i Jacek Kurski, zwany w PiS „Kurą”, przyszedł do sztabu z hardcorowym spotem, jak to Kurski. W klipie o Lasach Państwowych – w fałszywej narracji PiS „majątku narodowym, który rząd PO-PSL chce wyprzedać” – wdziliśmy rodzinę, która ruszyła na grzyby. Dziewczynka biegnie przed siebie, ale zderza się z ogrodzeniem, w tle słychać dramatyczną muzykę. Na siatce napisy ostrzegawcze, m.in. po niemiecku, że wstęp wzbroniony, bo to własność prywatna.

Mastalerek powiedział, że to się do niczego nie nadaje, i zablokował emisję. – Merytorycznie miał rację, „Kura” często przynosił rzeczy, które by nam zaszkodziły, no ale prezesowi mogły się podobać – mówi jeden z moich rozmówców.

„Kura” się zdenerwował, pobiegł na Nowogrodzką i naskarżył na Mastalerka. Kaczyński wziął więc telefon i zadzwonił. A Mastalerek nie dość, że nie odebrał, to mimo

żądań Kaczyńskiego nadal spot blokował. Uważał, że pomysł na kłamliwe zarzucenie PO i Komorowskiemu, że chcą sprzedać lasy, jest szkodliwy, nie wolno zaostriżać tonu, bo to może zmobilizować obóz anty-PiS, i trzeba postawić na kampanię pozytywną. Ostatecznie klip został wyemitowany.

Alle nie tylko to zdecydowało o wyrzuceniu z list głównego sztabowca i rzecznika prasowego. Po wygranych przez Dudę wyborach w PiS zapadła decyzja, że kandydatką na premierkę będzie szefowa sztabu Dudy, czyli Beata Szydło.

To, by Szydło stanęła na czele sztabu wyborczego, a potem została premierką, wymyślił właśnie Mastalerek i przekonał Kaczyńskiego, choć prezes nie był fanem tej koncepcji. Wcześniej na czele sztabu miała stanąć Mirosława Stachowiak-Różecka, ale poszła w odставку, bo wypowiedziała się lekceważąco na temat Lecha Kaczyńskiego. Jeśli chodzi o kandydata na premiera, to Kaczyński wolał Glińskiego, bo lubił się otaczać profesorami. Z Szydło nie miał dobrej chemii. Ale ostatecznie stanęło na koncepcji Mastalerka.

Jednak jakiś czas później Kaczyński się zorientował, że choć początkowo Szydło była bardzo zgodna i pilnie słuchała prezesa, to po ogłoszeniu jej kandydatury zaczęła się stawiać. To kwestionowała, z tamtym dyskutowała. Kaczyński się zaniepokoił i zaczął badać, kto za tym stoi, kto tę Beatę buntuje. W sztabie Dudy główną rolę odgrywali polityczni marketingowcy Anna Plakwicz i Piotr Matczuk oraz właśnie Mastalerek. Prezes się zorientował, że to on podkręca przyszlą premierkę, by pokazywała niezależność. Dlatego Kaczyński wolał się Mastalerka pozbyć, odciąć od przyszłego rządu, bo Szydło miała być całkowicie podporządkowana Nowogrodzkiej i prezes nie życzył sobie, aby ktoś budował alternatywny ośrodek wewnątrz jego obozu.

Nie ulega jednak wątpliwości, że zwycięska kampania Dudy jest zasługą Mastalerka. To on był jej głównym organizatorem, a formalna szefowa sztabu Beata Szydło dawała tej operacji twarz.

Wielu ludzi w PiS twierdzi, że szef gabinetu prezydenta jest osobą wybitnie inteligentną i sprawną. Ale nie tylko dlatego prezydent od lat trzyma go przy sobie.

Mój rozmówca z PiS:
Marcin potrafi strategię polityczną zaplanować kilka kroków do przodu, a w obozie Zjednoczonej Prawicy wiele się dzieje ad hoc. Przy tym zaangażowaniu w pracę jest niesamowicie rodzinny, obowiązki ojca i męża traktuje bardzo serio, nie lazi po knajpach jak wielu działaczy

Mastalerek zaprzyjaźnił się z Dudą jeszcze w czasach, gdy obaj byli posłami. Obecny szef prezydenckiego gabinetu utrzymywał, że to on przekonywał Kaczyńskiego, by wybrał Dudę jako kandydata. W istocie Duda został wskazany przez ekspertów w dziedzinie marketingu politycznego, którzy na podstawie zdjęć, materiałów dotyczących kandydatów na kandydata i ich rodzin oraz analiz ich publicznych wystąpień wskazali obecnego prezydenta. Kaczyński z kolei zapewnia, że to on, niezależnie od oceny marketingowców, chciał postawić na Dudę, choć podobno rozważał także kandydaturę wpływowego senatora i współtwórcy parabankowej sieci SKOK-ów Grzegorza Biereckiego.

Jak było, tak było, ale faktem jest, że Kaczyński w zwycięstwo Dudy nie wierzył, chciał tylko, aby urzędujący Bronisław Komorowski nie wygrał w I turze. Zamierzał pokazać nową, młodą twarz PiS, by podpompać wynik partii w wyborach do Sejmu i Senatu, które były zaplanowane kilka miesięcy później. Natomiast Mastalerek od samego początku w Dudę wierzył. Gdy wszyscy się wyśmiewali z tej kandydatury, mówiąc, że Duda jest nikim, i uważali, że poniesie sromotną klęskę, Mastalerek był przekonany, że się uda, że jego kolega Andrzej ma potencjał i trzeba walczyć, mimo że Komorowski ma rekordowe poparcie w sondażach.

I właśnie dlatego Duda całkowicie polega na Mastalerku, wierzy w jego instynkt polityczny. Gdy w październiku prezydent wręczał nowemu szefowi gabinetu nominację, powiedział: „Jesteś wypróbowanym współpracownikiem i przyjacielem, ale przede wszystkim wypróbowanym wojownikiem dla Rzeczypospolitej”.

Ale chodzi nie tylko o to, że Mastalerek zawsze był lojalny. Dudę i Mastalerka łączy także to, że Kaczyński ich po prostu nie lubi.

W rozmowie z Michałem Kolanką Mastalerek mówi, że największym game changerem w III RP, punktem zwrotnym w polskiej polityce jest zwycięstwo Dudy w 2015 r.: „Bez wygranej Andrzeja Dudy nie byłoby późniejszego zwycięstwa PiS i całej Zjednoczonej Prawicy w wyborach parlamentarnych. Swoją wygraną Andrzej Duda przełamała wieloletnią serię porażek PiS. Pozwolił uwierzyć wyborcom prawicy, że też mogą wygrywać”. Mastalerek chwali prezydenta, ale w gruncie rzeczy chwali też siebie jako głównego wówczas sztabowca.

Po wylocie z list PiS w 2015 r. Mastalerek usunął się i jakiś czas później dostał posadę dyrektora ds. komunikacji w PKN Orlen. Załatwiła mu to premier Szydło. Ale był tam tylko do 2017 r. Potem został wyrzucony, bo Nowogrodzka podejrzewała, że miał udział w wetach Dudy do dwóch ustaw sądowych. Te weta Kaczyńskiego rozzłościły. – Beata się wtedy za nim nie ujęła, choć tak wiele mu zawdzięczała. Wolała dobre relacje z Nowogrodzką. Ale Mastalerek nigdy nie miał do niej pretensji, choć zostawiła go na lodzie. Uważał, że taką jest polityka. A poza tym on umie czekać, jest cierpliwy – mówi jeden z moich rozmówców. – Zresztą dla Kaczyńskiego ma nadal wiele szacunku.

W rozmowie z Michałem Kolanką Mastalerek wyraża się z najwyższym szacunkiem o prezesie. „O tej prawdziwej polityce najwięcej nauczyłem się od Jarosława Kaczyńskiego. Kiedyś poszedłem do prezesa na Nowogrodzką. Miałem 27 lat, byłem posłem. Zacząłem go namawiać, by PiS coś zrobiło w mediach. On zapytał, ile mam lat. Odpowiedziałem, że 27. Odpark: Ma pan 27 lat i jeszcze pan nie wie, że polityka jest przy tym stole? I zapukał w stół w swoim gabinecie”.

Mastalerek na pewno wspierał Dudę w jeszcze jednym przedsięwzięciu. W pierwszej kadencji prezydent podjął próbę wyrzucenia Jacka Kurskiego z TVP wbrew woli Kaczyńskiego. Zaszantażował PiS w tej sprawie. I wydawało się, że odniósł sukces: Kurski na pewien czas stracił posadę. Ale prezes ostatecznie ogral Dudę i Mastalerka i „Kurę” jak bumerang wrócił na Woronicza. Ta historia także pokazuje, że Mastalerek musi się jeszcze od Kaczyńskiego wiele nauczyć.

Po utracie posady w PKN Orlen założył firmę doradczą. W listopadzie 2018 r. został wiceprezesem zarządu piłkarskiej Ekstraklasy. Miał przyciągać sponsorów, przecież miał liczne kontakty w PiS, a tym samym w spółkach skarbu państwa. Pieniądze stamtąd płynęły szerokim strumieniem, na stronie Ekstraklasy widzieliśmy logo PKO BP, Orlenu, Lotto i TVP.

Szef gabinetu prezydenta jest blisko zakolegowany z człowiekiem premiera Mateusza Morawieckiego Mariuszem Chłopikiem. Łączą ich tematy sportowe. Kontakty Chłopik – Mastalerek to linia komunikacji między premierem a prezydentem, która jednak czasami szwankuje. Morawieckiemu zależało, aby Duda klepnął nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym, która miała odblokować pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. Jednak prezydent jej nie podpisał, wysłał do Trybunału Przyłębskiej, gdzie utknęła na dobre. Mastalerek miał mówić ludziom premiera, że on starał się namówić prezydenta, by pozwolił na wejście ustawy w życie, jednak bezskutecznie.

– Ale czy mówił prawdę, czy tylko ściemniał? Któż to wie – stwierdza jeden z moich rozmówców. – Prawda jest taka, że Duda nie znosi starych sędziów, bywał o wiele ostrzejszy w tych sprawach niż sam Kaczyński. Ta emocja jest u niego bardzo silna. I uważa, że ustawa podważała jego kompetencje jako głowy państwa, która odpowiada za nominacje sędziowskie. A jest na tym punkcie bardzo przeczulony. Stąd taka decyzja w sprawie ustawy o SN – mówi inny członek obozu PiS.

W Ekstraklasie Mastalerek wytrwał do września 2023. Ale cały czas był w bliskich relacjach z Dudą. Pomagał mu w drugiej kampanii prezydenckiej, w PiS to jemu przypisuje się zaostrenie kursu światopoglądowego i jazdę na środowiska LGBT. On sam w rozmowie z Michałem Kolanką opowiada, że kampania Dudy w 2020 r. na początku kulala, bo ówczesni sztabowcy myśleli, że metodami z 2015 r. da się wygrać po raz kolejny. „Zorganizowano w lutym wielką i drogą konwencję, z której nie przebił się żaden przekaz. Nic. Udzieliłem wtedy wywiadu telewizyjnego i to powiedziałem. W PiS coraz częściej się mówiło, że idzie fala, która może zmieść prezydenta. Pojawiały się głosy, że jest pandemia, nic się nie da zrobić, druga strona ma swój moment, trendy i nastroje społeczne są niekorzystne. Dlatego zadzwoniłem do prezydenta i powiedziałem: Jesteś dobrym prezydentem, zasługujesz na reelekcję, ale idzie źle. Chcę pomóc. I prezydent uznał, że moja pomoc jest potrzebna”.

Mastalerek mówił o konwencji, którą przygotowali Anna Plakwicz i Piotr Matczuk. Kosztowała milion złotych i miała szokować rozmachem. Ściągnięto na nią prawie 5 tys. osób. To miał być show „Andrzej Duda Superstar”.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marcin Mastalerek, nowy rozgrywający w PiS?



CZŁOWIEK,
KTÓRY
NIE ODBIERA
OD KACZYŃSKIEGO

Kandydat PiS na tle wielkiej polskiej flagi miał wyglądać niczym James Bond. Tymczasem Mastalerek to zdeprecjonował i suflował tę opinię: partacze tacy jak Plakwicz czy Matczuk nie dali rady, ale przyszedł Mastalerek i uratował kampanię.

Oczywiście każdy sztab wyborczy liczy wiele osób, ale kluczowe jest to, kto nadaje ton. Mastalerek o całym tym gronie wyrażał się bardzo lekceważąco, mówiąc o kampanii w 2020 r., w pozytywnym kontekście wymienia tylko dwóch współpracowników prezydenta – Wojciecha Kolarskiego i Błażeja Spychalskiego – i z nimi ma dobre relacje. Trudno się dziwić, że mało kto za nim przepada w PiS-owskich kręgach. Ale też Mastalerek mógł sobie na to pozwolić, bo Duda co prawda lubi Piotra Matczuka, ale za Anną Plakwicz nie przepada. Krąży nawet taka groteskowa legenda: Duda jako poseł chciał sobie zrobić kawę z ekspresu, ale przyszła Plakwicz i powiedziała, że to nie jego ekspres, tylko Adama Hofmana, ówczesnego rzecznika PiS, więc niech sobie stąd idzie. Duda to zapamiętał.

Pałac Prezydencki
będzie grał na
wspieranie PSL we
wszystkich sprawach,
w których ludowcy
będą mieli inne
zdanie niż Tusk.
Chodzi o wbicie klina
w demokratyczną
koalicję

W 2020 r. w sztabie Dudy faktycznie był moment zwątpienia. Prezydent docenił rolę swego doradcy, mówił wówczas: „Dziękuję mojemu przyjacielowi Marcinowi Mastalerkowi, nie jest już czynnym politykiem, ale dla ojczyzny ratowania przyszedł i pomógł w naszej codziennej pracy sztabowej, patrząc na strategię, przygotowując z nami kolejne działania”.

Duet politycznych marketingowców zirytował Mastalera również przed ostatnimi wyborami. Poszło o niesławny spot z obozem koncentracyjnym w Oświęcimiu, dotyczący organizowanego przez Tuska wielkiego mobilizacyjnego marszu 4 czerwca w Warszawie. Na kilkunastosekundowym nagraniu widać kadry z Auschwitz-Birkenau, w tym tory prowadzące do obozu i obozowe baraki, a następnie napisy: „w Auschwitz zamordowano ponad 1 mln osób”, a „6 mln Polaków zamordowano podczas wojny”. Po chwili pojawia się wpis Tomasza Lisa na Twitterze: „Znajdzie się komora dla Dudy i Kaczora” (Lisa twierdził, że chodziło mu o celę więzienną, potem przeprosił i skasował tweet). Pod koniec lektor pyta: „Czy na pewno chcesz iść pod tym hasłem?”, przy czym w tle widać bramę wejściową z napisem „Arbeit macht frei”. Spot kończy się planszą z hasztagiem #marsz4czerwca.

Pomysł, który przypisuje się duetowi Plakwicz – Matczuk, przyjęto z oburzeniem, spotkał się z powszechną krytyką, zganili go także Duda, a Mastalerek popierał to, by głowa państwa odcięła się od klipu publicznie.

Od zwycięstwa w wyborach 2020 r. Mastalerek pracował dalej w Ekstraklasie, ale pełnił też funkcję doradcy społecznego prezydenta. Być może wcześniej Duda nie chciał się tak publicznie afiszować z przyjaźnią z Mastalerkiem, wiedząc, że Kaczyński ma na niego uczulenie. Ale gdy już dostał wyborcze poparcie PiS i miał zabezpieczone kolejne pięć lat, nie musiał się tak bardzo przejmować Nowogrodzką. Tymczasem Kaczyński podejrzewał, że to głównie Mastalerek buntuje Dudę przeciwko władzom partii. Na Nowogrodzkiej sądzono, że w 2021 r. za wetem do „lex TVN” – ustawy mającej zmusić Amerykanów do sprzedaży udziałów

w stacji, której programy informacyjne i publicystyczne były solą w oku PiS – stał właśnie on. – Twardy elektorat PiS mówi o prezydencji „Duduś”. Nie szanują go, a po wecie „lex TVN” są wściekli – mówił mi wtedy poseł PiS, który uważa, że nadrzędnym celem powinno być utrzymanie spójności Zjednoczonej Prawicy i lojalność wobec prezesa. – Tymczasem ludzie z Kancelarii Prezydenta za szczyt bohaterstwa uznają postawienie się Kaczyńskiemu. Mastalerek chodzi tam w aurze molojeckiej sławy. To śmieszne – dodał. Choć inny mój rozmówca wyjaśnia, że to przede wszystkim Krzysztof Szczerski – obecny ambasador przy ONZ, a wówczas szef gabinetu prezydenta – przekonał Dudę do weta, aby utrzymać dobre relacje z USA.

Duda zawetował też praktycznie likwidujące niezależność dyrektorów szkół „lex Czarnek”. Mastalerek natychmiast ogłosił w Polsce, że to bardzo zła ustawa. „Nie jestem fanem, jako wyborca PiS, ministra Czarnka, ponieważ on stara się wprowadzać rozwiązania lewicowe w Polsce. Np. to całe »lex Czarnek« dotyczące oświaty. To są rozwiązania, z którymi prawica na całym świecie, w Ameryce, a także w Europie, walczy. Bardzo dobrze, że pan prezydent zawetował tę ustawę, bo PiS zawsze był z rodzicami – podkreślał Mastalerek. – A minister Czarnek wychodzi i mówi, że od rodziców ważniejsi są urzędnicy i kuratorzy. Otóż nie, na całym świecie prawica walczy o to, żeby rodzice mogli decydować o wychowaniu”.

Al już „lex Tusk”, czyli ustawę o komisji, która miała badać wpływy rosyjskie, a w istocie zdyskredytować, a może nawet formalnie wykluczyć z polityki lidera opozycji, prezydent podpisał za namową Mastalerka. I to była kompromitacja Pałacu Prezydenckiego. Potem usiłowano na chybcika ustawę poprawiać. Tymczasem „lex Tusk” dodała wiatru w żagle opozycji. Tusk także dzięki tej kompromitacji obozu władzy mógł się pochwalić rekordową frekwencją na marszu 4 czerwca. PiS na to nie miał żadnej odpowiedzi. Innymi słowy, Mastalerek zrobił coś, czego zawsze starał się unikać: zmobilizował wyborców opozycji.

A przecież jakiś czas przed uchwaleniem „lex Tusk” ówczesny szef gabinetu Paweł Szrot mówił: „To zupełnie nieprawidłowa rzecz, że w obliczu wojny na Ukrainie oskarża się czołowych polityków polskich o rzekomą prorosyjskość. Umówmy się, to dotyczy obu stron sporu politycznego. Jeśli rząd Donalda Tuska prowadził politykę względnego ocieplenia w relacjach z Rosją, to można to nazywać naiwnością i błędem politycznym, ale trudno zarzucać intencjonalne działania na rzecz Rosji”.

Wydawało się, że te słowa są wskazówką, jak zachowa się Pałac.

Jednak ostatecznie górę wzięła fobia antytuskowa. – Marcin namówił prezydenta do podpisania „lex Tusk”, bo Tuska nienawidzi – mówią moi rozmówcy. Mastalerek w „Game changer. Za kulisami polityki” zapytany, czy nie myślał o przejściu do obozu anty-PiS, w domyśle po tym, jak Kaczyński go tak poniżył, odpowiedział: „Po Smoleńsku, po tym jak widziałem, jak się zachowywała Platforma, jak zachowywał się Tusk, to nigdy nie miałem takiej myśli. Widziałem Tuska w Smoleńsku po katastrofie. To było czyste zło”.

Mimo że przyjaciel prezydenta sam się przyczynił do sukcesu Tuska i jego marszu, potem zwał winę na sztab PiS. W czerwcu powiedział, że „PiS jest w defensywie, ponieważ przespał kilka ważnych momentów”. „Sztab działa od grudnia, jak słyszę. Nie wymyślił nic przez te wszystkie miesiące i nie usłyszał, że Donald Tusk od dwóch miesięcy krzyczy, że będzie szedł w marszu. Sztab nie miał żadnej kontrpropozycji” – mówił w RMF FM.

Mastalerek jest uważany za konfliktowego, nie znosi konkurencji. Wiele osób, także w otoczeniu prezyden-

ta, go nie cierpi. Sądzą, że jest arogancki i bezzcelny. Trzyma głównie z innym doradcą prezydenta Łukaszem Rzępeckim, wyrzuconym z PiS za bunt przeciwko Kaczyńskiemu. Obok Chłopika wśród jego kolegów jest lobbysta Przemysław Wipler, obecnie poseł Konfederacji. Tak się składa, że całe czwórki Kaczyński nie toleruje.

W PiS mówi się, że dochodziło do potężnych scysji między Mastalerkiem a innymi osobami z otoczenia prezydenta. – Raz to się z jednym urzędnikiem mało nie pobił. Była to bardzo ambicjonalna kłótnia, podminowana testosteronem – opowiada jeden z moich rozmówców. Niechętni Mastalerkowi ludzie uważają, że sprowadza prezydenta na złą drogę, że przez niego Duda traci możliwości dialogu z różnymi środowiskami. Ale prezydent na te opinie nie zważał. Karuzela personalna w jego kancelarii kręci się bez ustanku i tylko Mastalerek trwa tam niezmiennie w mniej lub bardziej formalnym układzie.

Gdy było jasne, że najprawdopodobniej PiS straci władzę, Mastalerek już nie miał czego szukać w Ekstraklasie. Sponsorów nie przyprowadzi, gdy zmieni się władza. A skoro Paweł Szrot, dotychczasowy szef gabinetu prezydenta, zdobył mandat poselski, naturalną koleją rzeczy było, że znalazł się w prezydenckiej kancelarii. Wręczając mu nominację, Duda mówił: „Mam nadzieję, że stanowi to pewne nowe otwarcie w politycznej przyszłości tego obozu

W PiS mówi się, że dochodziło do potężnych scysji między Mastalerkiem a innymi osobami z otoczenia prezydenta.

„Raz to się z jednym urzędnikiem mało nie pobił. Była to bardzo ambicjonalna kłótnia, podminowana testosteronem”

politycznego, który nazywamy często obozem patriotycznym, konserwatywnym, republikańskim”. Polityk PiS tak skomentował to w rozmowie z Interią: „Marcin jest gościem, który wchodzi do Pałacu z zadaniem ustawienia prezydenta w kontekście kohabitacji z przyszłym rządem. Dla Dudy arcyważna jest jego polityczna sprawność, bo nie chce być rozgrywany przez Tuska. Dlatego potrzebuje kogoś, kto czuje politykę, będzie bronił jego interesów i odpowiadać na wszelkie zaczepki czy oskarżenia ze strony rządu”.

Gdy po ogłoszeniu wyników wyborów 15 października stało się oczywiste, że Zjednoczona Prawica musi oddać władzę, Mastalerek zrobił tour po mediach, ogłaszając, że PiS kampanię zawałił i sam sobie jest winien.

Gdy w Radiu ZET powiedział, że Jarosław Kaczyński powinien iść na emeryturę, odezwały się głosy komentatorów, że oto Mastalerek teraz mści się na prezesie. – Nie odbieram tego w ten sposób, myślę, że to nie było intencjonalne. Bogdan Rymanowski stosuje „krótką piłkę”, żąda na swoje pytania odpowiedzi „tak” lub „nie”, zapytał o emeryturę prezesa i wyszło, jak wyszło. Mastalerek wie, że popełnił błąd. Potem w drugiej części wywiadu trochę się z tego wycofywał. Podobno prezydent miał do niego lekką pretensję, bo jego zdaniem

ta wypowiedź była niepotrzebnie konfrontacyjna – mówią moi rozmówcy. W innych wywiadach Mastalerek pompuje znaczenie prezydenta, że to jedyny człowiek w obozie prawicy, który nie zaliczył żadnej porażki, a więc, w domyśle, to Duda jest nadzieją Zjednoczonej Prawicy.

Niektórzy moi rozmówcy podejrzewają, że Mastalerek chce, aby po końcu kadencji Duda zagrał o przywództwo w PiS. A wtedy to on w praktyce będzie wszystkim rządził i rozdawał karty. Bo sam Duda na partyjnego przywódcę słabo się nadaje, nie ma zmysłu do pracy z aparatem partyjnym. Na pewno lepiej by się czuł na jakiejś nawet niezbyt eksponowanej posadzie międzynarodowej. Ale nawet jeśli Mastalerek ma takie plany, to odsyłanie Kaczyńskiego na emeryturę było politycznym błędem. Prezes w swoim obozie ma status świętego od czasów katastrofy smoleńskiej, władzy nie da się przejąć bez jego błogosławieństwa, a jeśli go ktoś atakuje, to nie ma żadnych szans.

Jest też inna hipoteza: Mastalerek sufluje narrację, że Duda będzie wiele znaczył po opuszczeniu Pałacu, bo chce budować silną pozycję prezydenta, chce, aby politycy PiS się na niego orientowali, uznali go za ważny ośrodek władzy. To po latach upokorzeń ze strony Kaczyńskiego, który Dudy nie uważa, jest bardzo ważne dla głowy państwa.

swoje bliskie otoczenie trzyma w niepewności. Nie chce przecieków. Natomiast wydaje się prawdopodobne, że decyzję podejmie dopiero po pierwszym posiedzeniu Sejmu, które zwołał na poniedziałek 13 listopada – słyszę. A skoro tak, to szala może się przechylać na stronę Tuska. Jeśli bowiem nowy Sejm wybierze marszałka Sejmu i prezydium, to będzie oznaczać, że w tej izbie jest już większość zdolna rządzić krajem. Jeśli Duda nadal upierałby się przy Morawieckim, mógłby się ośmieszyć. Być może dlatego Mastalerek tak zdecydowanie zareagował na słowa posła Milewskiego.

Mastalerek komentował też w Polsce: „Prezydent Duda zawsze był znany z tego, że w parlamencie działał przy ustawach. Zawsze zajmował się sprawami merytorycznymi. Nigdy nie był typem działacza. Prezydent nie ma takich ambicji. Andrzej Duda jest symbolem 2015 r. To nie była »dobra zmiana«, tylko »Duda zmiana«, i on był symbolem wygranych wyborów. To będzie niezbędny element do tego, żeby prawica wygrała i mogła wygrywać. Nie jest powiedziane, że prawicą zawsze będzie PiS”.

W partii zinterpretowano to następująco: Zjednoczona Prawica może się rozpaść, bo na przykład Suwerenna Polska odpłynie, i wtedy Mastalerek pod patronatem Dudy pomyśli o stworzeniu nowej partii.

„Nie jest niczym nadzwyczajnym przegrywać w polityce. To jest istota demokracji, wyborcy o tym decydują. Oboz prawicowy, konserwatywny, niepodległościowy, patriotyczny przegrywał, potrafił się reorganizować, a potem wygrywał. Jarosław Kaczyński przegrywał, potrafił wstać i wygrywał. Dziś trzeba stanąć w prawdzie, trzeba wyciągnąć prawdziwe wnioski, nie można się oszukiwać. Zmienić się i iść do przodu” – deklarował w Polsce Mastalerek.

Ale ostatnio nastąpiła zmiana narracji: otóż prezydent ma za zadanie – w wizji Mastalerka – pracować nad dobrymi relacjami między PiS, Konfederacją i PSL. W razie, gdyby rząd Tuska się posypał, Duda mógłby być akuszerem takiej nowej koalicji. A na razie Pałac będzie grał na wspieranie PSL we wszystkich sprawach, w których ludowcy będą mieli inne zdanie niż Tusk. Chodzi o wbić kliną w demokratyczną koalicję.

„Pytanie, czy jeszcze kiedyś będzie na to moment” – tak szef gabinetu prezydenta przypomniał inicjatywę współpracy PiS z Konfederacją i PSL pod wzniosłą nazwą „koalicja polskich spraw”, czyli ideę, która pojawiła się w kampanii 2020 r., by poszerzyć elektorat Dudy poza twardy elektorat PiS.

Mastalerek komentował w ten sposób wpis dziennikarza Marcina Fijolka, który napisał w serwisie X, dawnym Twitterze: „To był kampanijny projekt. Ale nie zdziwię się, jeśli hasło »koalicji polskich spraw« kiedyś – choć pewnie nie dziś – wróci do gry, co zresztą PAD [ten nawiązujący do amerykańskiej stylistyki akronim od „Prezydent Andrzej Duda” wylansowali w socjal mediach spin doktorzy obozu władzy] mówił też w Interii niedawno”. To marzenie tzw. PiS light: pozbycie się radykałów, w tym Ziobry, i żeglowanie do politycznego centrum, być może już bez Jarosława Kaczyńskiego.

Zła wiadomość dla tej opcji jest taka, że Kaczyński na emeryturę się nie wybiera, będzie rządził partią tak długo, jak się da. Bo partia to jego życie. A polityczne centrum to nie jest jego żywioł. Mastalerkowi pozostaje więc czekać. Ale w tym, jak wiadomo, jest całkiem dobry. ●

PS Marcin Mastalerek nie odpowiedział na moją prośbę o rozmowę. Innym dziennikarzem z naszej redakcji powiedział, że z „Wyborczą” nie rozmawia.

NASZA EUROPA

• Poszukiwania ocalałych i ciał zabitych w gruzach po ataku na Shati w Strefie Gazy, 27 października FOT. MOHAMMED AL MASRI/AP



Filozof Michael Walzer:

IZRAEL WCALE NIE JEST SILNY

– Pewien amerykański pułkownik powiedział kiedyś o Afganistanie: „Im więcej cywilów zabijemy, tym bardziej pewne jest, że przegramy wojnę”. Dziś dotyczy to także Izraela.

María Antonia Sánchez-Vallejo

EL PAÍS

Mezuza, kawałek papieru z wersetami z Tory umieszczany przy drzwiach do żydowskich domów, oznacza mieszkanie filozofa Michaela Walzera w budynku na Manhattanie. 88-letni profesor filozofii politycznej w Princeton w swojej słynnej książce „Wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe” (Just and Unjust Wars, 1977) ze świeckiej i lewicowej perspektywy aktualizował formułowane przez św. Augustyna warunki, które powinna spełniać wojna, jeśli nie ma dla niej alternatywy. Od imperaty-

wu reagowania na terroryzm przez trudności w prowadzeniu wojen asymetrycznych po słabość Izraela – Walzer zajmuje się dziś moralnymi dylematami otaczającymi nowy etap konfliktu na Bliskim Wschodzie.

...

Począwszy od 7 października, świat wydaje się coraz bardziej podzielony w ocenie sytuacji na Bliskim Wschodzie. Jakiego rodzaju jest to wojna: sprawiedliwa czy nie?

– Wojna z terroryzmem jest zawsze sprawiedliwa. Zaczęłam pisać o wojnach w latach 70., występując wtedy przeciwko terroryzmowi IRA w Irlandii, FLN w Algierii i OWP w Palestynie. Rozmyślne zabijanie niewinnych cywilów, by osiągnąć jakieś ce-

le polityczne, jest zawsze niesprawiedliwe, więc reakcja na taki terroryzm jest uzasadniona. Natomiast osobną kwestią jest skala i jakość zbrojnej odpowiedzi.

A odpowiedź Izraela jest proporcjonalna, realizowana zgodnie z zasadami wojny sprawiedliwej, czy raczej nieczym nieograniczona?

– Wojna asymetryczna to wojna między zaawansowaną technologicznie armią a rebelią o względnie niskim poziomie technologicznym. Zazwyczaj tacy rebelianci ukrywają się pośród ludności cywilnej, używając jej jako żywej tarczy. Z tego, co wiemy o Hamasie, wystrzeliwuje on rakiety z podwórek szkolnych, parkingów szpitalnych i dzielnic mieszkalnych. Oznacza to, że celowo naraża własną ludność cywilną, ponieważ im więcej

N A S Z A E U R O P A

cywilów zginie, tym większe prawdopodobieństwo, że wygra wojnę. Mam na myśli wygranie jej politycznie, nawet jeśli koszty militarne i ludzkie są bardzo wysokie. To był problem Amerykanów w Wietnamie, wtedy nie poradzili sobie z wojną asymetryczną.

Czy liczba ofiar naprawdę nie ma znaczenia, jeśli uzasadnia ją historia, jakiś zasadniczy polityczny cel?

– Pewien amerykański pułkownik powiedział o Afganistanie w 2010 roku: „Im więcej cywilów zabijemy, tym bardziej pewne jest, że przegramy wojnę”. Oto dylemat wojny asymetrycznej i Izraelczyków dziś – jak zareagować na ostrzał raketowy prowadzony z podwórka szkolnego? To znaczy jakie środki ostrożności należy podjąć, decydując się na reakcję? Czy w to boisko szkolne można uderzyć w ciągu dnia, czy jedynie nocą, niszczyć broń, ale minimalizując straty cywilne? Prowadząc wojnę tego typu, należy cały czas zachowywać maksimum ostrożności. I myślę, że Izraelczycy czasami są bardzo ostrożni, ale wielokrotnie prawdopodobnie nie. Jednak uważam, że jeśli meczet jest używany jako magazyn broni, to jest uzasadnionym celem.

Kiedy stawką jest przetrwanie państwa i narodu, można złamać zasady, jak uważał np. Churchill w 1940 r. Ale nie wcześniej.

Rozwijał pan poglądy Cycerona, Augustyna i Tomasza z Akwinu na wojny sprawiedliwe w latach 70. Jak bardzo wojny zmieniły się od tego czasu?

– Bardzo. Weźmy tylko wojny na Bliskim Wschodzie: ta, która wybuchła w 1948 r., po wygaśnięciu brytyjskiego mandatu w Palestynie i powstaniu państwa Izrael, wojna sześciodniowa w 1967 r., wojna Jom Kippur w 1973 r. Wszystkie były dość konwencjonalnymi wojnami toczonymi przez armie. Ale od wydarzeń w Libanie w 1982 r. w kolejnych wojnach biorą udział organizacje takie jak Hezbollah czy Hamas, które nie mają za sobą struktur państwa ani konwencjonalnej armii. I walczą w sposób, o którym właśnie mówiliśmy, z pogardą dla życia własnych cywilów. Myślę, że polityczne problemy Izraela zwielokrotniły się wraz z nastaniem konieczności prowadzenia przez to państwo wojen asymetrycznych.

Zasadą wojny sprawiedliwej jest nieatakowanie ludności cywilnej. Dwa miliony ludzi w Strefie Gazy są w tej chwili codziennie narażone na śmierć, bo Gaza jest oblężonym i szturmowanym celem.

– To jeden z powodów, dla których prezydent USA Joe Biden pojechał do Izraela. Przekonywał, że nie ma żadnego uzasadnienia dla blokady zwiększającej cierpienia ludności cywilnej. Izrael odciął elektryczność, wodę, dostawy żywności do Gazy, czasowo także dostęp do łączności i internetu. Na tym cierpią przede wszystkim cywile – i to jest politycznie wspa- niałe dla Hamasu. Myślę więc, że trzeba szeroko otworzyć przejścia graniczne dla pomocy huma-

нитарnej, która powinna być starannie kontrolowana, by zapobiec przemycaniu jakiegokolwiek wsparcia militarnego dla Hamasu. Tyle że również Egipt nie chce, by na Synaj napływali Palestyni- czycy, ponieważ postrzega Hamas jako palestyńską wersję Bractwa Muzułmańskiego. Warto pamiętać, że blokada Strefy Gazy była od dawna wspólną operacją izra- elsko-egipską.

Czy oprócz wojny asymetrycznej między państwem a zbrojnymi bojówkami jest to również wojna regionalna?

– Są w niej elementy regionalnej proxy war, wojny zastępczej. Hamas i Hezbollah są szkolone i wspomagane przez Iran, ale myślę, że mają własną politykę i własne cele. Ich działania mogą oczywiście przy okazji służyć szerszym celom Iranu, ale myślę, że kluczowe decyzje podejmowane są lokalnie. Oba te ugrupowania mają bardzo silną motywację ideologiczną, a Hamas od samego początku dąży do deklarowanego otwarcie całkowitego zniszczenia państwa Izrael. Ten cel poprzedza jakiegokolwiek zaangażowanie Iranu w Palestynie.

A co z pozostałymi państwami w regionie?

– Możliwe, że sunnickim państwom arabskim byłoby na rękę, gdyby Izrael zlikwidował Hamas, ale w żadnym wypadku nie zamierzają w tym pomagać.

Uważa pan, że istnieje realne ryzyko rozszerzenia konfliktu na cały region?

– Tak, ale myślę, że są też dobre powody, dla których kraje sąsiadujące z Izraelem mogą nie mieć ochoty na zaangażowanie się w wojnę. Na przykład Liban jest niezwykle kruchy, mógłby nie przetrwać takiego ruchu. Z drugiej strony jest tam Hezbollah – wiele osób przywykło myśleć o Izraelu jako o potęgę militarnej, najbardziej zaawansowanej na całym Bliskim Wschodzie. A jednak, gdyby Hezbollah wkroczył do akcji ze swoimi tysiącami rakiet od północy, a Hamas – kilkadziesiąt tysięcy zbrojnych – z południa, ponad połowa terytorium Izraela musiałaby być ewakuowana. Ważne jest, aby ludzie zdali sobie sprawę, że Izrael jest z jednej strony bardzo silny, a z drugiej – niezwykle wrażliwy na zagrożenia. Nawet gdyby posiadał broń atomową, o co zresztą bywa posądzany, co by to mu miało dać? Dlatego stanowisko lewicy izraelskiej, które popieram, broni rozwiązania dwupaństwowego, podtrzymując nadzieję na wycofanie się z Zachodniego Brzegu.

Czy długotrwałe i masowe demonstracje przeciwko forsowanej przez rząd Netanjahu reformie sądownictwa osłabiły Izrael, czy też pokazały siłę jego społeczeństwa obywatelskiego?

– Dziś w Izraelu funkcjonuje straszny, ultranacjonalistyczny, religijnie wręcz fanatyczny rząd. I jest tam świecki, liberalny, masowy ruch protestu przeciwko temu rządowi. Zachowywał się wspaniale. Moi przyjaciele

Hamas ma prawo atakować Izrael?

To bardzo stare stanowisko lewicy, że uciskane narody mogą robić, co chcą, w swojej obronie.

Ale przecież nawet uciskani ludzie mają moralne zobowiązania i istnieją granice tego, co dla nich dopuszczalne



FOT. BRIDGEMAN IMAGES/EAST NEWS

Nie ma żadnego uzasadnienia dla blokady zwiększającej cierpienia ludności cywilnej.

Izrael odciął prąd, wodę, dostawy żywności do Gazy, czasowo także dostęp do internetu.

Na tym cierpią cywile – i to jest politycznie wspaniałe dla Hamasu

le z Tel Awiwu, którzy wychodzą manifestować na ulice ze swoimi dziećmi i wnukami, opowiadali mi niezwykle historie o solidarności demonstrantów, tydzień po tygodniu. Ale okrucieństwo ataku Hamasu stworzyło, przynajmniej tymczasowo, jeśli nie wewnętrzną zgodę, to przynajmniej lojalność w obliczu zagrożenia.

Jestem pewien, że są miliony Izraelczyków, którzy mają nadzieję, że nie dojdzie do inwazji lądowej na pełną skalę i że wojsko znajdzie inny sposób na walkę z Hamasem, niewymagający zaangażowania stu tysięcy żołnierzy. Ale kraj jest już przygotowany na wojnę totalną. Hamas nie tylko dopuścił się tych okrucieństw 7 października, ale także skrupulatnie je sfilmował i pokazał. To miało sprowokować najmocniejszą możliwą reakcję. Wszyscy w Izraelu widzieli te przerażające obrazy. Wielu wzywa do powściągliwości, a ja zawsze oczekuję powściągliwości od władz, którymi wróg próbuje manipulować emocjonalnie. Ale to bardzo trudne.

Czy Izrael ma wrogów u siebie w domu? Mam na myśli grupy takie jak Neturei Karta, czyli ortodoksów religijnych, którzy odrzucają istnienie państwa.

– Cóż, Izrael jest społeczeństwem pluralistycznym. Neturei Karta jest bardzo małą grupą, ale wielu ultraortodoksów nadal stoi z pewnością na stanowiskach antysyjonistycznych, są bowiem przekonani, że nie powinno być żadnego państwa Izrael aż do przyjścia Mesjasza. A jednak sądzę, że religijna skrajna prawica w obecnym rządzie jest teraz bardziej syjonistyczna niż ktokolwiek inny, ponieważ wybrała język ultranacjonalistów. A przecież na początku syjonizm był świeckim ruchem socjalistycznym.

To napięcie powtarza się w USA. Lewicowe grupy amerykańskich Żydów domagały się w Kapitolu zaprzestania wspierania bombardowań Gazy, chcą natychmiastowego pokoju.

– Skrajna lewica zareagowała nieprzychylnie, niekiedy nawet popierając czy usprawiedliwiając okrucieństwa Hamasu. Jest to względnie niewielka, ale bardzo głośna grupa na amerykańskich kampusach. Z czego wynika ich pogląd? To bardzo stare stanowisko lewicy, że uciskane narody mogą robić, co chcą, w swojej obronie. Zwolennicy takiego poglądu twierdzą, że nie można im narzucać żadnych granic moralnych, nie możemy z dystansu oceniać tego, co robią, ponieważ ich działania są wynikiem ich ucisku. Ale już jeden z moich pierwszych artykułów nosił tytuł „Obowiązki uciśnionych”, a przekonywałem w nim, że nawet uciskani ludzie mają moralne zobowiązania i istnieją granice tego, co dla nich dopuszczalne. Dlatego bardzo irytujące jest czytanie i słuchanie tych samych starych argumentów od nowa – tego samego rodzaju usprawiedliwiania Hamasu, jakie stosowano wobec algierskiego terrorysty, który

wysadził w powietrze zatłoczoną kawiarnię, czy zamachowców z IRA z upodobaniem zabijających cywilów. Przez całe życie sprzeciwiałem się takiej lewicy. Są też ludzie, którzy mówią, że przemoc musi się skończyć i po prostu należy ogłosić natychmiastowe zawieszenie broni, ale bardzo trudno jest to powiedzieć Izraelczykom po okrucieństwie Hamasu z 7 października. Ja cały czas mam tylko nadzieję, że kara zostanie wymierzona sprawcom, a nie całej Gazie.

A co potem, czy uważa pan, że rozwiązanie dwupaństwowe jest nadal możliwe?

– Coraz trudniej wyobrazić sobie rozwiązanie dwupaństwowe, a jednak nadal trzeba o nie walczyć. Jestem zaangażowany w różne grupy, które opowiadają się za modyfikacją tego pomysłu w kierunku federacji lub konfederacji. Są to być może bardziej realistyczne propozycje niż rozwiązanie dwupaństwowe. Jestem pewien, że król Jordanii nie ucieszyłby się z tych słów, ale uważam, że konfederacja Izraela, Palestyny i Jordanii, współpracująca w kwestiach bezpieczeństwa czy ekologii, byłaby wspaniałym rozwiązaniem.

Co sądzi pan jako Amerykanin o zawetowaniu przez USA rezolucji ONZ w sprawie humanitarnego zawieszenia broni w Strefie Gazy?

– Nie wiem, czy miałyby to sens, zanim Hamas zostanie trwale unieszkodliwiony. Myślę, że Izraelczycy uważają, że to za wcześnie. I najwyraźniej administracja USA się z nimi zgadza, dlatego głosowała przeciwko. Zakres zaangażowania Waszyngtonu jest bowiem naprawdę niezwykły. Przemówienie Bidena w obronie Izraela było bardziej syjonistyczne niż jakiegokolwiek Izraelczyka.

Gdyby miał pan dopiero teraz pisać swoją książkę o wojnie sprawiedliwej, coś by pan w niej zmienił?

– Nie. Proszę posłuchać, dorastałem podczas II wojny światowej, miałem 10 lat, gdy się kończyła, i to uodporniło mnie na pacyfizm, ponieważ wojna z nazistami była kwintesencją wojny sprawiedliwej. Naszym zadaniem w czasie wojny jest dokonywanie moralnych osądów i myślę, że jest to właściwa terminologia, nawet jeśli kojarzy się z podejściem katolickim. Moja książka jest oczywiście rodzajem świeckiej wersji religijnego uzasadnienia wojny, ale myślę, że św. Augustyn nie miałby nic przeciwko niej.

Czy wojnę sprawiedliwą można pogodzić z pacyfizmem?

– Nie. Szanuję ludzi, którzy z powodów religijnych mówią: „nie mogę zabijać”, ale jestem głęboko przekonany, że w obliczu okrucieństw Hamasu lub rosyjskiej inwazji na Ukrainę słuszną rzeczą jest kontratak. Wobec agresji i brutalności, tak, musi istnieć sprzeciw. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

NASZA EUROPA

The New York Times:

Izraelu, nie idź w pułapkę Hamasu

Izrael musi wiedzieć, że tolerancja amerykańskiego sojusznika dla masowych ofiar cywilnych w Gazie w wyniku operacji wojskowej nie jest nieograniczona. Szczerze mówiąc, już zbliżamy się do jej granicy

Thomas L. Friedman



Jeden z najbardziej wpływowych komentatorów w USA, trzykrotny laureat Pulitzera, publicysta „NYT”, w przeszłości korespondent wojenny m.in. na Bliskim Wschodzie

FOT. CHARLES HAYNES/CC-BY-SA-2.0

Patrę na relacje z wojny Izraela z Hamasem w Strefie Gazy i myślę o jednym ze światowych przywódców, którego podziwiam: Manmohanie Singhu. Był on premierem Indii pod koniec listopada 2008 r., kiedy 10 pakistańskich dżihadystów z ugrupowania Lashkar-i-Toiba, powszechnie uważanych za powiązanych z pakistańskim wywiadem wojskowym, przeniknęło do Indii i zabiło ponad 160 osób w Bombaju. Jaka była wojskowa odpowiedź Singha na „indyjski 11 września”?

Nie zrobił nic.

Singh nigdy nie podjął działań odwetowych przeciwko Pakistanowi lub choćby wymierzonych w obozy Lashkar w Pakistanie. Był to niezwykle akt powściągliwości. Z jakiej logiki wynikał? Wyjaśnił to swojej książce „Choices: Inside the Making of India’s Foreign Policy” ówczesny szef dyplomacji Indii Shivshankar Menon. „Sam naciskałem wtedy na natychmiastowy i widoczny odwet” – przeciwko bazom dżihadystów lub przeciwko pakistańskiemu wywiadowi wojskowemu, „który był ewidentnie współodpowiedzialny za atak” – napisał Menon. „To byłoby emocjonalnie satysfakcjonujące i pomogłoby stłumić wstyd z powodu niekompetencji, jaką wykazały się indyjskie służby bezpieczeństwa”.

Ale, kontynuuje Menon, „po trzeźwej ocenie dokonanej z perspektywy czasu uważam, że decyzja o zaniechaniu odwetu militarnego i skoncentrowaniu się na środkach dyplomatycznych i działaniach tajnych była właściwa w tamtym czasie i miejscu”.

Menon przekonuje, że jakkolwiek odpowiedź militarna szybko przesłoniłaby grozę i potworność ataku na indyjskich cywilów; „solidarność z ofiarami ataku terrorystycznego na Indie przeprowadzonego z oficjalnym zaangażowaniem Pakistanu zostałaby utracona”. Gdy Indie dokonałyby odwetu, świat natychmiast zareagowałby rosnącą obojętnością: ot, kolejna pakistańsko-indyjska przepychanka – nic nadzwyczajnego.

Co więcej, Menon napisał, że „indyjski atak na Pakistan zjednoczyłby naród pakistański z armią i osłabiłby cywilny rząd, który właśnie został wybrany i który wbrew armii dążył do znacznie lepszych stosunków z Indiami”. Kontynuował: „Straszenie wojną, a może nawet sama wojna były dokładnie tym, czego armia pakistańska chciała, aby wzmocnić swoją wewnętrzną pozycję”.

Ponadto „wojna, nawet udana, wiązałaby się z ogromnymi kosztami, które spowolniłyby rozwój indyjskiej gospodarki w momencie, gdy świat pogrążył się w bezprecedensowym kryzysie finansowym”.

W skrócie: według Menona, „nie atakując Pakistanu, Indie mogły swobodnie wykorzystać wszystkie legalne i tajne środki, aby osiągnąć cele: postawienie sprawców przed wymiarem sprawiedliwości, zjednoczenie społeczności międzynarodowej w celu wyciągnięcia konsekwencji wobec Pakistanu i zwią-

sznienie prawdopodobieństwa, że taki atak się nie powtórzy”.

Oczywiście rozumiem, że Izrael to nie Indie – kraj liczący 1,5 mld ludzi i obejmujący ogromne terytorium. Strata ponad 160 osób w Bombaju, w tym zagranicznych turystów, nie była odczuwalna w każdym zakątku i domu w kraju, tak jak w Izraelu są dojmująco odczuwalne śmierć, okaleczenie i porwanie około 1400 Izraelczyków przez Hamas. Ponadto Pakistan ma broń nuklearną.

Niemniej pouczające jest zastanowienie się nad kontrastem między reakcją Indii na atak terrorystyczny w Bombaju a reakcją Izraela na rzeź dokonaną przez Hamas.

Po początkowym przerażeniu czystym barbarzyństwem ataku Hamasu na izraelskie dzieci, bezbronnych dorosłych i uczestników muzycznego festiwalu co się bowiem stało? Uwaga świata szybko przeniosła się na brutalność izraelskiego kontrataku na cywilów w Strefie Gazy, pośród których Hamas się rozlokował i ukrył. Potężny izraelski odwet przyćmił terror Hamasu, a dla niektórych wręcz to Hamas stał się ofiarą. Zmusiło to również nowych arabskich sojuszników Izraela, sygnatariuszy porozumień abrahamowych, do zdystansowania się od państwa żydowskiego.

Tymczasem, po zmobilizowaniu ok. 360 tys. rezerwistów, gospodarka Izraela stoi w obliczu recesji, zwłaszcza jeśli eliminacja Hamasu ze Strefy Gazy zajmie miesiące, jak się przewiduje. Już teraz wiadomo, że skurczy się o ponad 10 proc. w ujęciu rocznym w ostatnim kwartale tego roku. A mówimy o gospodarce, którą w 2022 r. „The Economist” uznał za czwartą najlepiej prosperującą spośród wszystkich krajów OECD.

Osobiście jestem zbulwersowany reakcją tych w Ameryce – głównie na kampusach uniwersyteckich i wśród progresywnej lewicy – którzy stanęli po stronie Hamasu i potępiają Izrael i jego odwet – tak jakby naród żydowski nie miał prawa ani do samostanowienia, ani do samoobrony. Ta reakcja nie bierze również pod uwagę faktu, że Izrael, pomimo wszystkich swoich wad, jest społeczeństwem wielokulturowym, w którym np. prawie połowa absolwentów medycyny to Arabowie lub Druhowie. Ani tego, że Hamas jest agresywną, islamistyczną organizacją, która nie toleruje sprzeciwu tak samo jak osób LGBT i dąży do wymazania państwa żydowskiego z powierzchni ziemi.

Mam też współczucie dla strasznych wyborów, przed którymi stanął rząd Izraela po największej rzezi Żydów od czasów Holocaustu. Ale natychmiast opowiedziałem się za znacznie bardziej ukierunkowaną, w pełni przemyślaną reakcją Izraela. Powinien on nazwać to „operacją ratowania zakładników” i kupić się na schwytaniu i zabiciu porywaczy nastolatków i seniorów. Każdy rodzic na świecie mógłby to zrozumieć.

Zamiast tego rząd Beniamina Netanjahu natychmiast przystąpił do realizacji planu, jak to ujął minister obrony Jo’aw Galant: „zmielenia Hamasu z powierzchni ziemi”. W ciągu trzech tygodni Izrael spowodował ponadtrzy-

krotnie większą liczbę ofiar cywilnych i zniszczeń w Strefie Gazy, niż sam doznał, jednocześnie dążąc do przejęcia wojskowej kontroli nad Gazą – czyli operacji, która – gdyby uwzględnić proporcje – odpowiadałaby mniej więcej decyzji Stanów Zjednoczonych o zajęciu połowy Meksyku niemal z dnia na dzień. Realizacja tego planu, według samego Netanjahu, oznacza „długą i trudną” bitwę mającą na celu „zniszczenie wojskowych i administracyjnych zdolności Hamasu oraz sprowadzenie wszystkich zakładników do domu”.

Powtarzam, Izrael to nie Indie i nie można oczekiwać, że nadstawi drugi policzek – nie w otoczeniu takich sąsiadów. Ale jaki dokładnie jest plan Netanjahu? Izraelscy urzędnicy, z którymi rozmawiam, mówią mi, że wiedzą dwie rzeczy na pewno: Hamas nigdy więcej nie będzie rządził Gazą, a Izrael nie będzie rządził Gazą po Hamasie. Sugerują, że stworzą układ podobny do tego, jaki funkcjonuje obecnie w niektórych częściach Zachodniego Brzegu, z Palestyńczykami zarządzającymi codziennym życiem w Strefie Gazy oraz izraelskim wojskiem i służbą bezpieczeństwa Szin Bet zapewniającymi porządek.

Jest to jednak kulawy plan. Kim będą ci Palestyńczycy, którzy zostaną zaangażowani do zarządzania Strefą Gazy w imieniu Izraela? Co stanie się tam nazajutrz po tym, jak jakiś Palestyńczyk pracujący dla Izraela w Gazie zostanie znaleziony martwy w jakimś zaułku z kartką „Zdrajca”, podpisaną: „podziemny Hamas”.

Po zmobilizowaniu ok. 360 tys. rezerwistów gospodarka Izraela stoi w obliczu recesji, zwłaszcza jeśli eliminacja Hamasu ze Strefy Gazy zajmie miesiące, jak się przewiduje

Ponadto kto zapłaci za opiekę zdrowotną i edukację 2,2 mln ludzi w Strefie Gazy? Proszę, podnieś rękę, jeśli uważasz, że Unia Europejska, kraje Zatoki Perskiej lub znacząca grupa w Izbie Reprezentantów USA sfinansują nieokreślony izraelski nadzór nad Gazą. Zwłaszcza w sytuacji, gdy Netanjahu i jego koalicja żydowskich supremacjonistów zobowiązała się do aneksji Zachodniego Brzegu bez równych praw dla Palestyńczyków. Koszt okupacji Strefy Gazy może pogrążyć izraelskie wojsko i gospodarkę na wiele lat.

Co więcej, w jaki sposób Izrael ma zarządzać tak złożoną operacją, skoro zaufanie do Netanjahu jest – nie bez powodu – znikome? Kilka dni temu wskazał on na szefów wywiadu wojskowego i Szin Bet jako odpowiedzialnych za przeoczenie przygotowań Hamasu do ataku, jednocześnie odsuwając wszelką winę od siebie samego. Dzień później oburzona izraelska opinia publiczna zmusiła premiera do wycofania się z oskarżeń. Ale szkoda została wyrządzona.

Netanjahu ma wokół siebie ludzi, którzy muszą teraz podejmować trudne, niosące długoterminowe skutki decyzje, wiedząc, że ich premier jest osobą tak zepsutą, że będzie obwiniał ich za wszystko, co pójdzie nie tak, a przypisze sobie zasługi za wszystko, co ewentualnie pójdzie dobrze.

Podsumowując: rozumiem, dlaczego Izrael uważa, że musi zniszczyć Hamas, a tym samym odstraszyć innych wrogów w okolicy od nawet rozważania czegoś podobnego do ataku Hamasu. Ale Waszyngton uważa, że przywódcy Izraela nie mają realnego planu wiodącego do zwycięstwa ani lidera, który potrafiłby poradzić sobie ze złożonością tego kryzysu. Izrael musi wiedzieć, że tolerancja amerykańskiego sojusznika dla masowych ofiar cywilnych w Gazie w wyniku operacji wojskowej nie jest nieograniczona. Szczerze mówiąc, już zbliżamy się do jej granicy.

Izrael powinien pozostawić otwarte drzwi dla opcji „humanitarnego zawieszenia broni” i wymiany więźniów – co pozwoli zatrzymać się na chwilę i zastanowić nad tym, dokąd zmierza pospieszna operacja wojskowa w Strefie Gazy i jaką cenę przyjdzie za nią zapłacić w dłuższej perspektywie.

Czy ukierunkowane użycie siły z ograniczonymi, ale osiągalnymi celami może lepiej służyć długoterminowemu bezpieczeństwu i dobrobytowi Izraela niż pełnoskalowa wojna miejska mająca na celu wyeliminowanie Hamasu? Izrael przynajmniej powinien zadać sobie to pytanie.

Taka przerwa mogłaby również pozwolić ludziom w Gazie na podsumowanie tego, co atak Hamasu na Izrael – i całkowicie dająca się przewidzieć odpowiedź Izraela – zrobił z ich życiem, rodzinami, domami i firmami. Co dokładnie Hamas myślał, że osiągnie dzięki tej wojnie dla mieszkańców Gazy, z których tysiące jeszcze kilka tygodni temu codziennie jeździły do pracy w Izraelu lub żyły z eksportowania tam produktów rolnych i innych towarów? Na razie Hamas otrzymał o wiele za dużo zrozumienia, a za mało trudnych pytań.

Chciałbym zobaczyć, jak przywódcy Hamasu wychodzą ze swoich tuneli pod szpitalami i w obecności światowych mediów mówią swoim rodakom i nam wszystkim, dlaczego uważali, że okaleczanie i porywanie izraelskich dzieci i babć było tak świetnym pomysłem, skoro sprowadził ten straszny odwet na dzieciach i babciach w Strefie Gazy.

Konflikt izraelsko-palestyński od początku można opisać niezmiennym schematem: wybuch, przerwa, wybuch, przerwa itd. Najważniejszą różnicę między stronami tego konfliktu oddaje to, co każda z nich robiła w przerwach pomiędzy przesileniami. Izrael zbudował społeczeństwo i gospodarkę – imponujące, nawet jeśli pełne wad, natomiast Hamas zbudował wyłącznie tunele do ataków.

Proszę, Izraelu, nie zgub się w tych tunelach. ●

tłum. Łukasz Grzymistawski

© 2023 The New York Times Company

TEN PRZEKŁĘTY KONTEKST

Jak współczuć Żydom i Palestyńczykom naraz

MAREK BEYLIN

FOT. FATIMA SHBAIR/AP



*Nie istnieje prawo
do nienawiści,
bez względu na okoliczności*

Leszek Kołakowski

Dlaczego tak trudno przychodzi nam współczuć jednocześnie narodom palestyńskiemu oraz izraelskiemu? I z tym samym gniewem piętnować zbrodnie obu władz, Hamasu i premiera Netanjahu? Przecież nasza empatia i wiara w wartości nie powinny ulegać plemienności.

Uważam się za Polaka pochodzenia żydowskiego i europejskiego. Emocjonalnie i kulturowo bliżej mi więc do społeczeństwa izraelskiego. Jednak ze grozą reagowałem nie tylko na zbrodniczy atak Hamasu na Żydów. Ta sama zgroza towarzyszy mi, gdy śledzę, jak zbrodniczo Izrael masakruje ludność cywilną w Gazie.

Dlatego nie rozpoznaję się w wielu (nie wszystkich) zbiorowych akcjach oraz publicznych głosach – i tych upamiętniających żydowskie ofiary Hamasu, i tych protestujących przeciw operacji Izraela w Gazie. Choć nierzadko akcje te organizują i występują publicznie osoby, które znam z prawości i szanuję.

W upamiętnianiu Żydów zamordowanych i porwanych przez Hamas oraz w aktach solidarności z Izraelem doskwiera mi milczenie o palestyńskich cywilach, w tym kobietach i dzieciach uśmiercanych teraz w Gazie przez operację Netanjahu. To nie są gorsze ofiary niż zamordowani Żydzi i równie niewinne.

Oczywiście, jest przekłęty kontekst. Jest pamięć o Zagładzie dokonanej na polskich ziemiach, nierzadko z polskim współnictwem. Jest pamięć antysemickiej nagonki w Marcu '68, wprowadzie organizowanej przez władzę, lecz traktowanej życzliwie przez część społeczeństwa. W dodatku, wśród budowniczych Izraela było немало polskich Żydów. Wszystko to sprawia, że wiele szlachetnych osób ma problem z publicznym potępieniem polityki Izraela.

A w solidaryzowaniu się z Palestyńczykami boli mnie pomijanie czy marginalizowanie tego, że rządzący w Gazie Hamas to terrorystyczna, zbrodnicza organizacja, chcąca wymazać Izrael z powierzchni ziemi oraz krwawo rządząca na podległym sobie terytorium. Ta ślepota na wartości i fakty ogarnia zwłaszcza zachodnią lewicę, choć przejawia się również w Polsce.

Bliski jest mi gorzki list progresywnych izraelskich intelektualistek i intelektualistów oraz osób z obywatelskich organizacji pokojowych z 15 października, zarzucający głównie lewicowym kręgom w Europie i USA, że odmawiając solidarności z ofiarami Hamasu czy nawet usprawiedliwiając tę organizację, zdradzają głoszone przez siebie wartości oraz wykazują polityczną bezmyślność. Nie ma sprzeczności między sprzeciwem wobec izraelskiej okupacji Palestyny a jednoznacznym potępieniem aktów brutalnej przemocy wobec izraelskich cywilów – piszą sygnatariusze. I wyrażają przy tym obawy o los Palestyńczyków zagrożonych operacją Netanjahu.

Większość osób podpisanych pod tym listem marzy, by żyły ze sobą pokojowo dwa państwa i dwa narody. Podzielam to marzenie. Nie jestem specjalistą od tej części świata, rozmawiałem tylko z ludźmi z Izraela i Palestyny, czytałem trochę książek. A takiego marzenia nauczył mnie wybitny znawca tego regionu, nieżyjący już Paweł Smoleński. W jego reportażach spotykałem Palestyńczyków i Palestynki, cierpiących, poddanych przez Izrael dyskryminacji i poniżeniom, lecz pracujących na rzecz wspólnego pokoju, pojednania i demokracji. Spotykałem też Żydów, którzy nie godzili się na okropny los Palestyńczyków, wiedząc przy tym, że tylko równoprawna koegzystencja tych narodów i państw może ustabilizować przyszłość Izraela.

Te marzenia, niegdyś wyrażane głośno, zawsze wydawały się arcytrudne do spełnienia. Sprzeciwiały im się

państwa arabskie. I, co ważniejsze, zwracała się przeciw nim pamięć przeszłości, organizująca tożsamość dwóch narodów. Z jednej strony, trauma Palestyńczyków po wygnaniu kilkuset tysięcy z ich własnej ziemi przez założycieli państwa Izrael. Trauma wzmacnianej przez wielopokoleniowe życie w nędzy i upokorzeniach. Z drugiej zaś, również wielopokoleniowa trauma Izraelczyków, otoczonych przez wrogów, którzy chcieli i chcą zetrzeć ich z powierzchni ziemi.

Jednak dziś te niegdyś trudne marzenia przeniosły się w nierzeczywistość, uśmierciło je starcie dwóch ultranacjonalizmów: Hamasu i Netanjahu. Obie władze pożywają się nienawiścią i przemocą. Co, niestety, zapowiada tylko eskalację nieszczęść Izraelczyków i Palestyńczyków.

Jak wielu jestem wobec tego dramatu bezradny i nim zrozpaczony. W dodatku widzę też jego odpryski na świecie. Antysemityzm narasta wszędzie, także w Europie, coraz mniej wyczułonej na własną antysemicką przeszłość i Zagładę. A temu trendowi towarzyszy inny podobny: odczłowieczanie Palestyńczyków, redukowanych do terrorystów z Hamasu.

Nie mam recepty na tę eksplozję uprzedzeń, nienawiści i pogardy. Dziś nikt jej nie ma. Mogę tylko sobie i innym stale przypominać o człowieczeństwie Żydów i Palestyńczyków, czyli wszystkich ofiar tej wojny. I o człowieczeństwie w ogóle.

Przyjmijmy, że „nie istnieje prawo do nienawiści, bez względu na okoliczności; że nonsensem jest powiedzenie, iż ktoś zasługuje na nienawiść; że jest w naszej mocy żyć bez nienawiści; że nienawiści się wyrzec, nie znaczy wcale wyrzec się walki” – pisał dawno temu Leszek Kołakowski. Jak trafnie. ●

Grożą mi gejzery kiczu

Trzy poprzednie rządy Fico były zajęte sobą i interesami. Teraz zajmą się Słowakami

>Šimečka

Czwarty rząd Roberta Ficy będzie się różnił od trzech poprzednich. Tamte administrowały państwem jedynie z obowiązku, bo prawdziwym celem ich działania była kradzież i dlatego mogły sobie pozwolić na światopoglądową neutralność. Tak, przywłaszczyły sobie państwo, ale nie próbowały zawłaszczyć społeczeństwa.

Za to nowy rząd już poprzez swój skład demonstruje, że tym razem poważnie traktuje rządzenie krajem i zamierza narzucić społeczeństwu swoje widzenie świata. Przeżyłem już coś takiego dwukrotnie i oczywiście nie było to przyjemne, lecz właśnie dzięki takiemu doświadczeniu mam pewność, że również trzecia próba będzie nieudana.

Historyczne paralele są zawsze powierzchnowe, jednak czwarty rząd Roberta Ficy najbardziej mi przypomina początek epoki Gustáva Husáka w 1969 roku i jego „normalizację”. Naturalnie okoliczności są inne, ale w obydwu przypadkach chodziło o reakcje klasy politycznej na wstrząsy systemu, którego była ona twórcą.

1968 rok to szczyt wysiłków reformatorów, starających się rozbić sklerotyczne struktury organizacji komu-

niści, a ważną częścią tych dążeń były śledztwa dotyczące zbrodni komunistycznych z lat 50. Po roku 2020 też chodziło o śledztwa w sprawach zbrodni popełnionych w epoce rządów Ficy.

W obu przypadkach skompromitowane elity polityczne powróciły do władzy: stalinowscy komuniści dzięki radzieckim czołgom, a Fico dzięki armii trolli w sieciach społecznościowych. „Normalizacja”, która w takiej sytuacji następuje, to próba „przywrocenia porządku” (tak to zjawisko nazwał mój ojciec) za pomocą instrumentów władzy państwa, wzbogaconych o agresywną ideologię.

Wszystkie trzy ideologie – komunizm, nacjonalizm i konserwatyzm – także w Słowacji miały utalentowanych głosicieli i artystów, dzięki którym cieszyły się poparciem wielu ludzi. Na szczęście obecnie w naszym kraju nie ma takich utalentowanych propagatorów.

Efektom tego zarówno podczas „normalizacji”, jak i meczaryzmu – a podobnie będzie i teraz – były estetyczna katastrofa oraz gejzery kiczu i tępoty, umacniane przez arogancję władzy. Wszystko to już przeżyłem, a główny kłopot polega na tym, że trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, jaki mam teraz mieć stosunek do państwa i społeczeństwa.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

W czasie „normalizacji” było to całkiem proste: ówczesnego państwa nie

dało się oddzielić od reżimu, dlatego obydwu uważałem za wrogów. Z wzajemnością. Dla psychiki było to dość wygodne – starałem się żyć w sposób jak najbardziej niezależny od reżimu i państwa, a ich zewnętrzne przejawy – jak choćby komunistyczny bełkot w telewizji – traktowałem z ironicznym rozbawieniem. Natomiast jeśli chodziło o społeczeństwo, to żyłem w niezależnych bańkach i konformistyczna większość specjalnie mnie nie interesowała.

Alę już za czasów Mečiara było inaczej. Państwo, demokratyczny system i samo społeczeństwo uważałem za jedną całość, której ja też stanowiłem część. Dlatego wahałem się, czy również rząd Mečiara mam uznać za swój, bo choć powstał dzięki demokratycznym wyborom, to jednak narzucał społeczeństwu swoją ideologię i próbował ograniczyć nie tylko moją wolność, lecz również wielu moich przyjaciół. Ostatecznie – zgodnie z przyzwyczajeniem z komunistycznych czasów – uznałem wtedy tę władzę za wroga. I też było to wzajemne. Jednak ani państwa, ani społeczeństwa w tej kategorii nie umieszczałem.

Przez następne ćwierć wieku nie miałem już takiego dylematu, bo co prawda nigdy nie byłem entuzjastą rządów Ficy, ale w zasadzie nie zwracały one uwagi na społeczeństwo i nie ograniczały jego wolności. Zmieniło się to dopiero w chwili zabójstwa Jána Kuciaka i Martiny Kušnírovej, kiedy okazało się, że skorumpowana władza, nawet jeśli jest nieideologiczna, to też może zabijać.

Czwarty rząd Ficy stawia mnie więc przed dylematem, czy mam go traktować jak wroga, podobnie jak rząd Mečiara. Uważam jednak, że nie byłoby to słuszne, choć on zapewne będzie tak traktował – głosząc to publicznie – zarówno mnie, jak i wiele innych osób.

Powstał w wyniku demokratycznych wyborów i choć uważam wyborców Smeru i SNS za ludzi, którzy – mówiąc łagodnie – w istocie nie chcą demokracji, to jednak paradoksalnie stanowią jej część. Mają co prawda tak diametralnie inny ogląd świata i życia, że są mi całkiem obcy, ale należą do tego samego społeczeństwa co ja.

Istnieją dwa sposoby obrony własnej wolności. Jeden to radykalne odwołanie rządu, państwa, a w istocie także społeczeństwa i podjęcie próby życia jako człowiek wolny we wrogim otoczeniu. Można to robić z powodzeniem – w czasach komunizmu żyło tak tysiące ludzi, a wśród nich i ja. Ułomnością takiej postawy jest to, że w zasadzie już z góry trzeba zrezygnować z aktywnego życia obywatelskie-

go. Ówczesne petycje i protesty były rzadkie, przeważnie domagające się zwolnienia więźniów politycznych, i z wyjątkiem Karty 77 – która wzywała reżim do dialogu – ograniczały się do aktów samoobrony. Nikt z nas nie oczekiwał od nich, że przyczynią się do zmiany.

Drugi sposób jest trudniejszy, ale w demokracji znacznie bardziej efektywny. Punktem wyjścia jest uznanie rządu, państwa – ograniczają się do aktów samoobrony. Nikt z nas nie oczekiwał od nich, że przyczynią się do zmiany. Drugi sposób jest trudniejszy, ale w demokracji znacznie bardziej efektywny. Punktem wyjścia jest uznanie rządu, państwa – ograniczają się do aktów samoobrony. Nikt z nas nie oczekiwał od nich, że przyczynią się do zmiany.

Jestem przekonany, że podjęta przez Ficę próba zawłaszczenia państwa i społeczeństwa podobnie jak poprzednie zakończy się niepowodzeniem. Jednak aby tak się stało, trzeba ją traktować jako codzienne wyzwanie i apelować o udział w walce o demokrację. ●

Martin M. Šimečka
Tłum. Andrzej S. Jagodziński

„UFO nad Bratysławą”. Weronika Gogola opowiada o kraju, który wydał Janosika i leży nad trzema morzami, z których tylko jedno jest prawdziwe, a i tak nie ma do niego bezpośredniego dostępu. Książka do kupienia w dobrych księgarniach, na stronie wyd. Czarne i w formie e-booka na Publio.pl.



FOT. PETR DAVID JOSEK/AP

Na szczęście władza posiadana przez Ficę nie da się porównać z tą z czasów komunistycznych, ale ideologia już jest całkiem porównywalna – ich wspólnym mianownikiem jest to, że obie są martwe, choć za wszelką cenę udają, że żyją.

Na szczęście władza posiadana przez Ficę nie da się porównać z tą z czasów komunistycznych, ale ideologia już jest całkiem porównywalna – ich wspólnym mianownikiem jest to, że obie są martwe, choć za wszelką cenę udają, że żyją.

Na szczęście władza posiadana przez Ficę nie da się porównać z tą z czasów komunistycznych, ale ideologia już jest całkiem porównywalna – ich wspólnym mianownikiem jest to, że obie są martwe, choć za wszelką cenę udają, że żyją.

Na szczęście władza posiadana przez Ficę nie da się porównać z tą z czasów komunistycznych, ale ideologia już jest całkiem porównywalna – ich wspólnym mianownikiem jest to, że obie są martwe, choć za wszelką cenę udają, że żyją.

Na szczęście władza posiadana przez Ficę nie da się porównać z tą z czasów komunistycznych, ale ideologia już jest całkiem porównywalna – ich wspólnym mianownikiem jest to, że obie są martwe, choć za wszelką cenę udają, że żyją.

Na szczęście władza posiadana przez Ficę nie da się porównać z tą z czasów komunistycznych, ale ideologia już jest całkiem porównywalna – ich wspólnym mianownikiem jest to, że obie są martwe, choć za wszelką cenę udają, że żyją.

W czasie „normalizacji” było to całkiem proste: ówczesnego państwa nie

wyborcza

magazyn wyborczej **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Kinarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,

faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



NAJBARDZIEJ LUKSUSOWY DOM STARCÓW NA ŚWIECIE

Za 12 lat różnica w zamożności Amerykanina i Europejczyka będzie tak duża jak dziś między Europejczykiem i Hindusem

Andrzej Lubowski

20 lat temu, gdy Ameryka ruszała na wojnę w Iraku, mówiono, że Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus i że najlepszy sposób, aby poprawić nadszarpnięte relacje między USA a Unią Europejską, to przestać udawać, że transatlantyccy partnerzy to najlepsi przyjaciele. Po G.W. Bushu czar Obamy uwiódł Europę i zrobiło się bardziej sympatycznie.

Trump dramatycznie to zmienił, co raz pokazując Europie środkowy palec. Ulgę i wyraźne zbliżenie przyniósł wybór Bidena. Ale dopiero napaść Rosji na Ukrainę ożywiła na dobre sojusz transatlantycki. Ożywiła, co nie znaczy scementowała. Bo przyszłość Sojuszu zależy w olbrzymim stopniu od wyników przyszłorocznych wyborów prezydenckich w Ameryce.

W natłoku znaków zapytania jedno jest pewne. Gospodarka Ameryki w ostatnich 15 latach rozwijała się na tyle szybciej niż gospodarka Europy, że coraz bardziej iluzoryczne stają się aspiracje Europy do „strategicznej autonomii”. Innymi słowy, Europa coraz bardziej, nie tylko militarnie, zależy będzie od Ameryki. Pod względem potencjału gospodarczego Ameryka ucieka Europie.

15 lat temu, gdy świat dopadł głęboki kryzys finansowy, gospodarka Unii pod względem PKB była nieco większa niż Stanów Zjednoczonych (16,2 wobec 14,8 biliona dolarów). Następne lata były trudne dla obu partnerów, ale Ameryka radziła sobie wyraźnie lepiej niż Europa. Żaden z tych regionów nie doświadczył szybkiego wzrostu, lecz nawet niewielkie różnice, które się powtarzają, dają efekt kumulacji. Tu kłania się procent składany, który Albert Einstein nazwał kiedyś ósmym cudem świata. „Ten, kto to rozumie, zarabia. Ten, kto nie – płaci” – mówił Einstein. Odnosił się do inwestycji, natomiast gdy idzie o wzrost gospodarczy, to różnica między tempem 2-procentowym a 3-procentowym to nie 1 proc., a 50 proc. W praktyce kraj, który rośnie w tempie 2 proc., potrzebuje 36 lat, aby podwoić swój produkt, a kraj o tempie 3 proc. podwoi go w 24 lata.

Dziś gospodarka USA to niemal 25 bilionów dolarów. Unia plus Wielka Brytania to niespełna 20 bilionów. Dystans się powiększa. A powiększa się z oczywistego powodu: właśnie różnicy w średnim tempie wzrostu.

Wedle raportu European Centre for International Political Economy, niezależnego think tanku z siedzibą w Brukseli,

w 2010 r. PKB na mieszkańca w USA był o 47 proc. większy niż w UE. W 2021 różnica dramatycznie wzrosła – do 82 proc.

Gdyby ta tendencja miała się utrzymać, to w 2035 r. średni PKB na mieszkańca USA wyniesie 96 tys. dolarów, podczas gdy średni PKB na mieszkańca UE 60 tys. dolarów. Czyli: jeśli utrzyma się trend z ostatnich lat, to za 12 lat różnica w zamożności przeciętnego Amerykanina i Europejczyka będzie tak duża jak obecnie pomiędzy przeciętnym Europejczykiem i Hindusem.

Te prognozy stanowią ostrzeżenie i przypomnienie, jak ważne jest tempo innowacji. I jak uzasadnione są obawy o konkurencyjność Europy.

Jeśli bowiem jakaś zaawansowana cywilizacja od czasu do czasu zerka na Ziemię, to się nie pomyli, nazywając Amerykę krainą innowacji z niedostatkiem regulacji, zaś Europę krainą regulacji z niedostatkiem innowacji.

Ironicznie brzmiące pytanie „mocarstwo czy muzeum” w odniesieniu do przyszłości Europy jest w pełni uzasadnione. Powojenne prosperity uśpiło Europę Zachodnią. Po tragediach wojny rozkoszowała się spokojem. Uważała, że dobrobyt jej

się należy. Krytykowała przy każdej okazji Amerykę i biła się w piersi za grzechy kolonializmu, ale sama nie kiwnęła palcem, gdy doszło do ludobójstwa w Rwandzie i na Bałkanach, a potem w Darfurze. W zachodniej części kontynentu żyło się dostatnio w poczuciu moralnej wyższości. Amerykański parasol ochronny dawał poczucie bezpieczeństwa, silne związki zawodowe skutecznie chroniły zdobycze społeczne, a napływ imigrantów łagodził napięcia na rynku pracy. Potem upadł komunizm i w całej niemal Europie zapanował demokratyczny porządek. Jeszcze 20 lat temu spowita oparami optymizmu Europa aspirowała do roli modelu cywilizacji jutra.

Lecz już wtedy Zbigniew Brzezinski pisał, że „zadowolona z siebie Unia zachowuje się tak, jakby za swój cel polityczny uważała stworzenie najbardziej luksusowego domu starców na świecie”.

Bo spoza fasady wyzierały od co najmniej dwóch dekad zarysy rozmaitych słabości naszego kontynentu.

1. Europejski system świadczeń społecznych jest rozdarty poza możliwości finansowe. Trendy demograficzne – szybkie starzenie się kontynentu – będą to zagrożenie potęgować.

2. Nakłada się na to nadmierna biurokracja i niska skłonność do innowacji, co osłabia zdolność Europy do konkurencyjności na rynkach światowych.

3. Brakuje wciąż jasnej polityki w kwestii imigracji, zaś względy poprawności politycznej szalenie komplikowały i nadal komplikują debatę w tej dziedzinie.

4. W mechanizmie integracji gospodarczej zgrzyta – na przykład brakuje narzędzi do dyscyplinowania suwerennych krajów, gdy łamią wspólnie przyjęte zasady.

5. Kontynent nie jest w stanie sam się bronić i aż do chwili inwazji Rosji na Ukrainę do niechęci traktował swe zobowiązania do ponoszenia kosztów wspólnej obrony.

6. Europa pozwoliła sobie na nadmierne uzależnienie od importu energii z Rosji – błąd, którego cenę uświadocniło dopiero imperialne awanturnictwo Putina.

A zawierucha z greckim długiem przypominała, że europejska konsumpcja przez lata wyprzedzała wzrost produktywności, zaś koszty państwa opiekuńczego wyprzedzały możliwości gospodarki.

W konsekwencji Europa posuwała się i nadal posuwa do przodu w zółtim tempie albo wręcz się cofa. Ostatnie cztery lata to trzy lata spadków PKB dla całej Unii



i jeden rok wzrostu – w przypadku USA to trzy lata wzrostu i jeden rok spadku.

W 2000 r. w Lizbonie, z wielkimi fanfarami Unia przyjęła plan przekształcenia się do 2010 r. w „najbardziej konkurencyjną, opartą na wiedzy gospodarkę świata”. Za pożądane uznano zwiększenie udziału wydatków na R&D (badania i rozwój) do 3 proc. PKB dla całej Unii. Kraje członkowskie miały ograniczyć biurokrację, wzmocnić zachęty dla przedsiębiorczości i podnieść stopień aktywności zawodowej do 70 proc. dla mężczyzn i 60 proc. dla kobiet.

Realizacja tych celów wygląda bardzo różnie w różnych krajach. Średni stopień aktywności zawodowej w przedziale wiekowym 20-64 w całej Unii wyniósł w drugim kwartale 2023 r. 75 proc., ale w Polsce tylko 58,2 proc., a w krajach bałkańskich jeszcze mniej. Natomiast udział wydatków na R&D do dziś jest w Unii niższy, niż zakłada-

Europa nie dorobiła się własnych odpowiedników takich gigantów jak Apple, Microsoft, Alphabet (czyli Google), Amazon, Nvidia, Meta (dawniej znany jako Facebook) czy Tesla – wszystkie one figurują w pierwszej dziesiątce światowych firm pod względem wartości kapitałowej. W pierwszej setce mieszczą się tylko dwie europejskie firmy z tradycyjnie pojmowanego high-techu: holenderski potentat w zakresie półprzewodników ASML i niemiecka firma oprogramowania SAP. Pozostale to firmy farmaceutyczne: Novo Nordisk, Roche, Novartis, AstraZeneca i Sanofi, kilka firm chemicznych i tradycyjnie kojarzone z Europą: konsorcjum marek luksusowych LVMH vel Moët Hennessey Louis Vuitton, Dior, Hermes, L’Oreal i Nestlé.

W 1990 r. na Europę przypadało ponad 40 proc. światowej produkcji półprzewodników. Dziś przypada 9 proc. Ameryka znalazła się w niewiele lepszej sytuacji (12 proc.) – i w nowej sytuacji geopolitycznej, gdy Chiny prężą muskuły i przestały kryć swe imperialne ambicje. Dlatego jedni i drudzy zdecydowali się przeznaczyć wielkie sumy na nadrabianie strat. Amerykański rząd wydatkuje na ten cel 53 mld dol., Unia 47 mld. Za dwa lata w Stanach ruszy 14 nowych fabryk półprzewodników.

W odróżnieniu od swego poprzednika – i kto wie, czy nie następcy – prezydent Biden podobnie jak Europa postrzega zagrożenia klimatyczne i ostro inwestuje w zieloną energię i samochody elektryczne. Teslę, która wyszła pierwsza z bloków startowych, już wyprzedzają Chińczycy, lecz na razie utrzymuje przewagę nad Europą. W pierwszym półroczu 2023 udział Tesli w rynku aut elektrycznych wyniósł 22 proc. Na cztery największe firmy europejskie (VW, BMW, Mercedes, Audi) przypada łącznie 12 proc. tego rynku. A lada moment czeka nas wysyp aut elektrycznych produkcji General Motors i Forda, wspieranych szczodrymi bodźcami podatkowymi dla nabywców. Premiowane są także zakupy używanych samochodów elektrycznych. Chrysler szykuje się do tego, aby w 2028 r. produkować wyłącznie elektryki.

Ameryka bije Europę na głowę przynajmniej w dwóch sferach o krytycznym znaczeniu. Pierwszy to energia. Drugi to skala rynków kapitałowych.

Stany dysponują obfitymi i tanimi krajowymi źródłami energii i zbudowały samowystarczalność energetyczną. Dla Europy dzwonkiem alarmowym okazała się dopiero wojna w Ukrainie – i to ona przyspieszy transformację energetyki. Przed inwazją na Rosję przypadało 45 proc. importu gazu do UE. Teraz 13 proc. To jeszcze daleko do poziomu bezpiecznego.

Łatwiejszy dostęp do kapitału w Stanach niż w Europie ma podwójne skutki. Amerykanom łatwiej przejąć atrakcyjne europejskie firmy, przypadki odwrotne są rzadkie i jak dotąd mało spektakularne. Microsoft w 2011 r. kupił Skype, firmę założoną przez Szweda i Duńczyka, bazującą na oprogramowaniu z Estonii, a w 2014 r. biznes telefonii komórkowej od fińskiej Nokii. W tymże roku Google przejął brytyjską firmę Deep Mind, jednego z liderów sztucznej inteligencji. Wiele wskazuje na to, że w dziedzinie AI, której możliwości i zagrożenia dopiero zaczynamy rozumieć, przynajmniej początkowo pierwsze skrzypce będą grać USA i Chiny.

Ale jeszcze ważniejszy jest fakt, że znacznie większe, sprawniejsze i bardziej doświadczone amerykańskie rynki kapitału podwyższonego ryzyka zasilają szczerze rynek nowych technologii. W tej materii nie do przecenienia i trudne do przeskokcenia są różnice między Ameryką a Europą w postawach, stopniu akceptacji ryzyka i traktowaniu porażki jako elementu drogi do sukcesu.

W Stanach badania naukowe przekładają się łatwiej niż w Europie na innowacje technologiczne; tamtejsze ustawodaw-

stwo daje uniwersytetom, których badania finansowane są ze środków publicznych, udział w korzyściach finansowych płynących z tych badań. A wiele wspaniałych uniwersytetów to uczelnie prywatne, więc tego rodzaju ograniczenia nigdy nie istniały. Kluczowa natomiast jest znacznie bardziej symbiotyczna niż w Europie natura relacji nauki i biznesu. No i oczywiście poziom tej nauki na najlepszych uniwersytetach.

Dolina Krzemowa – symbol innowacji i przedsiębiorczości – nie przypadkowo powstała tam, gdzie powstała. Jej intelektualnym zapleczem są dwa uniwersytety z pierwszej piątki światowego rankingu: Uniwersytet Stanforda i Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley. A wspomniana symbioza, która procentuje fontanną innowacji, nie bierze się z wody i powietrza. Służą jej starannie skonstruowane mechanizmy.



**W 1990 r. na Europę
przypadało ponad
40 proc. światowej produkcji
półprzewodników.
Dziś 9 proc.**

**W 2010 r. PKB na mieszkańca
w USA było o 47 proc. większy
niż w UE.
W 2021 r. o 82 proc.**

Stanford, który może się poszczycić 20 żyjącymi noblistami (9 z ekonomii, 5 z chemii, 4 z fizyki i 2 z medycyny), czerpie setki milionów dolarów rocznie z tytułu komercjalizacji idei zrodzonych na uczelni. Office of Technology Licensing (OTL) ocenia obiecujące technologie opracowane przez pracowników i studentów, kreśli strategię dotyczącą własności intelektualnej, zarządza postępowaniami patentowymi, uczestniczy w identyfikacji firm zainteresowanych rozwojem produktów opartych na tej technologii, określa strategię licencyjną i negocjuje umowy licencyjne z zainteresowanymi firmami. Buduje i utrzymuje długoterminowe relacje z firmami, które licencjonują technologię opracowaną na uczelni. I wreszcie zajmuje się dystrybucją tan-
ciem. OTL to przeszło 50-osobowy zespół, którym dziś kieruje posiadaczka doktoratu z genetyki molekularnej uzyskanego na Uniwersytecie Zuryjskim.

Podobnie rzecz się ma w Berkeley, uczelni, która ma na koncie 110 Nagród Nobla, więcej niż Francja, Chiny, Indie razem wzięte. Biuro ds. Własności Intelektualnej i Sojuszy na rzecz Badań Przemysłowych (IPIRA) zajmują się patentowaniem i licencjonowaniem własności intelektualnej generowanej w Berkeley oraz odpowiada za negocjowanie umów i dotacji z partnerami branżowymi.

Na liście najlepszych światowych uniwersytetów ARWU (Academic Ranking of World Universities), czyli słynnego rankingu szanghajskiego, Stanford zajmuje drugie, a Berkeley piąte miejsce. W sumie w top 20 znajduje się 15 uczelni amerykańskich, 3 brytyjskie, jedna szwajcarska i jedna unijna, Paris-Saclay – na miejscu 16.

W pierwszej pięćdziesiątce zmieściły się jeszcze dwie inne uczelnie francuskie (Sorbona i PSL Research) oraz Uniwersytet Kopenhaski i szwedzki Instytut Karolinska, zaś w pierwszej setce dodatkowo cztery uczelnie niemieckie, trzy holenderskie, dwie belgijskie i po jednej z Francji, Danii i Szwecji. Uniwersytety Jagielloński i Warszawski wylądowały w piątej setce, AGH trafiło do ósmej, a Politechnika Warszawska, Uniwersytet im. Mickiewicza w Pozna-

niu, Uniwersytet im. Kopernika w Toruniu i Warszawski Uniwersytet Medyczny to dziewiąta setka świata.

Na początku minionego stulecia berliński Uniwersytet Humboldta był modelem dla reszty świata, a Stanford i Uniwersytet Chicagowski stanowiły jego imitację. Dziś w rankingu AWRU najwyższej notowana uczelnia niemiecka, Uniwersytet w Heidelbergu, jest na miejscu 55.

Komisja Europejska kwestionuje czasem te rankingi, ale przyznaje, że jakość szkolnictwa wyższego to dziś barometr globalnej konkurencyjności i bez jego poprawy strategia modernizacji skazana jest na porażkę. Europa ma wprowadzić światowej klasy centra badawcze, jak choćby genewski CERN czy Europejskie Laboratorium Biologii Molekularnej w Heidelbergu, ale większość europejskich placówek badawczych zżera zmora biurokracji. Uży-
skanie patentu trwa w Unii znacznie dłużej niż w Ameryce.

Co się dzieje później? W ciągu godziny Europejczyk wytwarza z grubsza tyle co Amerykanin, ale pracuje krócej albo w ogóle nie pracuje, korzystając ze szczodrych systemów pomocy społecznej. W zbiorowej świadomości Francuzów na przykład, ostrzej niż wśród Anglików czy Amerykanów, praca najemna jawi się jako forma eksploatacji. Podczas gdy Amerykanie czy Anglicy bronią się ze wszelkich sił przed wcześniejszą emeryturą, Francuzi i Polacy o nią z pasją zabiegają. Dania miała do niedawna najniższy w Unii wskaźnik bezrobocia wśród młodych, bo miała najbardziej liberalne prawo pracy. Tam, gdzie łatwiej pracownika zwolnić, pracodawca jest bardziej skłonny go zatrudnić. Tymczasem młodzi Francuzi gotowi są pójść na barykady, aby zachować przywilej utrzymania się na pierwszej w życiu posadzie przez co najmniej dwa lata.

Unia wciąż nie jest przyjazna typowej małej firmie europejskiej – 9 na 10 zatrudnia mniej niż 10 osób. Są 23 miliony takich firm w Unii, dochodzi do nich około 1,3 miliona firm zatrudniających od 10 do 49 pracowników. To małe i średnie firmy stanowią kręgosłup unijnej gospodarki. Od ich kondycji zależeć będzie tempo rozwoju europejskiej gospodarki.

Oczywiście tempo wzrostu nie powinno być celem samym w sobie. Tradycyjnym miarom postępu i jakości życia stawia się słusznie wiele zarzutów. Jeszcze niedawno chiński ekspres pędził, generując dwucyfrowe tempo wzrostu PKB, lecz niszcząc przy okazji środowisko, ludzkie zdrowie i wszystko, co się z tym wiąże.

Dziś podobny niepokój budzi szybki wzrost gospodarki Indii. Chiny i Indie to numery 1 i 3 na liście największych emitentów dwutlenku węgla – choć gwoli sprawiedliwości Unia emituje go więcej niż Indie w przeliczeniu na głowę. Tempo wzrostu niewiele nam mówi – a dokładnie nic – o jakości życia, kulturze, oświacie, ochronie zdrowia, trosce o starszego i słabszego, o równowadze czy jej braku między pracą, odpoczynkiem, życiem rodzinnym czy towarzyskim. Ale w ostatecznym rachunku tempo wzrostu ma znaczenie – stagnacja zwykle ogranicza możliwości ekonomiczne dużych grup, zwłaszcza młodych. Gdy zanika dynamizm, często gaśnie optymizm, gotowość i do podejmowania ryzyka, i do dzielenia się dostatkiem z innymi, skraca się perspektywa. Zdrowo rozwijająca się gospodarka jest podstawą realizacji materialnych potrzeb i ambicji, jakie mamy jako jednostki i społeczeństwa. W przypadku większości wyzwań stojących przed Europą – takich jak zagrożenia klimatyczne czy opieka nad starzejącymi się społeczeństwami – gospodarcza stagnacja to kiepski scenariusz, a wyższe stopy wzrostu są niezbędnymi elementami rozwiązania.

Sprawne państwo opiekuńcze, a takie cenimy w Europie bardziej, niż ceni je Ameryka, też zyska na szybszym wzroście. ●



FOT. SHUTTERSTOCK

no, i dużo niższy niż w Japonii, Korei Południowej czy Stanach Zjednoczonych. Wśród krajów Unii tylko Szwecja, Finlandia, Dania, Belgia i Niemcy osiągnęły planowany przeszło 20 lat temu w Lizbonie poziom. Powyżej 2 proc., ale mniej niż postulowane 3 na R&D, przeznaczyły Francja, Holandia, Czechy, Norwegia, Słowenia i Estonia. Reszta Unii i na to się nie zdobyła (Polska 1,5 proc.).

W 2022 r. średnia udziału wydatków na R&D w PKB dla całej Unii wyniosła 2,6 proc.

W przeliczeniu na głowę mieszkańca wydatki na R&D w unijnej czołówce kształtowały się następująco:

1. Szwecja – 1890 dol.
2. Niemcy – 1760 dol.
3. Austria – 1730 dol.
4. Dania – 1700 dol.
5. Finlandia – 1500 dol.

Zaś światowa czołówka to:

1. Singapur – 2300 dol.
2. Korea Południowa – 2050 dol.
3. USA – 1965 dol.
4. Tajwan – 1956 dol.
5. Izrael i Szwecja – 1890 dol.

W europejskim krajobrazie technologicznym dominują firmy amerykańskie.

Pojechałem do Armenii po lekcję młodej demokracji. Przywiozłem ostrą klasówkę z konfliktu, wojny, martwego ducha Rosji, nadziei, depresji i chaosu.

Ziemowit Szczerek

Pociąg ze stolicy Gruzji, Tbilisi, do Erywanii, jedyny, którym można się do Armenii dostać, przyjeżdża wczesnym rankiem. Jest jedyny, bo sytuacja międzynarodowa Armenii wygląda, ogólnie, średnio.

Armenia graniczy bowiem tak: z Gruzją, z której przyjechałem; z Iranem, skąd pociągi nie jeżdżą, a transport idzie górzystym regionem zwanym Zangezurem; z Turcją, która wiek temu dokonała ludobójstwa Ormian i jest obrażona za te „pomówienia”, granicę z Armenią utrzymuje zamkniętą.

I z Azerbejdżanem, bliskim sojusznikiem i pobratymcem Turcji (turecki i azerski są w dużym stopniu wzajemnie zrozumiałe), który kilka tygodni temu podbił Górski Karabach, własną zbuntowaną prowincję, gdzie Ormianie stworzyli trzy dekady temu własne quasi-państwo, wyrzucając z niego Azerów. Teraz, gdy Azerowie wrócili, wspierani tureckim uzbrojeniem, Ormianie, 100 tys. ludzi, uciekli.

No więc sytuację geopolityczną ma Armenia, jak widać, skomplikowaną. Normalne relacje posiada tylko z Iranem, państwem fanatyków religijnych, pariasem dużej części świata. I z Gruzją. Z której właśnie przyjechałem.

Erywań jeszcze śpi. Na dworcu można kupić bułkę i całkiem niezłą kawę w kiosku od zasnętego faceta w czarnej skórzanej kurtce. Można to popijać, zagryzając i patrzeć na policjantów w radzieckoidalnych mundurach szepczących coś konfidencjonalnie z innymi facetami w czarnych skórzanych kurtkach. I rozkoszować się napisem „I <3 Armenia” w upiornie pustej, gigantycznej hali dworcowej.

Przed dworzec zjeżdżają handlarze. Stare auta, poobijane. Vany, półciężarówki. Przyjechały z poderywańskiej wsi. Handlarze otwierają paki i wyciągają: kukurydzę, paprykę, jabłka, gruszki. Palą papierosy, popijają kawę – wszędzie w Erywanii stoją automaty z kawą, jakby poranek bez niej był niemożliwy, zresztą może i jest niemożliwy. Metro o poranku jest zatłoczone jak w Japonii, ale nie tak czyste ani akuradne. W wagonach ludzie stoją na sobie, wpierają się w siebie. Żołnierze, młode chłopaki, mrugają na siebie jak uczniaki, pokazując sobie wzrokiem, w tym tłumie, dziewczyny, które im się podobają. Jak się ich zagada, czy się nie boją, bo może znowu wojna będzie, może znowu Azerbejdżan będzie cisnął, bo już teraz się domaga korytarza do swojej prowincji – Nachiczewanu, który od Azerbejdżanu „właściwego” oddziela



• **Zwolennicy premiera Armenii Nikoli Paszyniana biorą udział w wiecu w centrum Erewania**
FOT. AREG BALAYAN/AP

POLITYCZNA KOLEJKA PO PAPIEROSY

armenjskie terytorium, tak samo, jak Prusy Wschodnie od Niemiec oddzielał polski „korytarz”, to chociaż jak uczniaki. A potem się puszą i prężą.

– A może będzie – mówią. – To co! Nasi ojcowie dali im radę, to my im też damy.

BIAŁY KAMIEŃ

No tak, ojcowie dali radę. Na początku lat 90., po rozpadzie ZSRR, podczas pierwszej wojny o Karabach, wygnali swoich azerskich sąsiadów i urządzili w Karabachu swoje quasi-państwo. Nie obyło się bez zbrodni i przemocy. Po obu stronach. Ale weźmy takie azerskie miasto Agdam, którego nazwa oznaczała „biały dom”, jego budulcem był bowiem biały kamień, którego sporo można było znaleźć w okolicy. I został z niego biały kamień na białym kamieniu. Zostało zrównane przez karabaskich Ormian z ziemią, żeby stworzyć wokół Karabachu coś w rodzaju ochronnego pęcherza. Za czasów ormiańskiego panowania nie wolno było tam wjeżdżać, to znaczy teoretycznie, bo praktycznie, jak to często bywa, się dało. Kręciłem się więc swego czasu po ruinach tego umarłego miasta, chowałem przed karabaską policją i patrzyłem, jak karabascy Ormianie wywożą resztki jego białych kamieni na budowę własnych domów.

– Trzeba było tych Azerów oszczędzić – mówili mi wtedy karabascy Ormianie, gdy opowiadali o pierwszej wojnie o Karabach. – Dupy z nich były, nie żołnierze. Jakbyśmy chcieli, to byśmy i do Baku doszli, a wystarczyło, że ich wywaliliśmy z Karabachu i do widzenia.

Teraz, kiedy Azerowie wrócili i z kolei wywalili Ormian z Karabachu, opinia panuje raczej od-

wrotna: że to Ormianie to dupy, nie żołnierze. Inna sprawa, że nie do końca jest to prawdą. Po prostu w poprzedniej karabaskiej wojnie Azerowie nie mieli, jak teraz, wsparcia potężnej Turcji. Ormianie, co prawda, powinni mieć wsparcie Rosjan, którzy nie tylko mają bazy na terytorium Armenii, nie tylko utrzymywali swoje siły w Karabachu, ale też – w ramach „wschodniego NATO”, czyli Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, którego zarówno Rosja, jak i Armenia są częścią (Azerbejdżan nie jest). Ale w czasie, gdy Azerowie wyrzucali ich z Karabachu – wsparcia Rosji nie mieli. I coraz więcej Ormian wątpi, czy będą mieli w sytuacji, gdy Azerbejdżan będzie starał się wymusić od nich „korytarz” przez Zangezur. A amerykański Departament Stanu ostrzega półoficjalnie, że do takiego ataku faktycznie może dojść. Premier Nikol Pashinyan jeszcze przed ostateczną azerską ofensywą na Karabach zaczął się bardzo mocno dystansować od Rosji: ogłosił, że w wojnie ukraińsko-rosyjskiej Armenia wcale nie stoi po stronie Moskwy, bo Rosjanie są, jako sojusznik, bezużyteczni.

Wojsko Armenii odbyło ćwiczenia z amerykańskimi komandosami, żona Nikoli Paszyniana odwiedziła prezydenta Zełenskigo w Ukrainie, pojechała do Buczy. I, co wydaje się największym ciosem w Rosję, Armenia przyjęła rzymski statut Międzynarodowego Trybunału Karnego nakładający na kraj, który odwiedza prezydent Rosji Władimir Putin, obowiązek natychmiastowego jego aresztowania. Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że bezczynność Rosji w czasie zajmowania przez Azerbejdżan Karabachu mogła wynikać właśnie z chęci pokazania Pa-

szynianowi, czym się kończy takie pokazywanie Moskwie nieprzystojnych gestów. Inni, jak na przykład analityk Ruben Mehrabyan – że dzięki takiej polityce Paszyniana być może Armenii w końcu udałoby się zerwać więzi z Moskwą.

Ale za jaką cenę? Bez Rosji Armenia pozostałaby zupełnie sama wobec Turcji i Azerbejdżanu, w których to krajach antyormiański sentyment jest tak silny, że strach na ulicy się przyznać, że się ma w ogóle cokolwiek wspólnego z Armenią.

Z drugiej strony, jak mówią zwolennicy premiera Paszyniana: a czy w tej chwili Armenia nie jest sam na sam z Turcją i Azerbejdżanem? A czy w II wojnie o Karabach, w 2020 roku, Rosja nas obroniła? Czy obroniła nas w 2023 roku? Czy nie lepiej przeboleć stratę Karabachu i próbować jakoś ułożyć sobie relacje z Turcją i Azerbejdżanem? Doprowadzić do otwarcia granic?

KOLEJKOWE WIZJE

W tej skomplikowanej sytuacji trudno się dziwić, że Ormianie zaskakująco dużo rozmawiają o geopolityce. Wszędzie. Stałem w kolejce, żeby kupić papierosy – dowiedziałem się, że era dominacji Rosji w tej części świata jest skończona i że Rosję zastąpić ma Turcja. Chciałem wypożyczyć auto, żeby pojechać w teren zagrożone azerskim najazdem – dowiedziałem się, że źle, że Turcja, a nie Rosja, będzie rządzić na Kaukazie, ale też dobrze, bo Rosja i tak rządzi do dupy, a Turcja, choć naród ludobójców i ogólnie wariatów, to jest w NATO, a NATO rządzi Amerykanie.

Ale zawodowi politycy snują tam wizje jeszcze bardziej dziwne.

Taki na przykład Armen Hajrapetian z całkiem świeżej partii Sojusz Narodowo-Demokratyczny, która powstała na fali społecznego niezadowolenia z polityki premiera Nikoli Paszyniana w czasie pandemii COVID-19 i złożyła się z kilku pomniejszych partii określających się jako „prodemokratyczne”, często jednak „nacjonalistyczne”, chodzi w podkoszulce Wielkiej Armenii, czyli z terenem wschodniej Turcji, kawałkiem Gruzji, Iranu i Azerbejdżanu, a wiatr wiejący w Armenii będzie wiał z Zachodu.

Podobnie uważa premier Nikol Paszynian, który po rosyjskiej bezczynności, gdy Azerowie najpierw okroili, a potem zajęli cały Karabach, głosi, że taki sojusz z Rosją nie jest Armenii do niczego potrzebny i że Rosja powinna się z Armenią i jej baz wynieść. Ale Armen Paszyniana nie cierpi, więc jednocześnie i zgadza się z nim, i nie zgadza. Zgadza, bo „precz z Ruskimi”, ale nie zgadza, bo Paszynian jest „ruskim agentem”, a jeszcze „tureckim”. Ale to nic specjalnego, mówi Armen, bo ruskimi agentami byli właściwie wszyscy prezydenci niepodległej Armenii. Teraz, na szczęście, mówi Armen, czasy nadchodzą nowe. Rosja, faktycznie, słabnie, a więc, faktycznie, do regionu wejdzie Turcja, a za Turcją – Ameryka, a że Ameryce nie podobają się turecka polityka panoszenia się w regionie, to będzie musiała się przeciw Turcji zjednoczyć razem z Armenią, a także Iranem, tak, Armen wie, że Iran i Ameryka się wzajemnie nienawidzą, ale w tej sytuacji, mówi, mają wspólny, antyturecki i antyazerbejdżański interes, tym bardziej, kombinuje Armen, że przecież w Iranie mieszka od cholery Azerów, a poza tym Izrael, sojusznik Azerbejdżanu, ma śmiertelną kosę z Iranem, więc tym bardziej Iran ma powód, żeby się tu zaangażować po stronie Armenii i Ameryki, no, sytuację niby tu trochę komplikuje fakt, że USA i Izrael to sojusznicy, płacze się nieco Armen, ale po chwili strząsa wątpliwości i oznajmia, że już niedługo, tak, pi razy oko, za dwa lata, Armenia będzie, kosztem Turcji i Azerbejdżanu, wielka jak ta na jego podkoszulce. Pomogą Stany, no i, oczywiście, Francja, tradycyjna sojuszniczka Armenii, bo to we Francji mieszka wielu Ormian z diaspory. A tak w ogóle to tak po prostu Armenia powinna wyglądać, niezależnie od wszystkiego, bo to są granice Armenii zaakceptowane po I wojnie światowej w ramach rozejmu w Mudros, pokoju w Sevres itd., i że w związku z tym wycofaniem się Rosji, wejściem Turcji, antytureckim, wewnętrznym, a zarazem zewnętrznopactowskim sojuszem USA z Armenią i chwilowym sojuszem z Iranem...

Mnie też głowa rozboleła.

CHAOS I DEPRESJA

Chwilę musiało mi zająć, nim wróciłem do rzeczywistości, w której na razie nie ma Wielkiej Armenii, na razie jest mała, bez Karabachu, z zagrożonym własnym terytorium, a na ulicach Erywanii co jakiś czas

zobaczyć można samochody z rejestracjami, które mają cyfry 90 albo 22. To auta uchodźców z Karabachu. Po azerskiej ofensywie, przed którą karabascy Ormianie nie mieli szans się obronić, po kapitulacji karabaskich władz, bezczynności Rosjan i wymuszonej bierności Armenii (premier Paszynian co jakiś czas musi się ukrywać przed chcącym jego głowy tłumem protestujących uważających go za zdrajcę i nie pokazuje się publicznie) uchodźcy z Karabachu musieli rzucić swoje dotychczasowe życia i – w zupełnej pustce, we własnym niby-kraju, ale w obcych miastach i regionach – rozpoczynać je od nowa.

Pod nadal działającą ambasadą Karabachu kręcą się uchodźcy potrzebujący urzędowej pomocy czy wsparcia.

– No co powiedzieć, wygnali nas i tyle, możemy roić o powrocie, ale do czego tam wracać, jeśli tam teraz Turcy (tak Ormianie nazywają również Azerów), a my nie mamy jak ich stamtąd wykurzyć? – mówił mi pan Tigran, który czekał przed ambasadą na żonę w swoim poobijanym SUV-ie („poszła coś załatwić i już jej godzinę nie ma”). Państwo pomaga, owszem, jak może, rozprowadza ludzi po całej Armenii, niektórzy jadą do Rosji, inni na Zachód się starają, ale to wszystko jednak chaos, depresja.

Dziennikarz Marat ze stołecznego karabaskiego, a raczej byłego stołecznego Stepanakertu mówi, że nie ma czasu się obejrzeć, taki jest zabiegany w tych wszystkich urzędowo-życiowych sprawach związanych z przeniesieniem całego swojego życia do Erywania. I tylko na media społecznościowe wrzuca smutne i nostalgiczne zdjęcia ze Stepanakertu. Albo cytaty biblijne o upadku Jeruzalem.

A najgorsze jest to, że to wszystko, być może, nie koniec. Bo „korytarz” w Zangezurze to jedno. Ale pozostaje jeszcze kwestia azerskich enklaw na terenie Armenii. Bo i takie są. To znaczy są teoretycznie, według prawa międzynarodowego, ale praktycznie sprawa wygląda inaczej. Praktycznie są od ponad 30 lat zajęte przez Armenię i mieszkają w nich Ormianie. To samo zresztą, tylko w drugą stronę, stało się z armeńskimi enklawami w Azerbejdżanie.

Jeszcze gorzej, że przez jedną z nich, Kərki, której Ormianie zmienili nazwę na Tigranaszen, przechodzi główna droga łącząca północ z południem kraju. Jedzie się tam przez kamieniste pustkowia, w którym czasem poutykane są miejscowości o domach z lokalnego różowego tufu wulkanicznego w różnych odcieniach. W ogóle cała Armenia zbudowana jest z cegieł z tufu, a te jak klocki. To kraj zbudowany z takich samych klocków. Równych, sporych i wychodzi z tego prastary klasztor gdzieś na skale albo komunistyczny blok w wyrafinowanym kształcie, albo miejska kamienica czy brutalistyczny budynek publiczny z czasów radzieckich. Armenia w ogóle wygląda, jakby ktoś ją zaprojektował. Całą. Jeśli wjechać do niej z Gruzji, od strony Tbilisi, to krajobraz zmienia się momentalnie. Człowiek stoi na przejściu granicznym pod Sadachlo i nie wierzy własnym oczom: po gruzińskiej stronie zielone, soczyste wzgórza, a po armeńskiej – bardziej suche, wypłowiałe. Jak grzbiety dwóch kotów.

TURECKI SZPIEG

Z drogi do Kərki/Tigranaszen widać już Turcję. A konkretnie – świętą prawię i symboliczną dla Ormian górę Ararat, wokół której dawniej żyli, a która dziś nawet nie leży na ich terytorium. Codziennie muszą na nią patrzeć i nie

mogą dotknąć. To mocno perwersyjna sprawa, bo Ararat jest w Armenii wszędzie, bo koniak Ararat, knajpy Ararat, klub Ararat, imię Ararat. I tylko nie ma go w Armenii.

Droga do Kərki/Tigranaszen jest, owszem, porządna i nowa, ale wystarczy zjechać kawalek w bok, żeby przenieść się w czasie i w rzeczywistości. Wioska Kərki/Tigranaszen jest rozwłoczona i ledwie się trzyma kupy. Co ciekawe – nie widać tu tufu. Może dlatego, że jeszcze za Sojuza była tu, cokolwiek by mówić, Azerska, a nie Armeńska Socjalistyczna Republika Radziecka. Teraz dawni, azerscy mieszkańcy wyjechali i zamieszkali w azerskim Nachiczewanie, w miejscowości Yeni Kərki (Nowe Kərki).

W środku wsi, tej, o którą może wybuchnąć nowy konflikt – tak naprawdę prawie nic nie ma. Rozwłoczony plac zabaw, na którym biją się dzieci. Ludzie nie bardzo chcą rozmawiać. Boją się, nie boją, mówią, że nie ma po co gadać o tym, czy Azerbejdżan napadnie, czy nie. Po co kuść los. I po co ja w ogóle pytam. Czy przypadkiem nie jestem tureckim szpiegiem?

Wyjechałem ze wsi. Nad jakąś zbieraniną baraków powiewała rosyjska flaga. Kręciłem się po tufiastych miejscowościach, przepuszcza-

Po gruzińskiej stronie zielone, soczyste wzgórza, a po armeńskiej wypłowiałe.

Jak grzbiety dwóch kotów

łem pasterzy pędzących stada krów. Oglądałem przepiękne stare kaplice, krzyże i rzeźby, wszystko wyróżnione w tufie, i sypiące się wioski, w których Ormianie żyją dziś. Patrzyłem na górę, która wyznaczała centrum ich świata, a dziś nawet nie leży na ich terytorium. Myślałem o tych, których tu przegnano, czy to z Karabachu, czy – dawniej – z dzisiejszej Turcji, i o tych, których stąd wygnano, bo przecież dawniej Ormianie i Azerowie, zanim zostali zagnani do swoich osobnych kopców, żyli obok siebie. Niekoniecznie bardzo się lubili, ale też nie zawsze mieli ze sobą problemy. Jedni uprawiali winogrono, inni granaty, jedni pili herbatę, inni kawę – i jakoś się żyło. Tak, na przykład, opowiadali mi, jeszcze w Karabachu, Ormianie ze wsi Wank, której płoty wykonane były z tablic rejestracyjnych samochodów tych Azerów, którzy uciekli, zostawiając je, albo raczej tych, którym nie udało się uciec, bo w końcu kto ucieka bez samochodu, jeśli taki samochód ma. I właśnie w tej wsi, po której chodzi dziś Azerowie i oglądają, ze wściekłością w oczach, symbole swojego niedysiejszego upokorzenia, usłyszałem to, co powiedział mi siedzący w pełnej much knajpie stary Ormianin: – Niezły burdel z tego wszystkiego jeszcze będzie. Zobacysz. ●

Przerębel

Ów rząd będzie „sklejony głodem władzy” – pisze Terlecki. Zarówno „klej”, jak i „głód” mają konotacje narkotyczne i kojarzą się z odurzeniem, o którym, jak się zdaje, sporo może wiedzieć były hipis o pseudonimie „Pies”.

Michał Rusinek

Są takie profesje, których przedstawiciele wzajemnie podważają swoje kompetencje lub sztydzą ze swojej pracy. Ileż to razy słyszeliśmy od blacharza samochodowego pytanie: „A kto to panu klepał?!”, a od stomatologa: „Kto panu robił to wypełnienie?!”, i ileż to razy czytaliśmy bezlitosne eseje tłumaczy, którzy innym tłumaczom wypominali, że na przykład przełożyli zdanie: „Honey, I’m home” jako „Miodzie, jestem domem”? Felietoniści są inni.

Felietonista wie, że jego praca to stąpanie po cienkim lodzie, a więc sprawa życia lub śmierci. Współczuje zatem po cichu innym felietonistom, nawet o odmiennych poglądach politycznych czy światopoglądzie. Felietoniści czytają felietony kolegów i koleżanek z rzadka, zwykle z zazdrością, że komuś się udało znaleźć dobry temat i opowiedzieć go, wykonując przy tym spektakularny piruet. Kiedy zaś koledze lub koleżance zdarzy się rąbnąć o lód i zrobić w nim przy tym przerębel – duszą w sobie zawistny śmiech, żeby nie zapeszyć, bo i ich może to przecież spotkać.

Czasami jednak śmiechu dusić się nie da, jeśli się nie chce samemu udusić. Na przykład – czytając felieton marszałka Ryszarda Terleckiego w „Dzienniku Polskim”, zatytułowany dumnie i rozpaczliwie zarazem: „Nie załamię rąk”. Swoją drogą nie wiedziałem, że pan marszałek w swoim napęczniałym z pewnością kalendarzu znajduje jeszcze czas na pisanie felietonów. Felieton ten jest jednak dość krótki, co w tym przypadku dodaje mu wiarygodności.

Krótki, ale kunsztowny. Zaczyna się brawurową serią klasycznych anafor: „jeszcze mamy nadzieję”, „jeszcze powtarzamy sobie, że może nie wszystko stracone”, „jeszcze nasłuchujemy wiadomości o możliwej koalicji”, „jeszcze się ludzimy”. Owó ludzenie się dotyczyć ma tego, że „Tusk nie będzie sprzedawał polskiej suwerenności za worek euro, że Siemoniak nie zredukuje polskiej armii i nie zerwie kontraktów na uzbrojenie, że Nitras nie będzie miał okazji opilowywać katolików”. Mamu tu więc trzy główne lęki, jakie usiłują w nas – a właściwie w swoich wyborcach – podtrzymać politycy PiS-u: lęk o suwerenność, lęk o bezpieczeństwo i lęk o Kościół. Główne i dobrze znane.

Tych lęków nie zamierza felietonista-marszałek rozwiewać. Wprost przeciwnie: „nie ludźmy się jednak na próżno” – pisze. Tym, którzy zapewne przejmą władzę, nie chodzi, jego zdaniem, o dobro ojczyzny naszej: „szanse na ich troskę o Polskę i jej pomyślną przyszłość są zerowe”, obowiązuje u nich bowiem – jak przekonuje wszechwiedzący marszałek – hasło: „bierzemy władzę, a potem się zobaczy”. Czyli żadnego programu nie mają. Co najwyżej: „liczą posady i urzędy, przeliczają wynagrodzenia, wracają do interesów” i „bardzo im się spieszy”. „Zamiast rządu stu konkretów [...] powstanie rząd stu sprzeczności” – pisze dalej Terlecki, posługując się zarazem figurą antycypacji i erystycznym chwytem polegającym na połowicznym przyznaniu racji oponentom („sto”), ale zamianie drugiej połowy („konkretów” na „sprzeczności”). To jednak marszałkowi-felietoniście nie wystarcza, bo zwiędcza swą jeremiadę metaforą, pisząc, że ów rząd będzie „sklejony głodem władzy”. Zarówno „klej”, jak i „głód” mają konotacje narkotyczne i kojarzą się z odurzeniem, o którym, jak się zdaje, sporo może wiedzieć były

hipis o pseudonimie „Pies”. Jest to więc w jego ustach metafora ryzykowna. Lód trzeszczy.

To jednak nie koniec apokaliptycznych antycypacji. Przyszła władza „nie padnie zbyt szybko”, bo będzie miała wsparcie europejskiej lewicy, gdy Platforma „posłusznie podrepta za głosem silnych”, a przez to „zahamuje rozwój Polski” (dreptanie raczej spowalnia, niż hamuje, ale się nie czepiajmy) oraz – i tu pojawia się kolejna narkotyczna metafora, przypominająca wizję po halucynoginach – „zaleje kraj tęczowym potopem”. Chodzi jednak nie o LSD, ale o LGBT, a więc kolejny, również dobrze znany lęk wyzwalany namiętnie przez tę władzę.

Kiedy nagromadzenie tych straszliwych wizji zaczyna w nas wyzwać panikę, wytrawny felietonista-psycholog przechodzi do części uspokajającej. „Nie panikujmy”, „nie ulegajmy zniechęceniu” – pisze, a my słyszymy jego niski, chropawy, spokojny głos. Ukołysani jego tembrem czytamy dalej: przecież „siudem i pół miliona Polaków głosowało za suwerennością i wolnością”. Wielu innych tylko „chwilowo dało się omamić pustym frazesom”. Najbardziej dostaje się młodym, którzy „potraktowali wybory jak imprezę, ubaw po pachy”, ale felietonista-pedagog dodaje zaraz, że oni niebawem „zaczną dorastać” i „przyjdzie otrzeźwienie”, zwłaszcza jeśli „skrzyknemy się i staniemy pod szkołami, gdy znowu przyjdą likwidować lekcje religii i zdejmować krzyże”. Cóż, z miejsca, w którym siedzi marszałek, może nie było widać, że młodzi głosowali nie tyle z chęci zabawy, ile z wściekłości na władzę, która na przykład nazywa ich częścią „tęczową zarazą” („potop” brzmi przy niej pieszczotliwie), oraz że z lekcji religii wypisują się sami, więc wiele wskazuje na to, że niebawem wcale nie trzeba ich będzie odgórnie likwidować.

„Niedługo przed nami wiosna” – ociera nam łzy bezsilnej wściekłości felietonista. Wiosna, czyli wybory samorządowe: „w kwietniu uratujemy, co się da”. Po wiosnie przyjdzie nawet lato: „w czerwcu wyżyjemy wszystkie siły, aby do europarlamentu znów nie trafili wrogowie Polski”. Jeśli jednak trafią, ostrzega jeszcze na koniec Terlecki, to staniemy się „europejskim landem, podpalanym przez miliony nielegalnych imigrantów” – bo tego lęku nie mogło przecież zabraknąć. Felieton kończy wezwanie do modlitwy, „żeby nie zbliżyła się do nas wojna”, bo „ta ekipa, która szykuje się do władzy, nas nie obroni”, a co najwyżej „skapituluje po pierwszym zagrożeniu, a potem ucieknie zagranicę”. Pisownia oryginalna; powinien być: „za granicę”, ale się nie czepiajmy, marszałek z pewnością ma jeszcze dużo innych ważniejszych obowiązków niż ortograficzne.

Ale chwileczkę! Umknęłaby nam jeszcze jedna anafora, zamykająca pierwszy akapit: „jeszcze Polska Telewizja nadaje swoje programy”. Szkoda by było. Zwróćmy uwagę, że przedstawienie słów w nazwie telewizji nie jest przypadkowe, chodzi bowiem o to, żeby anafora ta kojarzyła się patriotycznie, bo z polskim hymnem. Oraz by podkreślić, że jest to medium polskie, a nie tylko polskojęzyczne. Co więcej, jest to prawda: TVP nadal nadaje takie programy, jakie nadawała przez ostatnie osiem lat. Kiedy na przykład relacjonowano w niej wygłaszanie wspólnego oświadczenia liderów KO, Trzeciej Drogi i Lewicy, na psku pojawiło się zdanie: „4 jeźdźców opozycji naciska na prezydenta RP, aby powołał Tuska na premiera”. Metaforyczna apokalipsa Terleckiego przeobraziła się więc w apokalipsę biblijną! Oto przepowiednia nam się wypełnia! Forma tej analogii jest tyleż kunsztowna, co ryzykowna. W Apokalipsie św. Jana czytamy bowiem, że pierwszym jeźdźcą ma być Zwycięzca, w dodatku na białym koniu: „I ujrzałem: oto biały koń, a siedzący na nim miał łuk. I dano mu wieniec, i wyruszył jako zwycięzca, by [jeszcze] zwyciężać” [Ap 6, 2].

I tak oto marszałek-felietonista nie gruchnął o lód, robiąc w nim przerębel. Wpadł prosto do wody, bo przerębel wyciął pod nim paskawę TVP. A i jego dni już są policzone. ●

W Białymstoku w galeriach handlowych pustki, w Waliłach-Stacji nie zatankujesz po 22, do Bobrownik jeden autobus dziennie. Po zamknięciu granic Podlasie po cichu umiera

Joanna Klimowicz



TĘSKNIMY Z BIAŁORUSINAMI

Lwa, pracownica jednego ze sklepów w Bobrownikach, tuż koło przejścia granicznego z Białorusią, wychodzi przed lokal, wystawia twarz do błędnego słońca. Latem dorobiła się przynajmniej opalenizny, teraz zostaje jej tylko zabijanie nudy. Z rzadka parkują okoliczni, skuszeni wyprzedając chemii ogłoszoną w mediach społecznościowych. W budynkach na przejściu zostali strażnicy graniczni, celnicy i garstka budowlańców remontujących infrastrukturę.

Nie przyjedzie nikt z białoruskiej strony – ani bus na zakupy, ani tir z towarem, ani osobówka w drodze na prawosławny cmentarz przy pobliskiej cerkwi Zmartwychwstania Pańskiego. Nikt też nie wyjedzie ze zniczem na rodzinne groby na Białorusi.

Przejście drogowe w Bobrownikach zostało zamknięte w lutym 2023, a jeszcze wcześniej – w listopadzie 2021 – to w Kuźnicy Białostockiej.

Jak teraz wygląda życie mieszkańców pogranicza? Nie mówią, że bieda. Oni mówią wprost: – Superbieda.

– Z czego u was się teraz żyje? – pytam znajomego pochodzącego z Kuźnicy.

– Z emerytów – odpowiada, uśmiechając się krzywo.

–?

– Jak jest jedna babcia z emeryturą w rodzinie, to musi wystarczyć.

Wokół Bobrownik jak okiem sięgnąć łąki, ścierniska, lasy, kompletna pustka. Obok przejścia parę popegeerowskich bloczków, blaszaki wzdłuż drogi krajowej nr 65. Droga jak spod igły, ruch

na niej żaden. Jeden poranny autobus o godz. 7.30, powrotny jest o 15. Kiedyś, w lepszych czasach, na skupisko sklepów, budek gastronomicznych i straganów z produktami ze Wschodu mówiło się: bobrownickie Złote Tarasy. Sklep Ewy sprowadzał chemię z Niemiec, a Białorusinom aż oczy się świeciły do wszystkiego, co z zachodniej Europy.

Dziś śladu nie ma po czasie handlowej prosperity. W niedobitkach sklepów zostawiono po jednej osobie na część etatu, bo utrzymanie zatrudnienia jest warunkiem uzyskania rekompensat. Jeden spożywczak nastawił się na żołnierzy, drugi sklep – na przetrwanie. Właścicielki w pawilonie obok prowadzą sklep internetowy.

– Czy tu, czy w Gródku nie ma już młodych. Wieleu potraciło pracę i powyjeżdżali. Część do Białegostoku, ale i tam są odczuwalne skutki zamknięcia granicy, pojechali więc dalej. W Białymstoku w Galerii Białej, na rynku na Kawalerskiej – wszędzie są pustki – opowiada Ewa.

14 lat temu przeprowadziła się do Bobrownik, zamieszkała w jednym z bloków, wtedy tętniących życiem. Teraz w jej klatce zostały trzy rodziny, same starsze osoby. Latem uprawiają ogródki, robią porządki, szycją drewno na opał na zimę. Teraz o 17 jest już ciemno i kładą się spać. Ratuje ich to, że koszty życia na wsi są niższe niż w mieście. Resztki znajomych Ewy planują emigrację, ona jeszcze nie. Ma dom po białoruskiej stronie i tłącą się nadzieję, że granica zostanie otwarta i miejscina odbije się od dna.

– W Warszawie próbowano trywializować, że teraz miejscowi będą mieć problem z taną wódką i papierosami. Prawda jest taka, że skutki decyzji o zamknięciu grani-

cy są fatalne, wszystko tu umiera – kwituje Ewa.

Ewelina Grygatówicz-Szumowska, właścicielka jednej z większych agencji celnych, liderka Porozumienia Polskich Przedsiębiorców „Zjednoczony Wschód” w Kuźnicy, prowadziła dwa biura: na kierunku wywozowym pracował pięcioosobowy zespół, na przywozowym – ośmioosobowy. W agencji w Bobrownikach zatrudniała 11 osób. Do tego kantory wymiany walut na obydwu przejściach i magazyny czasowego składowania w Białymstoku.

Była praca, były premie, były dobre czasy. Przez granicę płynęła rzeka nie tylko tirów, ale też aut osobowych i autokarów – sąsiedzi jechali do nas na zakupy. Bo u nich wszystko jest dużo droższe – pieluchy aż dwukrotnie. W Białymstoku powstawały hurtownie i galerie handlowe zorientowane na klienta ze Wschodu. Dobrze wiedziały, czego ten klient szuka. Weźmy kawę – upodobał sobie markę Davidoff, która na polskim rynku jest wprawdzie znana, ale nie hitowa. Hurtownie zaopatrywały punkty na przejściach w jednorazowe opakowania, bo oczekujący w kolejkach muszą coś jeść i pić.

Białorusini kupowali hurtowo: żywność, ubrania, buty, proszki do prania, elektronikę. Dane z tax free – zwrotu podatku VAT – mówi o kwotach między miliardem a półtora miliarda złotych rocznie na zakupach Białorusinów w białostockich sklepach i na bazarach. Łukaszenka utrudniał rodakom życie, jak mógł, wprowadzając a to ograniczenia wymiarów czy wagi wwożonych towarów, a to cła, ale przygraniczny handel wciąż kwitł. Razem z nim gastronomia, usługi hotelarskie, ogólnie usługi.

– W najlepszych latach przez te dwa przejścia rocznie przejeżdżało milion osób. Jeżeli każda z nich zostawiła tu 100 euro, to jaki przyrówny gotówki straciliśmy! – wskazuje Ewelina Grygatówicz-Szumowska.

Na początku listopada 2021 w kierunku przejścia w Kuźnicy zmierzały tysiące zdesperowanych uchodźców, głównie Kurdów, kierowanych tu przez białoruskie służby. Polskie władze pokazały to jako „szturm” i regularną bitwę, natychmiast zamykając drogę. Załoga Eweliny nawet nie pisała: – Rozumiemy, że trzeba zapewnić bezpieczeństwo lokalnym mieszkańcom.

Przebranzłowili się, robią od tamtej pory odprawy zdalne – w portach, na kolei, w innych miastach.

Po zamknięciu Kuźnicy zostało jeszcze drugie przejście drogowe w Podlaskiem – w Bobrownikach. Tam działało osiem agencji celnych, zajmowały pierwsze piętro w budynku przejścia. Były kantory, ubezpieczenia, biura usług płatniczych.

9 lutego 2023 minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński napisał na Twitterze: „Z uwagi na ważny interes bezpieczeństwa państwa zdecydowałem o zawieszeniu do odwołania od 10 lutego br. od godz. 12:00 ruchu na polsko-białoruskim przejściu granicznym w Bobrownikach”.

Ewelina nie obserwuje jego profilu, przybiegli do niej pracownicy. – Jaja sobie chyba robicie – nie dowierzała. Na pisma, apele, spotkania z mediami było już za późno.

Sklepowe zostały w osłupieniu, z mięsem i wędlinami w ladach chłodniczych, hurtownik specjalizujący się we „wschodnim klien-

cie” – z kilkoma tonami kawy Davidoff.

Pierwsze, co zrobiła Ewelina Grygatówicz, to zawieszenie działalności kantorów. Inne agencje celne pozwalniały pracownikom, żeby zmniejszyć koszty. W Bobrownikach zostały trzy.

– Smutno – przedsiębiorczyni opisuje wrażenia po ostatniej wizycie na tym przejściu. Zwłaszcza kiedy porównuje je do tętniącej życiem Białej Podlaskiej z zapchanyymi parkingami.

Ona swoje biuro w Bobrownikach także wynajmuje nadal, ale z 11-osobowego zespołu zostało ich pięcioro. Ludzie odchodzili z pracy sami, widząc, że Kuźnica zamknięta „tymczasowo” nie otworzyła się do dziś. Uciekali na państwowe posady, kiedy tylko nadarzyła się szansa – do policji, do urzędów celnych, jedna dziewczyna znalazła pracę w lokalnej spółdzielni mieszkaniowej, inna w przychodni. Te po urlopach macierzyńskich zostały na wychowawczych. Po pracy w ryzykownej branży rozglądają się za stabilizacją, poczuć bezpieczeństwem.

– Spaliłam się emocjonalnie – szefowa mówi o batalii, którą z innymi przedsiębiorcami stoczyła o rekompensaty, i o tym, ile ją to kosztowało, oprócz 40-procentowego spadku przychodów. – Mam w sobie ogromny niepokój o moich ludzi. Jestem odpowiedzialna za ich rodziny, dzieci, kredyty.

Podkreśla, że walkę o rekompensaty udało się wygrać dzięki wsparciu podlaskiego, ustępującego posła PO Roberta Tyszkiewicza. Rekompensaty są obligatoryjne, a nie uznaniowe, na rok – przez trzy miesiące w kwocie 65 proc. przychodu w porównaniu z wybranym okresem przed zamknięciem i przez dziewięć miesięcy

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



– na utrzymanie miejsc pracy – re-fundacje płac dla pracowników na poziomie najniższej krajowej na każdym zatrudnionego.

Zapis udało się zawrzeć w ustawie o ochronie granicy państwowej. Dzięki niemu przedsiębiorcy zyskują czas na spłnienie długów, znalezienie nowych rynków, przebranzowienie się. Ewelina Grygatówicz-Szumowska będzie otwierać skład podatkowy i buduje rozlewnię wina. Ani ona, ani nikt inny nie wybiera się za rekompensatę, jak komentowały złe języki na forach internetowych, na egzotyczne wakacje.

Jeśli cofniemy się z Bobrownik do Gródka i udamy dalej na południe, dotrzemy do kolejnej przygranicznej gminy – Michałowa.

– Widać mniejszy ruch w handlu. Choć nie mamy galerii, to zawsze ktoś po drodze do nas przyjeżdżał na zakupy – zauważa Konrad Sikora, zastępca burmistrza. – Bolesne jest przede wszystkim to, że zamknięcie granicy utrudniło kontakty pomiędzy rodzinami, które mieszkają w odległości paru lub kilkunastu kilometrów, a nie mogą się swobodnie odwiedzać, pojechać na groby. Rząd w ogóle o tym nie pomyślał.

Sikora myśli o Świsłoczy po białoruskiej stronie, oddalonej w prostej linii o mniej więcej 40 km. Położona dalej na północ Grodzieńszczyzna, którą zamieszkuje kilkuset tysięcy Polaków, jest teraz od Polski odcięta. Do Białegostoku ma już nie 80 km, ale kilkaset, przez Litwę, która zamknęła tylko mniej znaczące przejścia.

Z Michałowa jedziemy 20 km na południe, gdzie leży wieś Narew z główną siedzibą Pronaru – sztan-

darowej firmy z Podlaskiego, wytwarzającej maszyny komunalne, sprzęt do recyklingu, przyczepy i felgi na rynki całego świata. Notowanej w rankingu największych polskich firm prywatnych „Forbesa”. Nie bez echa przechodzi też w branżowych publikacjach majątek założyciela produkcyjnego giganta Sergiusza Martyniuka, który na ogół z dziennikarzami się nie spotyka. Dla nas robi wyjątek.

Pytamy o zwolnienia, o których mówi się w regionie, że miały dotknąć do tysiąca osób z kilkutyśnięcnej załogi Pronaru, przede wszystkim pracowników z Białorusi i Ukrainy. Prezes rady właścicieli Pronaru z irytacją macha ręką: – Chcieliby wiedzieć, jak moja firma bankrutuje, o niedoczekanie! Ale przyznaje, że nastąpiła „turbulencja” – tak określa zbitkę okoliczności, które w 2022 i 2023 roku dotknęły wszystkie podmioty gospodarcze. – Stabilne, duże firmy nie odczuwają ich tak jak małe przedsiębiorstwa. Małe firmy będą padały, my przetrwamy, mamy nadwyżki z pół miliarda złotych w towarze. Ale ogólnie w kraju nastąpił duży uszczerbek materialny, a jeszcze większy psychiczny.

Bo recesja jest faktem – w drugim kwartale produkt krajowy brutto spadł i w stosunku do poprzedniego kwartału (o 3,7 proc.), i w porównaniu z drugim kwartałem ubiegłego roku (o 1,3 proc.). – W wielu sektorach gospodarki dzieje się po prostu bardzo źle – przyznaje Martyniuk i wlicza przyczyny: podwyżki cen surowców, energii, zapaść w rolnictwie, gdy ceny skupu mleka spadły o kilkadziesiąt procent, a w magazynach zalegają miliony ton zboża, brak pieniędzy na inwestycje dla samorządów. A w naszym regionie – zaprzestanie działalności przez co najmniej kilkaset firm na obszarze przygranicznym.

W Pronarze na pierwszy rzut oka „turbulencji” nie widać. Działa dziewięć fabryk, blisko 20 stacji paliw. Martyniuk prowadzi nas przez kolejne przestrzenie biurowe (wykańczanie najnowszego budynku administracyjnego wstrzymmano), przez place wielkości boisk piłkarskich, zapelnione przyczepami i maszynami prosto z taśmy, przez w pełni zautomatyzowane, nowoczesne hale fabryczne, ba, nawet przez hangary z flotą samolotów, bo gigant z Narwi ma swój pas startowy i po klientach lata do Niemiec, Anglii, Francji czy Szwecji, co było wygodne zwłaszcza w pandemii. Także dzięki COVID-19 powstało na ponad 10 ha centrum wystawiennicze Pronaru w Siemiatyczach – kiedy nie można jeździć na targi, trzeba zorganizować je u siebie i przywieźć na nie świat.

Reakcję imperium na recesję można nazwać ucieczką do przodu.

– Sprzedajemy do ponad 80 krajów, nasze maszyny są dostępne na wszystkich kontynentach. Jeśli chodzi o przyczepy, to w Polsce jesteśmy liderem z ponad 40-procentowym udziałem, jesteśmy także wiceliderem rynku niemieckiego oraz wiceliderem światowym w produkcji kół tarzawowych do maszyn wolnobieżnych – wlicza Wioleta Wilińska, szefowa marketingu.

Opowiada o najnowszej inwestycji, nakreślonej z rozmachem i całkowicie autorsko, od myśli po

przez rysunek, projekt, budowę, wyprodukowanie. Chodzi o nową halę wybudowaną w Narwi przy stacji paliw, której otwarcie nastąpi lada moment.

Na 24 tys. m kw. zainstalowano dwie zaprojektowane przez miejscowych konstruktorów linie do wytwarzania felg, malarnię, laboratorium i biuro z miejscami pracy dla kilkudziesięciu osób – absolwentów uczelni technicznych i handlowców. Same linie produkcyjne zatrudnienia nie wygenerują. Wystarczy dosłownie paru pracowników, by produkować ponad milion felg rocznie – wszystko jest zautomatyzowane.

Szef Pronaru mówi też o kolejnej inwestycji, tym razem w Narewce. Rozpoczął tam rozbudowę fabryki wielkogabarytowych maszyn rolniczych, sprzętu komunalnego i tarcz do kół.

Najmocniej odczuły tąpnięcie te firmy, które handlowały z Białorusią czy Rosją albo miały odbiorców w azjatyckich republikach byłego ZSRR, oraz przedsiębiorstwa transportowe. Właściciel jednej z firm produkujących elektronikę tłumaczy, że transport ciężarówki sprzętu do Azerbejdżanu czy Turkmenistanu kosztował ok. 4 tys. dol., a dziś, gdy nie można jechać przez Rosję, kurs przez Turcję to wydatek rzędu 14 tys. dol. Jak ma się opłacać?

Rosnące koszty transportu ciągną w dół konkurencyjność sprzedaży. Przebąkuje się o kłopotach poważnych podlaskich firm, ta-

**Po tweece ministra
o zamknięciu przejść
granicznych
sklepowe
zostały z mięsem
i wędlinami w ladach
chłodniczych,
hurtownik
specjalizujący się we
„wschodnim kliencie”
– z kilkoma tonami
kawy Davidoff**

kich jak SaMASZ, Barter, Krex czy producent instalacji gazowych AC.

Swoje zrobiły unijne sankcje wobec Rosji.

– Nasze produkty zostały objęte zakazem sprzedaży i dostawy na tamten rynek jako towary podwójnego zastosowania, które mogłyby się przyczynić do technologicznego wzmocnienia sektora obronności i bezpieczeństwa Rosji. Dla nas oznaczało to spadek obrotów o kilka procent – przyznaje Artur Zawadzki, prezes Promotechu, producenta narzędzi i automatów spawalniczych. – Z tego powodu zmuszeni byliśmy wstrzymać planowany na koniec 2022 roku wzrost zatrudnienia, a nawet niewielką redukcję, o kilka osób. Nie miało to natomiast wpływu na wymiar czasu pracy ani wynagrodzenie pracowników. Musieliśmy też wstrzymać inwestycje w park maszynowy na początku 2023 roku. Wojna w Ukrainie znacząco wpłynęła na wynik finansowy przedsiębiorstwa na koniec 2022 roku.

Przedsiębiorcy są rozgoryczeni, że gdy ich dotyka embargo, to po cichu wyrastają na nim fortuny. Polska stała się wielkim hubem, jadą przez nią transporty drewna i węgla z... niby z Kazachstanu, choć każdy wie, że to ruskie.

Paulina Siegień, dziennikarka, pisarka i tłumaczka, autorka książki „Miasto bajka. Wiele historii Kalingradu”: – Jest w Polsce wyobrażenie, że granica z Rosją jest zamknięta tak, że nikt i nic się nie prześlizgnie, a to nieprawda. Państwo zadbało, żeby towary, które mają jechać, jechały. Cały czas kupuje się od Rosji surowce, dziennikarze śledczy ujawniają schematy obchodzenia sankcji. Wszyscy dostają to, czego potrzebują: Rosjanie części do produkcji rakiet, którymi strzelają w Ukrainę, a oligarchowie rosyjscy nadal sprzedają surowce do Europy – takie „drobiazgi” jak węgiel i drewno wjeżdżają do nas bez problemów.

W jakim stopniu za kłopoty podlaskich przedsiębiorstw odpowiadają embargo i załamanie rynków wschodnich, a w jakiej generalne trendy w gospodarce? Zbigniew Sulewski, ekspert z Centrum im. Adama Smitha, nie podejmuje się oceny. Wskazuje tylko na splot czynników. – Najpierw była pandemia, potem wybuchła wojna, która spowodowała szalony wzrost cen takich surowców i energii, co zahamowało aktywność gospodarczą, jeżeli nie na całym świecie, to na znacznych jej obszarach.

Dodaje, że Podlaskie znalazło się w jeszcze gorszej sytuacji: – Leży w obszarze, w którym z powodu zamknięcia granicy, ale też innych wcześniejszych perturbacji – jak stan wyjątkowy i wyłączenie z działalności gospodarczej znacznego obszaru województwa – ucierpiała turystyka i gastronomia, co przekłada się na kolejne podmioty gospodarcze.

Sulewski uważa, że gdyby do samorządów popłynęły środki z Krajowego Planu Odbudowy, to mogłyby one pozwolić sobie na zakupy maszyn komunalnych: służących do utrzymania czystości, pielęgnacji zieleni, odśnieżania itp. A właśnie takie maszyny produkuje choćby Pronar. Uruchomienie KPO spowodowałoby, że przedsiębiorstwa komunalne mogłyby unowocześnić park maszynowy, a producenci maszyn powetowali by straty eksportowe.

W gabinecie Sergiusza Martyniuka na jednej ścianie gabloty z pucharami i dyplomami, a na przeciwnej w kącie stoi ogromna lalka – postać białoruskiej kolchoźnicy.

Pytamy o zatrzaśnięcie drzwi na Wschód.

– Dla mnie nie szkodzi, tylko pytanie: po co to? Raptem granica stała się uciążliwa? Kiedyś ludzie szli przez zieloną granicę, teraz chodzą i chodźć będą. Nikomu niepotrzebna ta psychoza. Polacy sami sobie postavili embargo.

Martyniuk wspomina wyjazdy biznesowe na Białoruś, choć podkreśla, że nie do Łukaszenki, z dyktatorem nigdy się nie spotkał, dłoni nie uściśnął. Do ludzi jeździł. Jak wtedy, gdy zabrał swoich gości, dyplomatów kilku krajów z żonami, na zapusty do puszczy za granicę. Były tańce przy ognisku, Śnieguroczka nalewała do kieliszków 70-procentowy samogon, pod słoninę z cebulą, a na powrót przy

samej granicy postawili gar kaszy ze skwarkami. Panie nigdy w życiu tak smacznej nie jadły.

– Jednym słowem: było normalnie. Nie wolno z nikim się kłócić. Jak będziesz źle żył z sąsiadami i umrzesz, to nawet trumny nie pomogą wynieść. A jak dobrze żyje się z sąsiadami, to można kupić taniej, drożej sprzedać, na tym cała sztuka polega.

Podobnego zdania jest Ewelina Grygatówicz-Szumowska: – Naszym najbliższym sąsiadem jest Białoruś, czy nam to się podoba, czy nie – mówi. Kiedy słyszy zarzuty, że współpracuje z reżimem, denerwuje się: – Ja pracuję z ludźmi. Bardzo często z prywatnymi firmami, które też są poszkodowane i bezradne. Nasi sąsiedzi chcieli obalić reżim i jak to się skończyło? Do tej pory część moich znajomych siedzi w więzieniach.

Utrzymuje kontakty z przyjaciółmi z Grodna, z którymi zna się od ponad 20 lat. Pomaga im wyjechać na wakacje, jest dla nich oknem na świat. Jedną z jej współpracowniczek pochodzi z Białorusi, ale do bliskich w Grodnie jeździ coraz rzadziej. Słyszysz pytania: – Jak ty tam w tej Polsce żyjesz? Przecież tam strzelają, jeść nie ma cie co.

Taka propaganda.

Coraz więcej Białorusinów i Białorusinek ma jej dość. Nasz sąsiad to nie tylko Śnieguroczka, samogon i skwarki. Wyrok ośmiu lat w kolonii karnej o zastraszonym rygorze odsiaduje nasz redakcyjny kolega, dziennikarz i działacz Związku Polaków na Białorusi Andrzej Poczubot. Skazany na podstawie absurdalnych zarzutów, takich jak „gloryfikowanie nazizmu”, został umieszczony w karczerze na pół roku i pozbawiony leków na serce. Wieloletnie wyroki, rozdzielanie rodzin, tortury są udziałem tysięcy Białorusinów.

Strumyk emigracji nie wysycha, według MSWiA przekroczyła ona już 300 tys. w całej Polsce. Ludzie uciekają nie tylko z powodu stalinowskiego wręcz terroru, ale też przez brak perspektyw. Lecz gdy Ukraińcy i Ukrainki wybierają raczej wielkie miasta centralnej i zachodniej Polski, dla uchodźców z Białorusi miastem pierwszego wyboru jest Białystok – z powodu tradycji, bliskości, wielowyznaniowości, dużej diaspory. W białostockich szkołach uczy się ok. 4 tys. białoruskich dzieci. Są placówki z białoruskim językiem nauczania. Dwujęzyczne stowarzyszenia i agencje pracy. Imprezy kulturalne i regularne solidarnościowe demonstracje pod konsulem.

Posel Tyszkiewicz w Sejmie przewodniczył komisji łączności z Polakami za granicą, działał w komisji spraw zagranicznych, a Białorusią zajmuje się od dwudziestu kilku lat. Jest pewien: – Izolować reżim, otwierać się na ludzi! To nie jest łatwe, ale trzeba próbować podejmować działania, które uderzają w reżim, a jednocześnie takie, które zachęcają obywateli i obywatelki Białorusi do kontaktu z Polską, z Europą. Trzeba izolować firmy związane z reżimem i urzędników odpowiedzialnych za prześladowania. Muszą zostać wprowadzone bezwzględne sankcje personalne, dotkliwe dla każdego, kto krzywdzi ludzi, kto jest funkcjonariuszem milicji,

KGB, prokuratury, sądownictwa czy nawet administracji państwowej i kto jest zaangażowany w represje, w prześladowanie mniejszości polskiej.

Paulina Siegień zgadza się: – Przez ostatnie lata, a szczególnie od 2020 roku, bardzo brakuje sensownej, spójnej polityki, która by uderzała w czule dla reżimu obszary, ale nie izolowała ludzi. Nie możemy się nastawiać, że na granicy już zawsze będzie stał pięciometrowy płot i wszystko, co na wschód od niego, przestanie istnieć. Nasza społeczność musi się przygotowywać do nowego otwarcia. Tylko ono jest w stanie zmienić sytuację społeczno-ekonomiczną w regionie.

Dziennikarka kreśli wymarzony geopolityczny ciąg wydarzeń: Ukraina wygrywa wojnę, Rosja mocno słabnie, więc na Białorusi zmienia się władza, Mińsk skręca w stronę Zachodu. Sama stawia na ten wariant, uważa, że ci, którzy dystansują się od białoruskości, popełniają błąd, a wygryją ci, którzy podtrzymują kontakty, uczą się białoruskiego, bo to dla Podlasia język przyszłości.

Siegień mieszka w przygranicznej gminie Dubicze Cerkiewne. Dojedziemy do niej, kiedy z maszynowego imperium w Narwi skierujemy się dalej na południe, pokonując nieco ponad 30 km.

– Ludzie są umęczeni. Nasi sąsiedzi – reżimem, strachem, traumą. My, choć w innej skali, też zostaliśmy złamani. Ludzie stracili wiarę, że mogą na cokolwiek wpływać w swoim środowisku. Bo zaraz przyjdzie ktoś mocniejszy i zrobi, co zechce. Wprowadzi zmilitaryzowaną strefę, wysiedlili nas. To są realne lęki ludzi traktowanych jak meble.

Rozmawiamy tuż przed sesją rady gminy w Narewce, na której ma być rozpatrywana propozycja wojsk obrony terytorialnej – wojskowi chcą przejąć wyremontowany budynek dawnej szkoły w Siemianówce. Mieszkańcy są przeciwni i bardzo to przeżywają, ale z drugiej strony mają poczucie, że przecież to wojsko: jak się im nie da po dobroci, to wprowadzą stan wyjątkowy i sobie zabiorą. Panuje poczucie, że w zderzeniu z organami państwa ludzie nie mają żadnych szans. Ponad dwa lata militaryzacji regionu, rozjeżdżania go rosomakami, ciągłych kontroli mundurowych, niekiedy bez dystynkcji i bez żadnych uprawnień, ale z długą bronią, zrobiły swoje.

Paulina opowiada, jak w połowie września w Dubinach na przedmieściach Hajnówki maszerował pochód zamaskowanych żołnierzy w kominiarkach, z transporterami opancerzonymi. Ludzie mają dość. Po co to? Tyle kilometrów od granicy?

Paulina Siegień analizowała wyniki wyborów, w których powiat hajnowski zagłosował na opozycję. Odkryła, że jej gmina znalazła się w czołówce tych z rekordowym odsetkiem „turystyki wyborczej” ze względu na przebywających tu żołnierzy. Szalony sukces zanotowała Konfederacja. W 2019 roku zagłosowało na nią 29 osób, a w tym – 150. W Starym Korninie, jedynym obwodzie, w którym nie głosowali „turyści”, wyniki jak z innej bajki – wygrała Trzecia Droga.

– Wojsko głosujące na prorosyjską, antyukraińską partię... – kręci głową dziennikarka. – Gdyby Konfederacja rzeczywiście była tak popularna wśród wojskowych, jak można domniemywać, oznaczałoby to, że mamy poważny problem w armii. Już nawet nie chodzi o to, że ludzie, którzy otrzymują wynagrodzenie z podatków, głosują przeciwko podatkom, że ludzie, którzy mają przywilej noszenia broni, są za tym, by każdy mógł ją nosić, że nienawidzą migrantów, bo wyobrażam sobie, że wielu z nich ma jednak mocno zracjonalizowane własne działania na granicy polsko-białoruskiej i wierzy, że na tej wojnie z cywilami są bohaterami jak powstańcy warszawscy. Najbardziej niepokojące byłoby to, że żołnierze polskiej armii licznie głosują na siłę antyukraińską i prorosyjską.

Mieszkając na pograniczu, Paulina z mężem Wojtkiem obserwują, jak zmienia się krajobraz po zamknięciu przejść, jak upadają przydrożne zajazdy, bary, kantory, jak pustoszeją Czeremcha czy Kleszczele. Podróżując latem po regionie, przeliczyli się z czasem i zapasem paliwa, musieli więc dotrzeć przed zamknięciem do stacji Pronaru

Panuje poczucie, że w zderzeniu z organami państwa ludzie nie mają żadnych szans. Ponad dwa lata rozjeżdżania regionu rosomakami, ciągłych kontroli mundurowych, niekiedy bez dystynkcji i bez żadnych uprawnień, ale z długą bronią, zrobiły swoje

w Walilach-Stacji. Kiedyś była czynna przez całą dobę, z zajazdem i restauracją. Teraz – do 22. Dojechali na miejsce dwudziesta pierwsza czterdzięci z kawalkiem i okazało się, że już po 21 zaczyna się zamykanie kas, robienie raportów. Nie utknęli tylko dlatego, że znajomy z Walil przyniósł im resztkę benzyny do kosiarki.

Gospodarka to jedno, a inna sprawa – zerwanie relacji społecznych, kulturowych. Ta trauma jest jeszcze nieuświadomiona.

– Granica dzieli region historycznie spójny, idzie w poprzek wiosek, dzieli ludzi od cmentarzy, oddziela od krewnych – zauważa Siegień. Oni sami są przykładem odnowionego niedawno kontaktu z rodziną, która była na bieżni w Mińsku. Po białoruskich wyborach w 2020 najmłodsze pokolenie wyjechało do Polski. Jeszcze się nie widzieli, ale rozmawiają przez internet i planują spotkanie na święta. – Mamy tego pecha, że jesteśmy z tej strony Polski, która ma trudnego sąsiada. Między ludźmi nie było żadnych

problemów, ale reżim w Białorusi, przy zamkniętej zupełnie granicy, oznacza dla Podlasia pogłębione peryferia. Już nie tylko peryferia Polski, ale peryferia Europy. Trochę jak w tych grach w telefonie, gdzie kulka lata po ekranie i odbija się od krawędzi. To my. My jesteśmy w takim miejscu, gdzie kulka może się tylko odbić, bo nie ma którędy przedostać się dalej.

Paulina Siegień jest zdania, że zamykanie przejść granicznych nie jest też korzystne dla białoruskiego społeczeństwa, które powinniśmy trzymać jak najbliżej Europy: – Za zamykaniem przejść stoi tylko lęk, że przyjdą na nie migranci, którzy będą składali wnioski o azyl, a Polska z jakichś przyczyn uważa, że jest niezdolna do tego, aby te wnioski rozpatrzyć.

Ewelina Grygatowicz-Szumowska sięga do notatek. Przygotowała sobie wyniki rankingu zadowolenia z życia według Business Insider, biorącego pod uwagę wskaźnik bezrobocia, wynagrodzeń, ceny mieszkań z drugiej ręki, dostęp do lekarzy, przestępczość czy jakość powietrza. W 2021 roku 93 proc. mieszkańców Białegostoku było zadowolonych z życia, co sytuowało miasto na trzecim miejscu w Polsce. W 2023 Białystok spadł na miejsce ostatnie.

– Zrobiono z nas laboratorium – uważa Ewelina Grygatowicz-Szumowska. Wylicza: – Najpierw koronawirus, potem stan wyjątkowy i zamknięta strefa. Przed wyborami bezpieczeństwo było odmienną przez wszystkie przypadki, nakręcana spirala strachu, co spowodowało odpływ inwestorów i turystów. Z agroturystyki już nie sposób się utrzymać, a wszystkie branże to naczynia połączone, efekt domina. A najgorsze, że kiedy policja czy wojsko pod bronią zatrzymują nas, sprawdzają auta, bagażniki, to społeczeństwo stoi ze zwieszoną głową. Musimy o siebie zaważyć – namawia przygranicznych przedsiębiorców. – Lubelskie i Podkarpackie się rozwijają, a przecież to u nich jest wojna za granicą, nie u nas. My jesteśmy tylko małym regionem do straszenia i bicia. Nawet zważywszy, że toczy się wojna hybrydowa, to czy zamknięcie tych przejść granicznych coś zmieniło w kwestii migracji? Nic. A ile szkody wyrządziło?

Robert Tyszkiewicz: – Jest wielką niesprawiedliwością, że Podlasie jest całkowicie odcięte od granicy wschodniej. Uważam, że powinno zostać jak najszybciej otwarte jedno z przejść w województwie podlaskim. Można rozważyć, nawet na zasadzie testu, otwarcie jednego z przejść dla ruchu aut osobowych. To byłoby bardzo ważne dla odrodzenia małego przygranicznego handlu. Można takie ryzyko podjąć i zobaczyć, jak sytuacja wpłynie na gospodarkę i bezpieczeństwo.

– Niech tylko kurz opadnie – mówi o powyborczej zmianie politycznej rzeczywistości Ewelina Grygatowicz – i zaczynamy batalię, aby otworzono nam chociaż jedno przejście. Ja wiem, że to pomoże, zwłaszcza w branży usługowej. Nawet jeśli to będzie tylko przejście osobowe i ja jako agentka celna działająca w transporcie towarowym nic na tym nie skorzystam, to trudno. I tak się ucieszę, bo skorzystały przedsiębiorcy prowadzący sklepy, gastronomię, hotele, usługi, a z nimi cały region. ●

Powrót na wyspę

Jeszcze dwa lata temu był tu ze mną Paweł. Smoleński. Kiedy, cukrzyk na wakacjach, jem ciastka, Pawelek cały czas kręci się po tarasie jak ten absurdalny statek wycieczkowy.

Jarosław Mikołajewski

Apo wyborach jadę na Sycylię na kilka dni. Mniejsza o okazję i okoliczności. Ważna jest Sycylia, która bez względu na nasze polityczne perypetie trwa. Zapewnia trwałość. A w październiku, na dodatek, gra swoim słońcem i światłem. Bywa pochmurna, ale chwilowo. A kiedy zaświeci, ogrzeje, to na przekór wszystkiemu. Zwłaszcza przemijaniu i doraźnym mrokom.

Siedzę na tarasie domu Cateriny, Kasi, w Giardini Naxos. Po skrawku morza, którym wiele lat wstecz przypłynęli pierwsi kolonizatorzy greccy, skacze srebrne lustro. Intensywne, bezkompromisowe, brutalnie wspańiale. Po tym lustrze, które chłodzi o poranku, przechadza się absurdalny okręt. Wycieczkowy, ale bez ludzi. Upstrzony światłkami głębokonocnych dancin-gów. Próbuje uwieść. Podpływa, odpływa, jak porzucony na plaży dziecko materacy.

Jeszcze dwa lata temu był tu ze mną Paweł. Smoleński. Przyjaciół, z którym pisaliśmy książkę o Sycylii. Może bardziej o nas. „Czerwony śnieg na Etnie”. Pawełka nie ma, został jego entuzjazm dla tej nowej dla niego rzeczywistości, radość kawy, konfitur z etneńskich owoców, rozmowy z Kasią Valentino – Duszą i Umysłem tego domu, której poświeciliśmy cały rozdział książki. Kiedy, cukrzyk na wakacjach, jem ciastka, Pawelek cały czas kręci się po tarasie jak ten absurdalny statek wycieczkowy. I co chwilę zatapia się w słońcu. O 10 rano już ciepłym jak czarny kot.

Spotykam ludzi, którzy poznali Pawelka: Luanę, Emilię, Adame... Jest w nich żywa pamięć tego dziwaka, który podziwiał i delektował się w sposób, w jaki inni szydzą i wybrzydają. I jakimś zagadkowym szlakiem wiedzą, że ten wielki malkontent najszybciej pokochał Wyspę, Hotel, Morze. Nawet brzydotę niektórych mieszkańców, którą ja zawsze brałem za piękno.

Słońce odprowadza mnie na jutro do Syrakuz i jest w nich bohaterem niepodzielnym, tyrańskim. Nie będę powtarzał rzeczy, które już raz napisałem, powiem więc tylko, że przez to zaskakujące, październikowe spotkanie ze słońcem rozbrykanym w Morzu Jońskim lepiej dziś widzę historię wstydlivej Afrodyty. Po tej wycieczce jest już nie tylko tak, że bogini wyszła z najbliszej piany i, zawstydzona gminnym zachwytem, ukryła się w kwiatach mirtu. Teraz wiem, że pomiędzy jednym a drugim epizodem był etap lustra. Wyobrażam sobie, że nagą boginię zaskoczyło zwierciadło (to samo, z którym spotkałem się ra-

no w Giardini Naxos), że zobaczyła się w nim, zapragnęła głębiej przyjrzeć się sobie i zabłądziła na Morzu Śródziemnym w pogoni za zwodzającym ją własnym obrazem.

Na placu Świętego Filipa – spodziewana niespodzianka. Od roku wiem, że w centrum Syrakuz, na szlaku Aretuzy, jest księgarnia krakowskiego wydawnictwa Austeria. I dzięki spostrzegawczości ojca Tomasza Dostatniego, który jest ze mną, na nie natrafiam. Antykwaryczne, sugestywne wnętrze, alfabety hebrajski i jidysz, dyskretna obecność polskiej księgarki i Jahwe wie, co tam jeszcze przyciągają, zwłaszcza międzynarodowe towarzystwo. Kiedy ja jestem w środku, wchodzi kilkoro amerykańskich i kanadyjskich Żydów. Co to? Skąd to? Biorą książki do ręki, dziwią się, że takie piękne. A niektóre – że tak zaokrąglone na kantach. Jedni kupują, inni zapisują adres, żeby wrócić. Szef Austerii Wojciech Ornat powiedział mi kiedyś, że żydowska książka znajdzie czytelnika zawsze, bez względu na język. To się sprawdza. Sprawdza się niewiarygodna utopia krakowskiego wydawcy, wizjonera, księgarza. Ten obraz – książki, która z ulicy Szerokiej w Krakowie trafia na syrakuzską Giudekkę – ma w sobie potęgę wzmiarki u Márqueza o dziewczynie z Macondo, bodaj Rebecce, która umarła w Krakowie. Ma w sobie równe nieprawdopodobieństwo prawdy.

Na sycylijskiej trasie października czeka Jacek Poremba, przyjaciel, wspańiały fotograf, a dzięki niemu miejsce, w którym dotychczas nie byłem – Eraclea Minoa. Starożytne miasto, które teraz jest wysokim, urwistym, niekiedy zniżonym wybrzeżem. Nieważne, co mówią ludzie. Ja mówię, że z tego spiętrzenia, spomiędzy janowców i agaw, jest najlepszy na świecie widok na uciekające przed Afrodytą zwierciadło.

Godzina jest śródziemnomorska. Szczęśliwa godzina wolności od ojczystych krętać, głupoty, politycznych bredni. W miły wymiarze wybory odbyły się trzy dni przed Heraklę. Morze wydobywa z nich znaczenia odwieczne. Głupstwa są spopielone, kwiaty kwitnące, Afrodyta cudowna. Zabraniam myślom wracać do nazwisk nieistniejących już arogantów i głupców. Zaświadczam: nie ma ich już nawet wśród cieni. ●

„Czerwony śnieg na Etnie”, książka reporterska Pawła Smoleńskiego i Jarosława Mikołajewskiego, dostępna w księgarni wydawnictwa Czarne i w formie e-booka na Publio.pl.



SEKSPRYWATKI W WATYKANIE

Protektorem biskupa Kaszaka był szef Papieskiej Rady ds. Rodziny,
miłośnik męskich prostytutek i szwajcarskich gwardzistów

Frédéric Martel*

FOT. BULLIT MARQUEZ/AP



Papież Franciszek zdymisjonował biskupa Grzegorza Kaszaka, w którego diecezji, w mieszkaniu księdza, odbyła się gejowska orgia. „Chemiczne” imprezki w polskim Kościele! Rzecz zdumiewająca, niewyobrażalna – ale żadne zaskoczenie dla osób zaznajomionych z sekretnym życiem instytucjonalnego katolicyzmu. Nie jest to odprysk niczego ani odosobnione zjawisko – to system.

Kiedy parę lat temu mieszkałem w Watykanie, pewien kardynał opowiedział mi o podobnych „chemicznych” prywatkach na górnym piętrze Kongregacji Nauki Wiary, gdzie uprawiano gejowski seks z dużą ilością alkoholu i prochów. „Chemicznych”, czyli z udziałem narkotyków syntetycznych, m.in.: MDMA [ecstasy], GHB [zakazany od lat lek znieczulający, często wykorzystywany jako pigułka gwałtu], DOM [znane też jako STP], DOB [dopalacz z grupy psychodelicznych amfetamin], DiPT [psychodelik o nietypowym, bo ukierunkowanym na słuch, działaniu], i niektórych leków. Seksparty w świątyni inkwizycji! W pałacu Świętego Oficjum, tak długo kierowanym przez Józefa Ratzingera, później Benedykta XVII!

Nie wierzyłem w tę historię, uważałem ją za bujdę.

Ale z czasem poznałem nazwisko księdza, który organizował słynne wieczorki. Niejaki monsignore Luigi Capozzi, przez ponad dziesięć lat osobisty asystent kardynała Francesca Coccopalmeria i protegowany (za kadencji Benedykta XIV) kardynała sekretarza stanu Tarcisia Bertonego. Pokazano mi mieszkanie na najwyższym piętrze Kongregacji Nauki Wiary, gdzie miały miejsce te igraszki. Pisząc „Sodomę?” – książkę o gejach z Watykanu – uznałem te doniesienia za zbyt cudaczne, by je publikować. Nikt by mi nie uwierzył.

Ale latem 2017 roku włoska prasa ujawniła ten seksualny skandal i upubliczniła nazwisko rzeczonogo księdza, przytoczyłem więc je w końcu w „Sodomie”. Książkę został rzecz jasna uznany za czarną owcę, wyjątek, osobę chorą, relegowany i – jak należy – wysłany na leczenie. Nie wiadomo, co się z nim potem stało, ale wolno mniemać, że został gdzieś ponownie proboszczem albo trafił do klasztoru, gdzie odnalazł „bliskich w wierze”.

Przypadek biskupa Grzegorza Kaszaka i księdza „z jego parafii” nie jest więc w żadnej mierze wyjątkowy. Mamy w świecie dziesiątki – a właściwie setki – podobnych seksualnych afer z udziałem księży i ich protektorów. W polskiej sprawie interesujące jest to, że oprócz oskarżenia pralata mówi się o jego bliskości z najbardziej wpływowymi kardynałami w Watyka-

nie, w tym z kolumbijskim arcybiskupem Alfonsem Lópezem Trujillem, włoskim arcybiskupem Anielem Sodanem i polskim arcybiskupem Stanisławem Dziwiszem. Oto jego protektorzy.

Według kilku osób, z którymi rozmawiałem niedawno w Bogocie i w Medellin w Kolumbii, biskup Kaszak był w Rzymie jednym z protegowanych kardynała Trujilla. Trujillo, jeden z najbliższych współpracowników Jana Pawła II, był w latach 90. przewodniczącym Papieskiej Rady ds. Rodziny. Nowa dykasteria utworzona przez papieża wkrótce po wyborze była jednym z priorytetów jego pontyfikatu. López Trujillo dokładał wszelkich starań, potępiając seks pozaślubny, rozwody, homoseksualizm, a nawet satanizm, jakim miało być używanie prezerwatywy w walce z AIDS – podróżował po całej Afryce, przypominając o watykańskim zakazie.

Ultrakonserwatywny, karykaturalny homofob wiódł podwójne życie, co udokumentowałem na podstawie dziesiątek zeznań, m.in. Alvara Léona, jego byłego mistrza ceremonii i osobistego asystenta w Medellin. Kardynał Trujillo, utajniony homoseksualista, lubował się zwłaszcza w męskich prostytutkach i szwajcarskich gwardzistach – widziałem mieszkanie, w którym przyjmował tych chłopców, a Alvaro León opowiedział mi, jak sam ich rekrutował dla swojego kardynała. López Trujillo był w samym centrum licznych skandali obyczajowych,

a o jego ekstrawaganckim homoseksualizmie niewątpliwie wiedzieli watykańscy patroni tego człowieka, kardynał Angelo Sodano i monsignore Dziwisz.

Jak mi potwierdzono, biskup Grzegorz Kaszak był też w Rzymie akolitą i za młodu protegowanym Trujilla. Jemu po części zawdzięcza karierę i chroniony status.

Papież Franciszek wie na ogół dość, by działać szybko, gdy tylko wyciekają stosowne informacje – poprosił biskupa Grzegorza Kaszaka o rezygnację, mimo że nie wydawał się bezpośrednio związany z „chemicznymi” imprezkami w Polsce. Parę miesięcy temu Franciszek w ten sam sposób zdymisjonował arcybiskupa Paryża Michela Aupetita – jednego z najwyższych rangą duchownych Francji – zamieszanego w dziwną aferę obyczajową. Nie zwlekał ani chwili.

Rodzi się kolejne pytanie – co dobrze skądinąd poinformowany Stanisław Dziwisz wiedział o zwyczajach panujących w diecezji biskupa Grzegorza Kaszaka? Czy od dawna był zamieszany w te nominacje i inne polskie intrygi? Jego watykańskie biuro śledziło „afery seksualne”, zwłaszcza w Polsce, a już zwłaszcza od jego powrotu do Krakowa. Wiadomo też, że jako asystent Jana Pawła II w latach 1978-2005 Dziwisz był bezpośrednio informowany o większości przypadków nadużyć seksualnych na całym świecie. To dlatego Benedykt XVI „awansował” go zaraz po swoim wyborze zgodnie ze starą zasadą kopa w górę i wysłał do Krakowa. Sam papież Franciszek jest świetnie poinformowany o systemie opracowanym przez kardynała Trujilla przy współudziale Sodana i Stanisława Dziwisza.

Jedną z wielkich tajemnic Kościoła Jana Pawła II jest właśnie osoba kardynała Dziwisza. Co wiedział o nadużyciach seksualnych w polskim Kościele? Co wiedział o „parafii” biskupa Kaszaka? Co wiedział o księżach, którzy kręcili się wokół niego i brali udział w „chemicznych” imprezkach? Miałem okazję rozmawiać z Dziwiszem dwa razy w Krakowie – nadzwyczaj miły, zachwycająco przyjazny, niestety przemilczał te tematy.

Ważne, by Jego Ekscelencja przemówił, bo mimo 84 lat i niewątpliwie bliskości ze świętymi nie będzie, niestety, żył wiecznie. Jeśli nie przemówi, odpowiedzialność prawna i moralna za tuszowanie wszystkich tych nadużyć, które w końcu wyjdą na jaw, skala nie tylko pamięć niezwykłego kardynała, ale też, co ważniejsze, papieża Jana Pawła II.

W czasach, gdy mnóstwo teologów i księży na całym świecie – choćby w Meksyku, Brazylii, Francji i Niemczech – domaga się „dekanonizowania” Jana Pawła II z powodu skandali związanych z nadużyciami seksualnymi, które tuszował jego pontyfikat – a do czego ja osobiście nie wzywam – jest obowiązkiem Stanisława Dziwisza zabranie głosu dla ocalenia pamięci wielkiego polskiego papieża.

Mógłby przy okazji opowiedzieć nam co nieco o biskupie Grzegorz Kaszaku, bo jestem pewien, że bardzo by nas zainteresowało jego bezcenne świadectwo. ●

Przeł. Sergiusz Kowalski

*Frédéric Martel – ur. w 1967 r., francuski socjolog, wykładowca akademicki i dziennikarz. Autor m.in. książki „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie” (Agora, 2019) przetłumaczonej na ponad 20 języków, bestsellera „New York Timesa”. „Sodoma” jest dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ZE **ZBIGNIEWEM ROKITĄ**, REPORTEREM, LAUREATEM NAGRODY LITERACKIEJ „NIKE”, AUTOREM „ODRZANII. PODRÓŻY PO ZIEMIACH ODZYSKANYCH”, ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Rozmawiamy we Wrocławiu. To stolica Odrzanii?

– Absolutnie nie. Odrzania, czyli tzw. Ziemie Odzyskane, nie mają jednej stolicy.

Jedną z najważniejszych myśli, które przyświecały mi w trakcie pisania nowej książki, była troska o niewrocławiocentryczność opowieści. Bo przecież kiedy się mówi o dawnych ziemiach niemieckich, które po II wojnie światowej stały się tzw. odzyskanymi, to właśnie Wrocławowi poświęca się zwykle najwięcej uwagi.

Chciałem od tego odejść. Potrzebowałem też słowa na nazwanie tzw. Ziem Odzyskanych – tak pojawił się pomysł Odrzanii.

Wolę określenie „ziemie pozyskane”.

– To uczciwy termin, ale nie uniósłby tego, co chciałem opowiedzieć, a każdy odnosi się do jakiegoś aspektu tamtych wydarzeń – ziemie pozyskane to przejmowanie ziem przez Polskę, wyzyskanych do eksploatacji przez Polaków i Sowietów itd. Zależało mi na znalezieniu nowego słowa, które odróżniałoby „Polskę poniemiecką” od reszty kraju, od starej Polski – Wiślanii – oraz, po drugie, które brzmiałoby literacko, bajkowo. Perspektywa hydrologiczna stała mi się bardzo bliska, gdy spojrzałem na mapę, słuchając tego, co mówiła jedna z bohaterek mojej książki, profesorka Ewa Chojcecka.

Piszesz o niej: „Ma 90 lat, jest nestorką śląskich historyków sztuki i mądrą kobietą. Jeździę do niej nie po wiedzę, ale po myśli, bo potrafi spojrzeć na świat w nieoczywisty sposób. Teraz znowu do niej jadę. Przyjmuje



Odrzania,
czyli jak
pragmatyzm brał
górze nad ideałami
partyjnymi
czy kościelnymi

KUNDEL ZIEM ODZYSKANYCH

mnie jak zawsze w swoim domu w Bielsku-Białej, w którym mieszka od początku lat trzydziestych”.

– Przyjrzyj się dwóm głównym polskim rzekom. To linie papilarne Polski, widać w nich jej historię. Odra i Wisła z perspektywy polskich granic zaczynają się na Śląsku, u mnie. Przez chwilę płyną równolegle, jak w czasach pierwszych Piastów, gdy duża część Odrzanii i duża część Wiślanii rzeczywiście leżały w jednym kraju. Ale zaraz potem zaczynają się rozchodzić. Odra zmierza na zachód, ma na siebie jakiś pomysł – metafora odpadnięcia od Polski tych ziem na wiele wieków i przyłączenia do świata Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. A Wisła odbija na wschód, w stronę Rusi, Litwy, co symbolizuje geopolityczny

skręt Polski po wygaśnięciu głównej linii Piastów. Tak to trwa i dopiero jakoś w połowie drogi do morza Wisła się opamiętuje, zawraca w stronę Odry – niech to będzie metafora 1945 roku. Na końcu znów przez moment płyną równolegle i docierają do Bałtyku. Obie te rzeki wpadają do tego samego akwenu, ale osobno. I to jest dla mnie symbol, część opowieści o dwóch Polskach, które mocno się od siebie różnią, ale ostatecznie stanowią całość. Bo pewnie wielu z nas, również ja, czuje, że istnieją różne polskości, złożone z różnych pamięci, wrażliwości – brak nam jednak języka, aby to wyrazić. Proponuję mówić o polskości odrzańskiej i wiślańskiej.

Co to znaczy, gdy mówisz, że Odra „ma na siebie jakiś pomysł”?

– Polskie tzw. Ziemie Odzyskane, czyli Odrzania, przez większość swojej historii znajdowały się w orbicie cywilizacji zachodniej. Dla tej krainy prawdziwą rewolucją były dopiero lata 1945-89, po raz pierwszy od setek lat jej tereny znalazły się na umownym Wschodzie. Rok 1945 był dla dzisiejszego Wrocławia czy Olsztyna rewolucją nieporównywalnie większą niż rok 1918 dla Krakowa czy Warszawy.

Kiedy zrozumiałeś, że jesteś nie tylko z Górnego Śląska, z Gliwic, z twojego Kajś, ale i – szerzej – z Odrzanii właśnie?

– Zaczęło się, jak u każdego, od architektury. Jeżdżąc latami po tzw. Ziemiach Odzyskanych, widziałem, że moje Gliwice należały kiedyś do większego świata, którego kikuty

wciąż widać – że te wszystkie Wrocławie, Zabrze, Legnice są ze sobą połączone w najbardziej oczywisty, naskórkowy sposób, czyli przez budynki, układ przestrzenny. Ale kamienice i wieże ciśnię to tylko element większej, trudno uchwytnej całości, to już świecenie światłem odbitym. Pisząc tę książkę, pojechałem do jedynej kolonii Cesarstwa Niemieckiego z prawdziwego zdarzenia, do afrykańskiej Namibii, i tam również przechadzałem się wśród podobnej architektury – a przecież Namibia częścią mojego świata nie jest.

W „Kajś” interesowało mnie zmaganie z tożsamością, a w „Odrzanii” z pamięcią. Tożsamość Lubuszan czy Dolnoślązaków różni się zasadniczo od tożsamości etnicznych Ślązaków, jest ina-

czej skonstruowana, mniej konkurencyjna wobec polskości, ale spory pamięci bywają bardzo podobne – nawet jeśli na Śląsku mamy więcej ciągłości. I właśnie poprzez to mocowanie się z przeszłością, która wyziera spod wielu cegieł, piastowskich nazw ulic i wież ciśnię, zacząłem zauważać, ile nas łączy.

Mój świat też jest usłany półprawdami tzw. Ziem Odzyskanych. Gdy byłem uczniem, zabierano mnie do Zamku Piastowskiego – tak do dziś brzmi oficjalna nazwa tego budynku, będącego częścią muzeum miejskiego. Potem dopiero dowiedziałem się, że budynek ów pełnił w przeszłości różne funkcje, od arsenału po więzienie, ale zamkiem Piastów nigdy nie był. Na moim Górnym Śląsku nieraz dochodziło i wciąż dochodzi do większego zerwania pamięci niż choćby we Wrocławiu – tam w 2011 roku uniwersytet świętował 200-lecie założenia, a Halę Ludową nazywają Halą Stulecia, choć owo „stulecie” nawiązuje do wojen napoleońskich, w których Prusy były po innej stronie niż polskie wojska.

Moje Gliwice pojawiają się w tej książce jednak incydentalnie. To głównie opowieść nie o tych, którzy zostali – jak w „Kajś” – ale o tych, którzy przybyli na te ziemie po wojnie. Pisałem ją bardziej z perspektywy osadniczej, i to podkreślam: jestem kundlem „Ziem Odzyskanych”, powstałem z połączenia tych i tamtych, starych i nowych.

Tu wydarzyło się coś bez precedensu: na terenach pozyskanych, właśnie w tej mojej Odrzanii, przeprowadzono największy eksperyment demograficzny we współczesnej historii Europy. A być może w dziejach Europy w ogóle? Na terenie, gdzie mieszkało blisko 10 milionów ludzi, doszło do – poza śląską czy kaszubską wyspą – niemal zupełnej wy-

miany ludności. To ma konsekwencje do dzisiaj.

Wyczyszczono stary świat i na jego miejscu zaczęto budować nowy...

– A potem się okazało, że jednak to wyczyszczenie nie do końca się powiodło i spod nowego zaczęło wyłaniać się stare.

Odniemczenie udało się tylko częściowo. Najważniejszym elementem odniemczania było pozbycie się Niemców, i to się w ogromnej mierze udało. Istotne było też pozbycie się materii nieożywionej. Łatwiejsze były zmiany nazw ulic czy miast, trudniejsze pozbycie się napisów na budynkach czy zwłaszcza przedmiotach. To nigdy do końca się nie udało – coś na tych targach staro-

ci wciąż leży, prawda? Nawet jeśli niemałą część artefaktów podszuwających się pod poniemieckie wyprodukowano w RFN czy NRD. Bardzo często pragmatyzm brał górę nad ideałami partyjnymi czy kościelnymi. I tak na przykład w wielu domach pozostawiano budziki z niemieckimi napisami, bo mechanizm sprawny, to po co wyrzucać? Zostało mnóstwo przedmiotów świadczących o tym, że wcześniej było na tych terenach nieco inne życie, a jednocześnie o tym, że nie dało się odciąć od tego, co dawne. Przetrawało to, co materialne, i obecność tego materialnego, w którym wyrosło już kilka pokoleń, pchała Odrzan do rewolucji odrzańskiej pół wieku później i szukania tego, co niematerialne. Nieco upraszczając: po 1945 roku odreagowywano wojnę poprzez dopolszczanie, później, po 1989 roku, czasem odreaguje się, doniemczając. Przedmioty, zdjęcia przypominały, że przed pojawieniem się po wojnie polskiego świata istniał tu niemiecki antyświat, z czasem niektórzy zaczęli się zastanawiać, czy te dwa światy da się połączyć w jedno. Widać to nawet w języku: Andrzej Zawada wymyślił słowo „Breslaw” na połączenie Breslau i Wrocławia, przedmiasta z miastem. Wszystkim tym dylematom towarzyszyło od 1945 roku fundamentalne pytanie: kim jesteśmy tu my, osadnicy? Spadkobiercami i kontynuatorami czy zdobywcami?

Jednocześnie patrząc na te wysmakowane nieraz niemieckie przedmioty czy pocztówki, na których w Stettin zawsze świeciło słońce i nigdy nikogo nie mordowano, zaczyna się przeceniać świat niemiecki, przedwojenny i nie doceniać wielkiego osiągnięcia powojennego na tych ziemiach. To był ogromny sukces Polaków i innych mieszkańców tych ziem: Żydów, Łemków, Boj-

Wrocław, czy Warszawa, w której zbiorach się on znajduje?

Z dawnych miast niemieckich wywożono też – o tym mówi się do dziś – cegły, by odbudować zniszczoną przez Niemców w czasie powstania warszawskiego stolicę. To miał być ten zauważalny i istotny wkład terenów pozyskanych – rzekomo odwiecznie piastowskich – w tworzenie nowej Polski. Ale piszesz o jeszcze jednym zjawisku: z centralnej Polski, i nie tylko, do Wrocławia i innych miast przyjeżdżano, by kupować przedmioty należące do Niemców i zabierać je do polskich domów. Czyli być może próbowano odniemczać to, co pozyskane, ale zniemczano to, co – tak to nazwijmy – tradycyjnie polskie, czyli Wiślanie!

– Tak, cegły wywożono na ogromną skalę, w dużej mierze do Warszawy – i dziś niejedna warszawska kamienica jest poniemiecka. Z Wrocławia wywieziono tyle cegieł, że w 1956 roku był on w gorszym stanie niż w 1945. W wielu krainach Odrzaniu słyszałem żal do Warszawy z tego czy innego powodu – to zresztą zbliża te ziemie do Górnego Śląska.

Polskie władze zaraz po wojnie tereny Odrzanii traktowały jak wewnętrzną kolonię, sporo z nich wyssano, choć prym wiodli tu oczywiście Sowietci, którzy Odrzanię traktowali jako reparację wojenną i wywozili wszystko: dzieła sztuki, przemysł, ludzi. W pierwszym okresie Warszawa mniej chętnie tu inwestowała, choć zniszczenia np. przemysłu były tu ogromne, większe niż w reszcie kraju. Jednocześnie Warszawa musiała przeprowadzić tutaj akcję osadniczą na wielką skalę i wykonać dużą pracę na społeczeństwie. Ludzie po latach zaczęli czuć się tu jak u siebie – jedni po kilku, inni po kilkudziesię-

– Przede wszystkim bodaj żaden nie uważał, żeby Odrzania, czyli ziemie poniemieckie, stanowiła jednolitą całość. Ja też tak nie uważam, stąd trudno mówić o różnicach między Odrzanią a Wiślanią. W książce skupiam się na problemach z pamięcią, i to rzeczywiście łączy „Ziemie Odzyskane” i o tym mówili najczęściej.

Najlepiej to jednocześnie bycie i niebycie Odrzanii wyraża pojawiające się w książce jak refren niemieckie słowo „jein”. To połączenie „ja”, czyli „tak”, z „nein”, czyli „nie”. Ono pokazuje, że coś może jednocześnie istnieć i go nie być. Chciałem napisać książkę o pamięci na przykładzie ziem poniemieckich, pozycję, w której będzie nie tylko klasyczny reportaż, ale i dużo „rozkminy”, bo te ziemie „rozkmina” ściela się gęsto.

Mówisz: „W tej mojej Odrzanii przeprowadzono największy eksperyment demograficzny we współczesnej historii Europy”. Gdy o nim rozmawiałeś z bohaterami książki, co było dla ciebie w tych rozmowach, w twoim snuciu się najciekawsze czy też najbardziej odkrywcz?

– Właśnie owa „rozkmina”. Co rusz wywraçałem się na micie, jest ich tu pełno: mit lwowski, piastowski, odwiecznej polskości, mit arkadii, Wolnego Miasta Gdańska itd. Ta ziemia powstała ze zderzenia niemieckiego i polskiego, tu na polu pamięci zadziało się coś innego niż w Wiślanii. Do podobnego procesu mogło dojść jeszcze tylko w Kaliningradzie, ale tam historia potoczyła się inaczej, nie wytworzyła się nowa jakość. Odrzania uczy, że czasem na jedno pytanie są dwie pozornie sprzeczne odpowiedzi, to pozytywistyczna odtrutka na romantyzm. Albo sprawa dzwonu z napisem „Grünberg” (niemiecka nazwa Zielonej Góry), który znaleziono w białoruskim Witebsku. I wszy-

cieli związanych z jednym z zespołów szkolno-przedszkolnych, kogo chcieliby za patrona placówki. Propozycje były trzy: Jan Paweł II, Faustyna Kowalska oraz księżna Daisy, czyli Angielka wżeniona w niemiecką arystokrację, związana z zamkiem Książ i Waldenburgiem, czyli Wałbrzychem. W Wiślanii zapewne zwyciężyłby papież, ale tam oszalałmiącą większością głosów wygrała Daisy. Wielu się oburzyło, pojawiały się hasła w rodzaju: „Tęsknicie za III Rzeszą?”. Z kolei zwolennicy pomysłu pytali, dlaczego patronem miałby być Jan Paweł II, skoro nie był związany z miastem. Zainteresowała mnie ta historia, bo to kolejny spór, w którym nie uważam, aby istniała poprawna odpowiedź: obie strony sporu zapewne bowiem zgadzają się, że należy dbać o miejscową pamięć i upamiętniać rodzimych bohaterów. Różnie rozumieją jedynie pojęcie „bycia stąd”. Dla jednych Daisy była Angielką, która wyszła za Niemca, dla drugich była wałbrzyszką, dla jednych Wałbrzych jest na pierwszym miejscu częścią Polski i powinno się niezależnie od wszystkiego przeschecpić tu bohaterów z innych regionów – na ogół z Wiślanii – a dla drugich Wałbrzych na pierwszym miejscu jest Wałbrzychem.

Przedwojenna historia tych ziem budzi niepokój wielu – zarówno Odrzan, jak i Wiślan. PRL-owskie mity straciły swojego wielkiego opowiadacza w postaci państwa, ale nieźle się trzymają. Inna sprawa, że doskonale rozumiem, dlaczego zaraz po II wojnie światowej władze wtłaczały ludziom do mózgów nowe mity, historii często niemające wiele wspólnego z faktami. Tym, którzy przybywali z Kresów czy z centralnej Polski – czasem wbrew swojej woli, a czasem bardzo się z tego ciesząc – należało dać opowieść, która mogłaby być klejem, by poczuli się u siebie. Opowiadano więc, że to odwiecznie pol-

granicy do czasu, gdy Niemcy się zjednoczą, ale machina współpracy ruszyła.

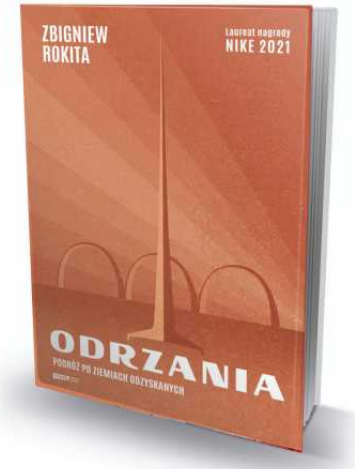
Po pierwsze, było już na świecie pokolenie, które nie знаło wojny i dramatu tułaczki.

Po drugie, ludzie uwierzyli, że już nie tracą domów, które zajęli blisko trzy dekady wcześniej, zrozumieli też, że Związek Radziecki nie odda już dawnych Kresów.

Po trzecie natomiast, Niemcy – ci, których wysiedlono, lub ich dzieci – zaczęli masowo przyjeżdżać do Polski, zaglądać do swoich dawnych domów. W latach 1972-80 niemieccy obywatele wjechali do Polski, głównie do Odrzanii, około 50 milionów razy. Nagle Polacy z Odrzanii i Niemcy z Odrzanii spojrzeli sobie w twarz i dla obu stron było to bardzo ważne. Powoli przestawali się uważać za wcielonych diabłów. Nie wiem, czy było to pojednanie, ale na pewno było to osławianie.

Obrazem, który pozostanie ze mną po lekturze, jest scena na składowisku dawnych niemieckich nagrobków we Wrocławiu. Chodzisz po nim wraz z osobami, które zajmują się ich znajdowaniem, układaniem tak, by można było poznać nazwiska tych, którzy niegdyś mieszkali w Breslau. I piszesz, że ziemia wypłwa z siebie co jakiś czas kolejne tablice.

– Upominamy się o cmentarz Łyczakowski we Lwowie czy na Rosie w Wilnie, a sami do dziś w Odrzaniu dewastujemy niemieckie nagrobki. W 1945 roku na Odzyskanych było około trzech tysięcy niemieckich cmentarzy, to setki tysięcy nagrobków. Niektóre służą nawet za schodki w parkach. A te cmentarze na ogół nie były ekshumowane, wciąż są tam szczątki, stąd – może to wciąż cmentarze? Wiele z tych osób umarło przed dojściem naziistów do władzy, wielu jest pochodzenia żydowskiego, gdyż jak wie-



Książka „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych” Zbigniewa Rokity ukazała się nakładem wydawnictwa Znak Literanova

Nagle Polacy z Odrzanii i Niemcy z Odrzanii spojrzeli sobie w twarz, powoli przestawali się uważać za wcielonych diabłów

ków, Ślązaków, Niemców, Kaszubów. To była kraina zdruzgotana, zarówno duchowo, jak i materialnie, a udało się ją podźwignąć.

To idzie w parze z pytaniem o to, jak dbać o przeszłość, również materialną, i o zabytki.

– Tak, w dylemacie dzisiejszych choćby szczecinian czy wrocławian o „ich” przedwojenne zabytki, które po II wojnie światowej wywieziono do Wiślanii, głównie do Warszawy, pobrzmiwa znów inne pytanie: czy przedwojenne zabytki były tu niemieckie, czy szczecińskie? Jeśli to drugie, to mamy do nich prawo, jeśli chcemy to prawo mieć. Rozumiem, że wywożono zabytki tuż po wojnie, gdy ziemie te mogły wrócić do Niemiec, ale czy dziś większe prawo do zabytku z Breslau z 1900 roku ma

ciu – ale Odrzania wciąż nie zajmuje tak istotnego miejsca w polskim imaginarium jak Wiślania. Gdy mówimy o polskich górach, mamy na myśli raczej Tatry niż Sudety, gdy o polskiej rzece – raczej Wisłę niż Odrę itd. Zmianie takiego stanu rzeczy mogłoby pomóc wciągnięcie choćby jednej książki o Odrzaniu na listę lektur – choćby „Domu dziennego, domu nocnego”. Choć z drugiej strony może ludzi po prostu intuicyjnie wyczuwają, że największe kłamstwo komunistów było kłamstwem – o jednolitej, jednonarodowej, jednojęzykowej Polsce z jedną pamięcią?

Czy twoi rozmówcy wskazywali na jakieś konkretne różnice między Odrzanią a Wiślanią?

scy go chcieli mieć: prawosławni na Białorusi, którzy go używali od lat, katolicy z Zielonej, którzy chcieli go odzyskać dla miasta, oraz protestanci, których przodkowie opuścili po wojnie Grünberg. Spytałem znawcy tej tematyki z Zielonej Góry, Marcelego Tureczka, o to, czy jest ten dzwon. Odpowiedział, że z punktu widzenia pamięci – protestantów z Niemiec, z punktu widzenia polskiego prawa – katolików z Polski, z praktycznego punktu widzenia – prawosławnych z Białorusi. Tym jest Odrzania. To laboratorium konstruowania pamięci, stawiania pytań, które dla wielu wciąż są bluźniercze.

Na przykład?

– Jakiś czas temu w Wałbrzychu zapytano rodziców, uczniów i nauczy-

skie ziemie (nawet jeśli Szczecin „polski” ostatni raz był w XII wieku), że wielka była tu przedwojenna Polonia czy że to ziemie piastowskie – nawet jeśli ostatni Piastowie w XVII wieku mówili już o swojej dynastii „Die Piasten” i byli niemieckojęzycznymi protestantami. Mity te były jednak ludziom potrzebne, a to było szczególnie silne do lat 70.

Po zmianie rządu w Bonn, gdy Willy Brandt został kancle-rzem, postawił na normalizację relacji między PRL a RFN.

– Wtedy niezgodnie ze stanem faktycznym Warszawa oświadczyła, że Bonn uznało ziemie przyłączone w 1945 roku za integralną część państwa polskiego. Tymczasem podpisany traktat odwlekał uznanie

my – poniemieckie nieraz wchłonęło pożydowskie.

Natomiast znów – rozumiem ludzi, którzy niszczyli po wojnie niemieckie cmentarze, w tym te, na których leżeli pewnie i moi przodkowie. Opowiadał mi o tym Zbigniew Czarnuch z Witnicy, dziś już dobrze po dziewięćdziesiątce. Mówił, że najpierw z pełnym przekonaniem odniemczał tereny pozyskane, a dzisiaj z tymi samymi uczuciami próbuje ratować to, czego odniemczyć się nie udało. Spytałem go: „Kiedy miał pan rację – niszczyć czy ratując?”. Na co odpowiedział: „Miałem rację dwa razy – i wtedy, i teraz. Istnieje bowiem racja czasu”. To jedno wielkie „jein”. ●

REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Za darmowe apki na smartfony zapłacimy drogo.

Łukasz Rachel

(University College London),

Jakub Szymczak (OKO Press)

„Sztuczna inteligencja zabierze nam pracę” – czytamy w nagłówkach prasowych i internetowych. Mówi się o kolejnej rewolucji technologicznej. Czy rzeczywiście żyjemy w nadzwyczajnych czasach i nic nie będzie już takie jak dawniej? Czy rynek pracy czeka na nieodwracalne zmiany, a pracownicy masowo wylądują na bruku?

Jeśli tak ci się wydaje, przypomnij sobie dowolny film, którego akcja rozgrywa się w pierwszej połowie XX wieku w Stanach Zjednoczonych. Jeśli kobieca bohaterka pracowała, jest duża szansa, że była stenotypistką. Była to dla kobiet szansa na początek kariery w biurze i praca, którą mężczyźni parali się rzadko. I łączyła się z maszyną do pisania, czyli stosunkowo nową technologią – do powszechnego użycia maszyny weszły dopiero w drugiej połowie XIX wieku. W 1920 roku z 8 milionów pracujących w USA kobiet ponad pół miliona było stenotypistkami. Dziś nie ma po tym zawodzie śladu. I co? I nic.

Rewolucja w technologii to dla nowocześnieści nic nowego. Jedne zawody znikają, drugie zajmują ich miejsce. Według raportu banku Goldman Sachs 60 proc. ludzkości pracuje dziś w zawodach, które nie istniały w 1940 roku.

Ten sam raport mówi o 300 mln etatów, które globalnie znikną przez rozwój sztucznej inteligencji. Badania mówią wprawdzie, że po 1980 roku nowe prace wolniej zastępują stare, niż działo się to wcześniej. Ale to nie znaczy, że ten proces się nie dzieje. Musimy o tym wszystkim pamiętać, myśląc o świecie pracy w przyszłości. Ale jednocześnie nie jest to niewiedzia – nigdy wcześniej katastrofa, jak wieszczą niektórzy. W mainstreamowym przekazie wciąż dużo mówi się o tym z perspektywy wojny ludzi z maszynami. Ale to ludzie tworzą technologię i zamiast bać się jej konsekwencji, powinniśmy zastanawiać się, co zrobić, by służyła nam jak najlepiej. Spójrzmy na to od strony ekonomicznej.

CO NAPĘDZA ROZWÓJ?

Chociaż dzisiaj wzrost jakości życia wydaje się nam całkowicie naturalnym zjawiskiem, historia wzrostu gospodarczego jest stosunkowo krótka. Wyobraźmy sobie historię ludzkości jako długość boiska do piłki nożnej. Jedną linią końcową to milion lat temu, przeciwną – teraźniejszość. Przez większość historii ludzie byli łowcami i zbieraczami – systematyczne rolnictwo (które zaczęło się 10 tys. lat temu) to zaledwie ostatni metr. Era nowoczesnego wzrostu to jak pileczka do golfa umieszczona na końcu boiska – rozpoczął się on około 200 lat temu w Europie Zachodniej, a na resztę świata zaczął rozlewać się dopiero 150 lat temu. Rozwój, jaki znamy dziś, nie jest więc jakimś naturalnym prawem, tylko procesem, który trzeba starać się zrozumieć.

Badania nad naszymi doświadczeniami ze wzrostem – i też nad tymi kilkoma tysiącami lat, kiedy zmiany były tak powolne, że dla pojedynczych pokoleń całkowicie niedostrzegalne – dają odpowiedź na fundamentalne pytanie: co napędza długoterminowy rozwój? Ta odpowiedź to technolo-

gia, sposób, w jaki łączymy dostępne środki w procesie produkcji: pracę i kapitał. Sama akumulacja kapitału zarówno stałego, jak i ludzkiego – czyli tak pożądane dziś w Polsce inwestycje – to za mało, aby rozwijać się długoterminowo. Inwestycje bez progresu technologicznego kończą się stagnacją, bo dodatkowa wartość, którą możemy wycisnąć z kolejnej jednostki kapitału, jest coraz mniejsza w miarę gromadzenia coraz większych zasobów. Na przykład jeśli prowadzimy gospodarstwo, to inwestowanie w kolejne grabie i łopaty nic nie zmieni, nie pozwoli nam zrobić nic nowego. Jeśli chcemy rzeczywiście długotrwale zwiększać produkcję, potrzebna będzie zmiana technologiczna – często ściśle z kapitałem związana – na przykład wynalezienie nawozów czy maszyn, takich jak choćby traktor.

Kluczowe jest to, że nie wszystkie technologie przekładają się na wzrost dobrobytu w tym samym stopniu.

Najkorzystniejsze są te technologie, które powodują duży wzrost naszej produktywności (jako pracowników, zarówno w domu, jak i w miejscu pracy) czy satysfakcji (jako konsumentów coraz to nowych i lepszych produktów). Wynalezienie pralki było fantastyczne dla efektywności pracy domowej (i notabene przyczyniło się do aktywizacji milionów kobiet na rynku pracy). Równocześnie inne wynalazki są tylko marginalnym ulepszeniem już istniejących rozwiązań – do głowy przychodzą telewizory o coraz większej rozdzielczości czy asystenci głosowi z ostatnich kilku lat.

Różne grupy społeczne w różnym stopniu korzystają z postępu technicznego. Większość zmian technologicznych ma swoich zwycięzców i przegranych, przynajmniej w krótkim okresie. A to wymaga zrozumienia procesów dystrybucyjnych i prowadzenia polityki gospodarczej, która daje jak największemu gronu ludzi możliwość poprawy jakości życia.

UTOPIA CZY DYSTOPIA?

Najpierw wróćmy jeszcze do historii. Mówiliśmy już, że dynamiczny rozwój technologii i szybki wzrost gospodarczy to zaledwie ostatnie 200 lat. W tym okresie możemy znaleźć wiele przykładów, jak rozwój i automatyzacja wpływa na świat pracy i dobrobyt. Spójrz-

my choćby na rolnictwo. W 1900 roku w Stanach Zjednoczonych 12 mln osób pracowało w tym sektorze. W 1970 roku było to już tylko 3 mln. W tym samym czasie populacja całego państwa wzrosła prawie trzykrotnie, a rolnictwo poczyniło ogromny postęp technologiczny. Rozwinęły się maszyny stosowane do pracy na roli, techniki uprawy, nawozy.

Zwiększała się produktywność pracy i coraz mniej osób było potrzebnych, by wytworzyć tyle samo lub więcej żywności. To oznaczało, że coraz więcej pracy było w miastach, a coraz mniej na wsi. To dla jednych była wielka życiowa szansa, a dla innych oznaczało trudności i często pogorszenie się stopy życiowej lub wejście w nowe środowisko i trudności w przystosowaniu się do nowej sytuacji. Ale ostatecznie przeciętny robotnik w Stanach Zjednoczonych w 1970 roku miał się znacznie lepiej niż ten w 1900 roku. Kluczowe było to, że wraz z procesem automatyzacji pewnych sektorów gospodarki i odpływania z nich pracowników tworzyły się nowe sektory,

do których ci pracownicy mogli przejść. A popyt na nowe produkty pojawiał się, bo owoce wzrostu docierały również do zwykłych robotników.

Wróćmy teraz do współczesności. Aplikacje, które za pomocą prostych poleceń tekstowych generują obrazki, w ciągu roku niezwykle się poprawiły. To samo polecenie, które w połowie 2022 roku dawało nam dziwny bohomasz, dziś może zwrócić fotorealistyczny obraz. ChatGPT napisał nam wiersz w stylu Marii Konopnickiej na dowolnie wybrany temat. To oczywiście robi wrażenie. Powstaje pytanie – czy dzisiejsza rewolucja w technologii przełoży się na rewolucję ekonomiczną? A jeśli tak, to czy czeka nas utopia robotów odwalających za nas ciężką robotę, czy dystopia niepewności zatrudnienia, niskich zarobków i wszechwładzących monopolistycznych korporacji w coraz większy sposób kontrolujących nasze życie?

Sztuczna inteligencja, jak często potocznie określa się zbiorczo wszystkie aplikacje



*Wszystkie te łatwe
i oczywiste rozwiązania
zostały już znalezione.
Coraz trudniej jest nam pchać
do przodu granicę naszej
wiedzy*

FOT. SHUTTERSTOCK



i narzędzia z niej korzystające, bywa mylącą nazwą. Inteligencja tych programów jest zupełnie inna niż inteligencja człowieka. Odpowiadając na nasze pytania, algorytm ich nie rozumie; wyrzuca za to z siebie ciąg słów, które są najbardziej prawdopodobne w odpowiedzi na nasze pytania. Wielowymiarowość i złożoność obliczeń tych prawdopodobieństw jest jednak tak wielka, że daje niesamowite efekty i złudzenie rozumienia. Narzędzia te mogą być bardzo przydatne do poprawiania produktywności pracy. Aplikacja szybciej wygeneruje prostą grafikę lub przepisze kod programistyczny. To powtarzalne zadania, które mogą być nużące. Z pomocą narzędzi AI graficy lub programiści mogą wykonać je szybciej i w zaoszczędzonym w ten sposób czasie zająć się trudniejszymi zadaniami, które wymagają namysłu.

Są też zawody, w których sztuczna inteligencja może całkowicie człowieka zastąpić. Na przykład powszechny jest pogląd, że kierowcy komercyjni będą w przyszłości wyeliminowani, a na drogach ciężarówki będą prowadzone przez algorytm. Jeśli przejazd samosterującej ciężarówki będzie tańszy, szybszy i bezpieczniejszy, zyskają na tym konsumenci, firmy czy rowerzyści. Przegranyymi w tym scenariuszu są kierowcy, którzy mogą – choć nie muszą – wylądować na bruku.

Dużo więc zależy od tego, w jakim stopniu nowe technologie uzupełniają naszą pracę – powodują, że możemy skupić się na bardziej interesujących zadaniach, i czynią nas w nich bardziej efektywnymi – a na ile mogą być substytutem ludzkich rąk i umysłów. W rzeczywistości występują oba te zjawiska. Aby zachować równomierny wzrost i drogę w stronę dobrobytu, musimy uważać, żeby drugie z nich nie dominowało nad pierwszym. Chodzi tutaj nie o blokowanie postępu, ale o stworzenie systemu ekonomicznego, który daje wszystkim obywatelom możliwości przystosowania się do zmieniającej się rzeczywistości. Cel jest taki, żeby w technologicznie nowej rzeczywistości było stenotypistki czy kierowcy mieli ciekawszy, bezpieczniejszy i lepiej opłacany zawód.

Warto wspomnieć, że cel ten często udaje się osiągnąć. Wprowadzenie bankomatów odciążało pracowników oddziałów banków, pozwalając im skupić się na

obsłudze klienta. Zatrudnienie w bankach wzrosło, a nie spadło, jak by się mogło wydawać. Przykład ten pokazuje, jak trudno jest ocenić z wyprzedzeniem, jak dana technologia wpłynie na zatrudnienie. Szerzej zakrojone badania pokazują, że zwykłe firmy i sektory, które się automatyzują, równocześnie zatrudniają więcej ludzi. Dzieje się tak, bo technologia wprawdzie przejmuje część zadań wykonywanych przez ludzi, ale tworzy też nowe zadania. Ze sztuczną inteligencją może być podobnie. W mediach społecznościowych już widać reklamy konsultantów od AI.

Ważne jest też to, na ile gospodarka (czyli my) potrzebuje dóbr i usług wytworzonych dzięki technologii. Załóżmy na przykład, że dzięki AI produktywność dziennikarza czy architekta może się podwoić. Czy w lokalnej gospodarce jest miejsce na dwa razy więcej artykułów prasowych, czy dwa razy więcej projektów architektonicznych? Jeśli tak, to pracownicy w tych zawodach będą zarabiać znacznie więcej. Jeśli nie, to popyt na te zawody – a co za tym idzie płace – mogą spaść wraz z postępem technologicznym.

Sztuczna inteligencja to wynalazek cyfrowy, warto więc też odnieść się do doświadczeń z IT bardziej ogólnie. Upowszechnienie się komputerów czy później internetu miało zmienić wszystko. I zmieniło bardzo wiele – to, jak konsumujemy informacje, to, jak pracujemy, stworzyło nowe miejsca pracy i zabiło część starych. Ale nie przewróciło świata pracy do góry nogami, jeśli spojrzymy na produktywność.

Patrząc tylko na dane, rewolucji nie widać. Spójrzmy choćby na Stany Zjednoczone, centrum rozwoju technologii informatycznych w ostatnich kilku dekadach. Średnio ujmując, historyczny trend wzrostu produktywności został utrzymany: dynamika była nieco szybsza w latach 90. i na przełomie XX i XXI wieku, ale zwolniła przez ostatnie dwie dekady.

BOGACI SIĘ BOGACĄ

10 lat temu mało kto w Polsce myślał o automatycznych kasach w supermarketach. Dziś to standard w większości dużych sieci. Maszyny wykonują pracę, którą wcześniej wykonywali kasjerzy i kasjerki. To dobry przykład technologii, którą czołowy badacz wpływu nowych technologii na gospodarkę Daron Acemoglu razem z Pascuałem Restrepo nazywają „so-so technologies”, co można przełożyć jako „takie sobie technologie”. Pod tym pojęciem kryją się właśnie innowacje, które nie prowadzą do dużych wzrostów produktywności, a mogą powodować głęboki szok na rynku pracy w danych zawodach. Każdy, kto stał w kolejce do automatycznej kasy biletowej, wie, że zysk czasowy, a więc i wzrost produktywności, często jest niewielki. Jednocześnie wprowadzanie tych rozwiązań może pozbawiać pracy ludzi, którzy mogą mieć trudności z przekwalifikowaniem i dostosowaniem się.

Szerszy efekt jest taki, że w świecie, w którym maszyny wykonują coraz więcej zadań w gospodarce, większa część wartości dodanej trafia do właścicieli kapitału, a mniejsza do pracowników. Oczywiście w nowoczesnej gospodarce rynkowej ludzie mogą być jednocześnie pracownikami i kapitalistami (inwestując swoje oszczędności w akcje i obligacje firm, czy to prywatnych, czy publicznych, poprzez rynek kapitałowy). Świadomość tych możliwości jest jednak ograniczona, a co za tym idzie, wiele gospodarstw domowych nie korzysta z tych możliwości, szczególnie że wiele gospodarstw domowych po prostu nie ma wolnego kapitału. Między innymi dlatego zwiększone stopy wzrostu z kapitału, jakie nieśie za sobą najnowsza technologia, w proporcjonalnie większy sposób nagradzają zamożnych, którzy już mają duże zasoby. Badania pokazują, że większość eksplozji skrajnych nierówności w ostatnich 40 latach – bogacenia się tych „superbogatych” w topowym 1 proc. rozkładu dochodów czy

majątku – jest spowodowana właśnie zwiększonymi zyskami właścicieli kapitału.

Wspomniany już Daron Acemoglu wraz z Simonem Johnsonem napisali wydaną w tym roku książkę pod tytułem „Power and Progress: Our Thousand-Year Struggle Over Technology and Prosperity” („Władza i postęp: tysiąc lat zmagania z technologią i dobrobytem”). Na podstawie tysiąca lat historii postępu technologicznego udowadniają, że wdrażanie innowacji zawsze ma podobny przebieg. Innowatorzy i właściciele kapitału przekonują, że ich nowe pomysły są niezbędne i dobre dla wszystkich. A następnie budują na nich swoją pozycję, zarabiają ogromne pieniądze i zapominają o tych na dole drabiny pracowniczej. Tak było w przypadku rewolucji w rolnictwie czy rewolucji przemysłowej, gdy właściciele kapitału mieli obsesję na punkcie powiększania swoich dochodów i cięcia kosztów.

■
Według raportu banku Goldman Sachs 60 proc. ludzkości pracuje dziś w zawodach, które nie istniały w 1940 roku.

A 300 mln etatów zniknie przez rozwój AI

Na końcu książki Acemoglu i Johnson mówią nam: tak też może być i dziś ze zmianami w gospodarce cyfrowej i przy rozwoju nowych narzędzi, jak sztuczna inteligencja, jeśli nie wyciągniemy wniosków z przeszłości i nie podejmiemy odpowiednich kroków. Co według nich należy zrobić? Po pierwsze, obalić dominującą w mediach opowieść, że technologia zawsze oznacza progres. Po drugie, swoje zadanie musi wykonać społeczeństwo obywatelskie, w tym związki zawodowe, by chronić tych najbardziej narażonych na utratę dochodów i cofnięcie się w rozwoju. Po trzecie wreszcie, potrzebujemy polityków i legislatorów, którzy dopilnują, by nowe regulacje pozwoliły równomiernie rozłożyć dochód z nowych technologii, zamiast nabić kieszenie technologicznych gigantów, takich jak Meta czy Google.

ŁOWCY UWAGI

Rozwój technologiczny nie bierze się znikąd – za każdym wynalazkiem czy ulepszeniem stoją wysiłek, talent i praca. Ważnym faktem udokumentowanym z ostatnich lat jest to, że w gospodarkach rozwiniętych stabilne tempo wzrostu osiągamy coraz większym nakła-

Jutronauci 2023

- Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.
- Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

dem sił. Dobrym przykładem jest słynne prawo Moore’a i to, co za nim stoi.

Chodzi o regułę ukutą przez jednego z założycieli firmy Intel w latach 60., George’a Moore’a. Moore zaobserwował, że liczba tranzystorów w układzie scalonym podwaja się mniej więcej dwukrotnie co 18 miesięcy. Dziś czas ten jest bliższy 24 miesiącom, ale kluczowe jest co innego. Tak szybki postęp nie dokonuje się dzięki magicznym właściwościom prawa Moore’a, ale dzięki coraz większemu nakładowi pracy inżynierów zaangażowanych w te procesy. Według badań liczba osób potrzebna dziś, by utrzymać takie tempo rozwoju, jest 18 razy większa niż w latach 70. Otrzymujemy coraz silniejsze urządzenia elektroniczne, ale kosztem ogromnego nakładu pracy.

Prawo Moore’a wciąż więc działa, ale tylko dlatego, że co roku sektor przyciąga coraz to większe rzesze umysłów – badaczy i inżynierów. Ich produktywność spada dziś średnio o 7 proc. rocznie. W innych sektorach badań i rozwoju te spadki „produktywności naukowców” są jeszcze większe. Dzieje się tak dlatego, że nowe rozwiązania coraz trudniej dziś znaleźć: wszystkie te łatwe i oczywiste zostały już odkryte. Coraz trudniej jest nam pchać do przodu granicę naszej wiedzy.

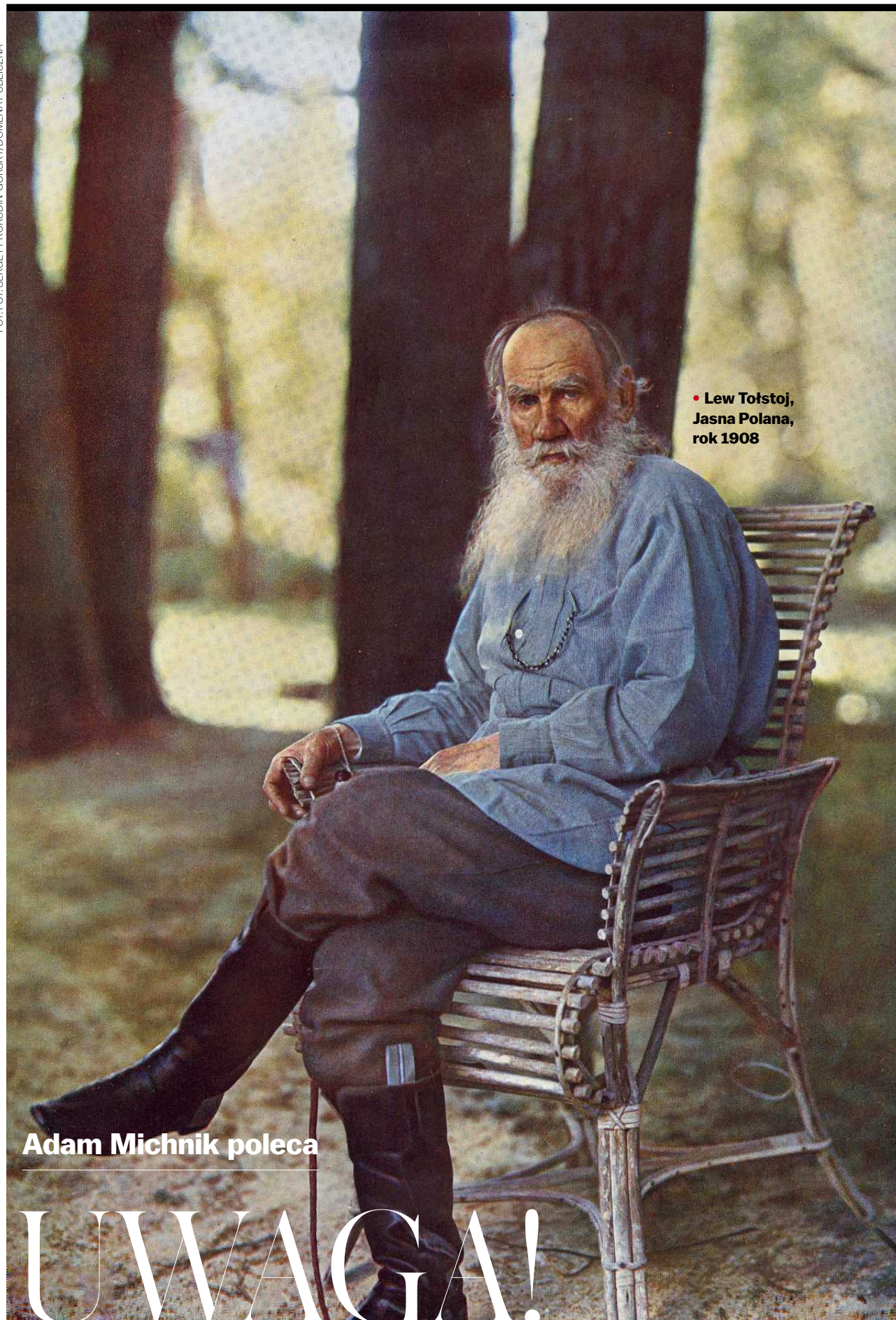
Te wnioski pokazują, jak kluczowe dla generowania nowych technologii są ludzkie umysły. Tymczasem technologicie ostatnich kilkunastu lat w coraz większym stopniu służą do walki o naszą uwagę. Chodzi o technologie rozrywkowe, takie jak media społecznościowe czy aplikacje na smartfony. To szybko rozwijająca się w ostatnich latach działka technologii z bardzo specyficznym podejściem do monetyzacji. W przeciwieństwie do innowacji na przykład w dziedzinie produkcji autor technologii nie zarabia na nich bezpośrednio. Wiele z tych produktów – jak właśnie aplikacje na smartfony – jest dostępnych za darmo. Wynalazcom tych technologii zależy przede wszystkim na złapaniu naszej uwagi, dzięki czemu mogą pokazać nam większą liczbę reklam. W XXI wieku coraz większą część naszego dnia pochłaniają właśnie takie darmowe aplikacje. Doprowadziło to do dużych zmian w sposobie spędzania czasu. Badania pokazują, że może mieć to znaczący negatywny wpływ na innowacyjność w tradycyjnych (czyli nie rozrywkowych) obszarach gospodarki i niższe tempo rozwoju ogólnie.

15- GODZINNY TYDZIEŃ PRACY

Coraz bardziej efektywne łączenie ze sobą zasobów w procesie produkcyjnym jest też niezbędnym warunkiem dla rozwoju zgodnego z poszanowaniem limitów naszej planety. To właśnie między innymi dzięki technologii obserwujemy od lat 90. oderwanie się wzrostu PKB od wzrostu emisji dwutlenku węgla. Kraje zachodnie wytwarzają dziś około 50 proc. więcej PKB na mieszkańca niż w roku 1990, wydzielając przy tym 30 proc. mniej gazów cieplarnianych (uwzględniając już odpowiednią korektę handlu międzynarodowego: Europa i USA importują brudne towary z krajów rozwijających się). Nie oznacza to oczywiście, że w skali świata walka ze zmianami klimatycznymi idzie dobrze – progresu wciąż jest za mało. Ale to właśnie technologia stwarza nadzieję na to, że uda nam się rozwiązać ten problem.

W 1930 roku John Maynard Keynes pół żartem, pół serio przewidywał, że w 2030 roku dzięki postępowi technologii będziemy pracować po 15 godzin w tygodniu. Pewnie nie. Ale jednocześnie przeciętnej osobie żyje się dziś znacząco lepiej niż w 1930 roku. Nie ma więc utopii, jest za to stopniowy wzrost. Podobnie może być z najnowszymi technologiami. Zamiast się ich bać, musimy starać się zrozumieć ich mechanizmy i wykorzystać je do dalszej poprawy warunków, w jakich wszyscy żyjemy. ●

FOT. FOT. SERGEY PROKUDIN-GORSKY/DO MENA PUBLICZNA



• Lew Tołstoj,
Jasna Polana,
rok 1908

Adam Michnik poleca

UWAGA!

Marek Radziwon

Oztery eseje Lwa Tołstoja, które znalazły się w wydanym właśnie przez Agorę tomie „Kłamstwo patriotyzmu”, powstały pod koniec jego życia między 1894 a 1904 r. Urodzony w 1828 r. Tołstoj cieszył się wówczas niekwestionowaną sławą największego pisarza rosyjskiego. Jego dwa najważniejsze dzieła, „Wojna i pokój” i „Anna Karenina”, wyszły w świat 30 i 20 lat wcześniej.

Ostatnie kilkanaście lat życia Tołstoj poświęcił głównie własnie esejom i publicystyce. W 1893 r. powstał słynny esej „Królestwo Boże w Tobie”, w 1900 artykuł „Nie zabijaj”, w 1908 – „Nie mogę milczeć”, i na kilka miesięcy przed śmiercią w 1910 r. „Przesąd państwa”.

Rozważania Tołstoja nad istotą patriotyzmu były częścią ambitnej próby całościowego nowego zdefiniowania własnego stosunku do nurtujących go od dawna pojęć i zjawisk świata etyki i religii: do bliźniego, do państwa, do Cerkwi, do idei patriotyzmu właśnie.

Bezkompromisowe stanowisko Tołstoja wyartykułowane w tych czterech esejach wyda się jeszcze bardziej radykalne, jeśli spojrzymy na ówczesną rosyjską myśl społeczną, zdominowaną w połowie XIX wieku przez propozycje słowianofilskie. Też o rosyjskiej wyjątkowości i odrębności kulturalnej i cywilizacyjnej.

W połowie XIX wieku Tołstoj ulegał jeszcze patriotycznym i militarnym uniesieniom. Młody szlachcic od roku 1851 służył najpierw na Kaukazie, później w Rumunii i wreszcie, poruszony ładowaniem oddziałów tureckich, francuskich i brytyjskich na Krymie, już jako oficer wystarał się o przeniesienie do Sewastopola.

Ulegał magnetycznemu urokowi wojny, od początku było to jednak przyciąganie trwożliwe i mroczne. W jednym z listów pisał: „Prawdę powiedziawszy to dziwna przyjemność patrzeć, jak ludzie zabijają się nawzajem, a jednak rano i wieczorem godzinami patrzyłem na to z mojego powozu. (...) To był naprawdę widok niezwykły, zwłaszcza nocą”.

Ale we wczesnych „Opowiadaniach sewastopolskich” wojna jawi się Tołstojowi jako bezsensowna i przypadkowa. Niektórymi bohaterami powodują uczucia patriotyczne, ale śmierć, jaka ich czeka, nie jest podniosła. Umiera się z zimna, wilgoci i chorób, nie tylko od kul – te zresztą latają chaotycznie i jest kwestią całkowitego przypadku, a nie czyichkolwiek zasług, kiedy i w kogo trafią.

Tołstoj nie był wówczas jeszcze świadomym i zdeklarowanym pacyfistą i jego myślenie nie od razu sytuowało się na antypodach przekonań słowianofilskich, wedle których świat podążał dwiema rozbieżnymi drogami – Rosja w kierunku prawidłowym, Zachód zaś w stronę wyboistą i ślepa. Musiały minąć lata, żeby ostatecznie odrzucił kategorie narodowe czy etniczne i zaczął szukać pierwiastka wspólnego: po prostu człowieczeństwa.

Patriotyzm

„Można być dobrym Polakiem, nie wstydząc się patriotyzmu, także w Brukseli czy Sydney”.
Pewnie tak, ale po co?

Impulsem do rozpoczęcia prac nad esejem „Chrześcijaństwo i patriotyzm” były tulońskie uroczystości z października 1893 r. Floty Francji i Rosji świętowały tam podpisanie rok wcześniej sojuszu Republiki Francuskiej i Imperium Rosyjskiego – nie dlatego, że obydwa państwa łączyło jakieś szczególne porozumienie, ale dlatego, że ich przywódcy mieli wspólnego wroga: Cesarstwo Niemiec sprzymierzone z Królestwem Italii i Austro-Węgrami.

W pierwszych wersjach tekstu Tolstoj streszczał pełne zachwytów depesze prasy francuskiej na temat obchodów i zesta- wiał je z artykułem psychiatry kijowskie- go Iwana Sikorskiego, gdzie opisana zosta- ła zbiorowa psychoza mieszkańców jednej z podkijowskich miejscowości. Żyjący tam ludzie uwierzyli w przepowiednie miejsco- wego szarlatana o rychłym końcu świata. To masowe szaleństwo wydało się Tolstoj- wi podobne do irracjonalnego patriotycz- nego szalu, jaki zawładnął w Tulonie mary- narzami rosyjskimi i francuskimi oraz licz- nie zgromadzoną publicznością.

Tolstoj obserwował tę histerię patrio- tyczną, przyglądał się pretensjonalnym i bezmyślnym uniesieniom, które manife- stowała nie tylko klasa rządząca, ale także tzw. zwykli ludzie.

Oczywiście rozumiał, że opublikowanie w Rosji tekstu tak ostro uderzającego w pa- triotyczne uniesienia rodaków jest nie- możliwe. Jako pierwsza ukazała się wersja francuska, w maju 1894 r., a rosyjski oryginał rok później w Genewie. Władze carskie zakazały publikacji artykułu w Rosji, sta- rały się też rekwirować każdy egzemplarz, który do Rosji trafiał z zagranicy.

Po raz pierwszy „Chrześcijaństwo i patriotyzm” ogłoszono w Rosji dopiero w 1906 r. Publikacja skończyła się proce- sem sądowym przeciwko wydawcy.

Esej Tolstoja wywołał spory oddźwięk. Tolstoj przyznawał: „przeciwko memu ar- tykułowi (...) oponowało bardzo wiele osób. Czynili to zarówno filozofowie, jak i publicyści rosyjscy, francuscy, niemieccy i austriaccy”.

Jeden z jego wnikliwych czytelników, Marian Zdziechowski, napisał do Tolsto- ja list, między krakowskim profesorem a pisarzem z Jasnej Polany wywiązała się dłuższa dyskusja: „z punktu widzenia mi- łości bliźniego jako zasady obowiązującej wszystkich chrześcijan – wszelki patrio- tyzm traci sens” – zgadzał się Zdziechow- ski, ale zaraz dodawał swoje uwagi i ko- rekty:

„Potępił Pan patriotyzm bezwzględnie, nie rozważywszy uprzednio tego, co mógł- by on w pewnych okolicznościach powie- dzieć na swe usprawiedliwienie. Pańskie rozumowanie da się zastosować do patrio- tyzmu rosyjskiego (...) i w ogóle do patrio- tyzmu narodów niepodległych, silnych, dą- żących do zaborów i podbojów. (...) Nie zwrócił Pan uwagi na to, że (...) istnieje jeszcze zupełnie mu przeciwny patrio- tyzm narodów ujarzmionych, dążących je- dynie do obrony przed wrogami wiary oj- czystej i ojczystego języka”.

Tolstoj na list nieznanego profesora uni- wersytetu w Krakowie dał długą i poważną odpowiedź. Odrzucał argumentację Zdzie- chowskiego:

„Czym się różni patriotyzm właściwy od niewłaściwego nikt, jak dotychczas, nie pofatygował się zadać sobie trudu, aby to wszystko odpowiednio wyjaśnić (...). Prze- śladowanie narodów lub wyniesienie naro- dów nie czyni różnicy w samej istocie tego, co się zwie patriotyzmem. (...)

W pojęcie patriotyzmu wkłada się za- zwyczaj miłość dającą pierwszeństwo wła- snemu narodowi przed innymi naroda- mi (...). Trudno jednak sobie wyobrazić, dlaczego takie szczególne upodobanie (...) można traktować jako coś dobrego, a więc pożądanego. Jeśli Pan powie, że patrio- tyzm da się łatwiej usprawiedliwić w ucie- mniżonych niż w ciemniznicu (...), to trze- ba się z Panem zgodzić, ale nie stać patrio- tyzmu na zmianę swej istoty i natury w za-

leżności od tego, czy będzie występować u prześladowanego, czy u gnębiiciela”.

Po raz kolejny Tolstoj zabrał głos w tej samej sprawie dwa lata później. Szkic „Patriotyzm albo pokój?” z roku 1895 był odpowiedzią na list dziennikarza bry- tyjskiego Johna Masona, zainteresowanego poglądem Tolstoja na kryzys amerykań- sko-brytyjski wywołany sporem o wpływ w Wenezueli. Tolstoj wykorzystał ten lokalny konflikt do wyłożenia całościowego poglądu na paradoks patriotyzmu. Pisał: „Jeśli Amerykanin pragnie wielkości i dobrobytu Ameryki bardziej niż innych narodów i tego samego pragnie dla Anglii Anglik, Rosjanin dla Rosji, a także Tu- rek, Holender, Abisyńczyk oraz mieszka- niec Wenezueli, Transwału, Ormianin, Po- lak i Czech, i wszyscy oni są przekonani, że uczucia tego nie tylko nie należy się wsty- dzić i zwalczać go w sobie, ale że należy być z niego dumnym (...) oraz że wielko-

wać jak do niezależnego, ponadpaństwo- wego sądu. Konwencje zakazywały używa- nia niektórych rodzajów broni, opisywa- ły zachowania zwycięskich wojsk na tere- nach okupowanych, nakazywały ochro- nę obiektów cywilnych. Z pewnością był to krok w stronę pokoju, chociaż najbliższe lata pokazały, że niewystarczający.

Mysł o ostatnim z esejów zawartych w tomie „Kłamstwo patriotyzmu”, „Przebudźcie się”, zrodziła się w przeddzień wybuchu wojny rosyjsko- japońskiej, na przełomie stycznia i lutego 1904 r. To wtedy o konflikcie z Japonią Władysław Plehwe, ówczesny szef MSW, miał powiedzieć, że „potrzebujemy małej, zwycięskiej wojenki”. Mała zwycięska wojenka okazała się, jak wiadomo, jedną z przyczyn upadku wielkiego państwa zaledwie dekadę później.

Tolstoj zanotował w dzienniku na ty- dzień przed inwazją: „mam ochotę napisać,

Tolstoj: – Amerykanin pragnie wielkości i dobrobytu Ameryki bardziej niż innych narodów i tego samego pragnie dla Anglii Anglik, a także Turek, Holender, Polak i Czech. Jeśli tak, wojna jest nieunikniona

ści i pomyślności jednego kraju lub narodu nie można osiągnąć inaczej niż tylko kosz- tem innego lub niekiedy wielu innych kra- jów i narodów, to jasne, że wojna jest nie- unikniona.

Dlatego, żeby nie było wojen, trzeba skończyć z wygłaszaniem kazań i zanosze- niem modłów do Boga o pokój (...), z ko- alicjami skierowanymi przeciwko komuś trzeciemu (...), trzeba po prostu unicestwić to, co doprowadza do wojen. Do wojny do- prowadzi zaś pragnienie pomyślności wy- łącznie własnego narodu, a więc to, co zwy- kliśmy nazywać patriotyzmem. Dlatego że- by położyć kres wojnom, trzeba najpierw położyć kres uczuciu patriotyzmu”.

Bezpośrednim powodem do napisania artykułu „Patriotyzm i rząd” był list niemieckiego inwalidy wojennego Johanna Kleinpoppa. Pisał on do Tolsto- ja o okropnościach wojny, o austriackich jeńcach wojennych 1866 r., którzy trafili do niewoli tuż po bitwie, o ludziach dobrych i spokojnych, którzy ledwie kilka godzin wcześniej bez przyczyny mordowali się w zapamiętaniu. Nie rozumiał powszech- nych uniesień wojenno-patriotycznych, uważał, że „to biedne stado ludzi-barańców próbowało się samooszukiwać grymasa- mi religijno-patriotycznymi”. Tolstoj był poruszony listem.

Na stanowisko Tolstoja wpływ mia- ły niedawne wydarzenia polityczne. W po- łowie maja 1899 r. w Hadze zwołano na wniosek Rosji konferencję, której celem by- ło wprowadzenie trwałych regulacji w sy- tuacji dużych konfliktów międzynarodo- wych. Próba opanowania chaosu między- narodowego, w którym wszyscy wojują ze wszystkimi, i zaprojektowanie zasad, na które zgodziłyby się największe mocarstwa światowe, musiała mu się podobać.

Przyjęte na przełomie lipca i sierpnia konwencje haskie regulowały zasady hu- manitarnego prowadzenia wojen lądowych i przede wszystkim zakładały m.in. powo- łanie Stałego Trybunału Rozjemczego, do którego państwa znajdujące się u progu konfliktu zbrojnego mogłyby się odwoły-

wać, że kiedy dzieje się taka straszna rzecz jak wojna, wszyscy wypowiadają setki opinii na temat różnych znaczeń i skutków woj- ny, ale nikt nie zastanawia się nad sobą: co on, co ja mam zrobić wobec wojny”.

Tekst powstał szybko i ukazał się w Wielkiej Brytanii już w kwietniu 1904 r.

Wszystko to dzieje dawne, ale okazują się dzisiaj niepokojąco żywe i znajome. Jeśli więc się- gamy dzisiaj po eseje Tolstoja napisane przed 120 przeszło laty, to w przekonaniu, że spostrzeżenia w nich zawarte są celne, a diagnozy wciąż aktualne i pomagają nam zrozumieć propagandowy patriotyczny żargon, którym jesteśmy dzisiaj karmieni.

Wciąż posługujemy się takimi samy- mi płaskimi sloganami o powinnościach patriotycznych, jesteśmy skłonni wie- rzyc w zabobony o patriotyzmie dobrym i złym, powtarzamy refreny o społeczeń- stwach (czy raczej narodach!) bohater- skich lub tchórzliwych z natury, dekla- rujemy szczególne umiłowanie ojczyzny jako ziemi wyjątkowej, najpiękniejszej w świecie.

W polskiej tradycji intelektualnej jeden z najważniejszych głosów w sprawie patrio- tyzmu należy do Jana Józefa Lipskie- go i jego esaju „Dwie ojczyzny, dwa patrio- tyzmy”. Lipski pisał: „Ojczyzna istnieje tyl- ko wtedy, gdy istnieje też obcyzna; nie ma »swoich«, gdy nie ma »obcych«. Od stosun- ku do »obcych« bardziej niż od stosunku do »swoich« zależy kształt patriotyzmu”.

Lipski analizował mitologię polską, opi- sywał stosunek Polaków do narodów są- siednich, przestrzegał przed megalomanią i przypominał, że w polskiej przeszłości, jak u wszystkich, także są ciemne karty, ale w końcu jednak wyznaczał nieprzekraczal- ną granicę między patriotyzmem otwar- tym i krytycznym (dobry) a nacjonalizmem i szowinizmem (oczywiście zły):

„Sądzę, że szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego co obce, egoizm narodo- wy – nie dadzą się pogodzić z nakazem chrześcijańskim miłości bliźniego. Patrio-

tyzm natomiast – daje się pogodzić. Tak jak szczególna miłość w rodzinie nie musi i nie powinna być przeszkodą dla miłości bliź- niego – tak i szczególna miłość dla człon- ków tej samej wspólnoty narodowej winna być podporządkowana tej samej nadrzęd- nej normie moralnej”.

Tolstoj miałby tu mocną odpowiedź. Przypomnijmy ją: co, jeśli nie nienawiść, czeka nas na końcu, skoro „Amerykanin pragnie wielkości i dobrobytu Ameryki bardziej niż innych narodów i tego samego pragnie dla Anglii Anglik, Rosjanin dla Ro- sji, a także (...) Polak i Czech”.

W marcu 2018 r. Siergiej Kowalow, jeden z najważniejszych dysydentów radzieckich, po upadku ZSRR pierwszy rosyjski rzecznik praw obywatelskich, odbierając dokto- rat honoris causa UW, mówił:

„Patriotyzm jest (...) plagą społeczną, rodzi wrogość, w imię patriotyzmu ca- ły czas w świecie przelewa się krew. (...) Daje się go sprowadzić do jednej pro-

stej zasady: trzymaj się »swoich«. Oba- wiaj się »obcych«, a jeśli nadarzy się okazja – pożryj ich”.

Słowa te, tolstojowskie z ducha, wypowie- dziane publicznie przed senatem i profesurą uczelni niektórych wzburzyły, innych za- chwyciły, zaskoczyły jednych i drugich.

Kowalow mówił także o pułapce, jaką jest w jego pojęciu traktowanie patrioty- zmu jako uczucia w zasadzie nieszkodliwe- go i danego nam z natury.

Jesteśmy gotowi przyznawać się do pa- triotyzmu wybiórczo, jeśli ogranicza się on do wychwalania rodzimych krajobra- zów i polega na życzeniu szczególnej po- myślności własnemu plemieniu, regiono- wi, państwu. Gdy jednak hasła pomyślno- ści narodu i bezpieczeństwa państwa sta- ją się uzasadnieniem dla agresji i zbrodni, wtedy twierdzimy, że złowrogie te sloga- ny nie mają nic wspólnego z tzw. prawdzi- wym patriotyzmem.

Podobne spostrzeżenie znajdujemy u Tolstoja: „Zwykło się sądzić, że uczucie pa- triotyzmu jest po pierwsze bliskie wszyst- kim ludziom, po drugie jest tak szlachetne i etycznie czyste, że u osób, które go nie od- czuwają, powinno zostać rozbudzone. Jed- no i drugie jest oczywiście nieprawdą”.

Patriotyzm, dawno spostrzegł to Tolstoj, dzisiaj w licznych wypo- wiedziach polityków populistów słyszymy to także i my, jest uczuciem ple- miennym, nie lubi pojęcia społeczeństwa i zastępuje je kategorią narodu. W Polsce dzisiejszej karykaturalną tego konsekwen- cją jest urodzaj rozmaitych instytucji narodowych, tworzonych z myślą o naro- dzie i dla narodu, tylko naszych, tylko o nas i dla nas.

Przyzwyczailiśmy się do Teatru Naro- dowego, Biblioteki Narodowej, Muzeum Na- rodowego, Narodowego Banku Polskiego, parków narodowych oraz Stadionu Naro- dowego, a także do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które w pewnej chwili przestało być Ministerstwem Kultu- ry i Sztuki (czyżby sztuki nie dość narodo- wej?).

Dzisiaj w Polsce mamy jednak także m.in.: Instytut Pamięci Narodowej, Narodowy Instytut Dziedzictwa, Narodowy Instytut Wolności, Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, Narodowy Instytut Audio-wizualny, Polską Fundację Narodową, Narodowe Centrum Nauki, Narodowe Centrum Kultury, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, Narodową Radę Rozwoju, Narodowe Centrum Badań Jądrowych, Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cyberprze-strzeni, Narodowe Centrum Certyfikacji, Narodowy Instytut Leków, Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego, Narodowy Instytut Onkologii, Narodowy Instytut Kardiologii, a nawet Narodowe Centrum Krwi, Narodowe Centrum Żeglarstwa i Narodowe Centrum Polskiej Piosenki.

Dobrze jest sięgnąć po eseje Lwa Tolstoja szczególnie teraz, kiedy pojęciami narodu i patriotyzmu znacznie częściej niż wcześniej na wszelkie sposoby obracają populiści – ministrowie i posłowie z białoczerwonymi znaczkami w klapach czy delegacje oficjalne składające pod pomnikami wieńce z białych i czerwonych róż przyozdobione białoczerwonymi szarfami. Wszystko to w imię miłości ojczyzny, czyli w imię patriotyzmu.

Jeden z ministrów powiedział, że „tak jak polska nauka jest dla Polski, bo jest finansowana przez Polaków, tak polskie uczelnie są dla polskich studentów” – nie dla obcych przecież! Prezydent ukuł slogan „warto być Polakiem”, chociaż nie wyjaśnił, co z tą wiadomością mają począć Portugalczycy czy obywatele Małty. Premier z kolei odwoływał się do „patriotyzmu gospodarczego” i akurat to pojęcie brzmi znajomo – sprowadza się po prostu do znanego z 20-lecia międzywojennego postulatu kupowania tylko w polskich sklepach.

Tolstojowska krytyka pojęcia patriotyzmu szła zwykle w parze z krytyką Kościoła prawosławnego, ponieważ wąsko, ludowo pojmowana wiara zawsze idzie w parze z patriotycznymi uniesieniami. W dzisiejszej Polsce Kościół katolicki też wprzęgą wartości uniwersalne w obronę wartości lokalnych i każe stwórcielowi wszechświata oraz Matce Bożej zajmować się przede wszystkim naszym polskim skrawkiem:

„Bądź z nami w trudach, naucz słuchać Boga,/ Kieruj Ojczyzną, gdy niełatwa droga;/ Tchnij w lud odwagę, Zwycięstwa Zwiastunko,/ Czuwaj nad Polską, Święta Opiekunko”.

Ze wszystkich tych występów kościelnych i cywilnych wynikałyby przykry wniosek – patriotyzm żywi się przekonaniem o własnej wyjątkowości i swoje stawia w centrum. Często też potrzebuje cementującego wspólnotę przeciwnika.

Im jednak – premierom, prezydentom, arcybiskupom – lektura Tolstoja raczej nie pomoże. Jest za to liczne grono osób otwartych, często ważnych uczestników życia publicznego, którzy próbują szukać jakiejś lepszej, jaśniejszej formy patriotyzmu. Nie godzą się na zrównanie go z wulgarnym nacjonalizmem i wciąż ulegają

złudzeniu, że prawdziwy patriotyzm jest źródłem tylko szlachetnych postępów. Jeden z byłych prezydentów zaproponował np. pojęcie „nowoczesnego patriotyzmu”, w którym „mają źródło radosne obchody narodowych rocznic”. W czym dokładnie poza radosnymi obchodami rocznic miała by się wyrażać owa nowoczesność patriotyzmu, pozostaje zagadką.

Jeden z byłych premierów ogłosił, że „jesteśmy w pierwszym rządzie Polakami”, a więc kwantyfikator przynależności narodowej miałby być ważniejszy od innych pojęć i wartości, które określają naszą tożsamość. Jesteśmy też przecież (ale nie „w pierwszym rządzie”) miłośnikami włoskiej kinematografii, lekarkami, rowerzystami, matkami, honorowymi dawcami krwi, czytelnikami, amatorami kuchni tajskiej – i rozmaite te wyróżniki nie muszą być dla niektórych z nas mniej ważne niż dany nam z góry pierwiastek etniczny.

Ten sam polityk próbował rozbroić patriotyzm, przenosząc zasadniczy ciężar patriotycznego obowiązku ze skali dużej na lokalną. To częsty zabieg: „Wiemy, co to znaczy być polskim patriotą. Wiemy, co znaczy miłość do tej małej, lokalnej ojczyzny” – mówił. Polskość i patriotyzm w takim ujęciu realizowałyby się na poziomie Wysoczyzny Czerwieńskiej albo Garbu Tenczyńskiego – to nawet dobra propozycja, ale i tak nie byłaby receptą wobec nie mniej szczerych patriotów Ligurii czy Langwedocji.

Jakiś czas temu znana publicystka, pisząc o ciemnych kartach polskiej historii, dodała, że „jesteśmy wspaniałym narodem”, które to banalne stwierdzenie miało by wagę, gdyby dla porównania wskazała kilka narodów niewspaniałych.

Często pojawia się także przeciwstawienie patriotyzmu (aprobatywnie) i nacjonalizmu (negatywnie), poparte cytatami z Jana Pawła II: „Charakterystyczne dla nacjonalizmu jest bowiem to, że uznaje tylko dobro własnego narodu i tylko do niego dąży, nie licząc się z prawami innych. Patriotyzm natomiast, jako miłość ojczyzny, przyznaje wszystkim innym narodom takie samo prawo jak własnemu”.

Otóż takie same prawa zawsze będą wsobne, a miłość będzie zorientowana na siebie samego. Dokąd w konsekwencji jako ludzkość dojdziemy, Tolstoj stawia to pytanie, jeśli każda zbiorowość będzie dbała i wychwalała tylko swoje wschody i zachody? Możemy więc się zgodzić, że nacjonalizm jest agresywny, pogardza innymi, ale patriotyzm jest pasywny i wobec innych obojętny – niewielka to pociecha.

Wielu liberalnych, zdawałoby się, publicystów i myślicieli proponowało coraz nowe, ulepszone definicje patriotyzmu. Mówi się o „patriotyzmie budowania wspólnoty, patriotyzmie budowania demokracji”, chociaż o demokrację można dbać i bez odwoływania się do patriotyzmu.

Jedną z najchętniej przywoływanych kategorii był także „patriotyzm małych cnót”. Miałby on polegać na uczciwym wypełnianiu bez tromtadacji codziennych, prostych obowiązków – to życzliwość wobec innych, dbałość o dobro wspólne, np. sprząatanie odchodów po piesku nawet wte-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Mieczysław Jastrun*

Koniec królestwa pomników

Pędzą przez głuche miasto. Spod opon wiatr dziki!

Okna zamknięte, ale dreszcz przebiega szklany

Sale, place, gdzie biusty, posągi, pomniki,

Figury z brązu, z gipsu śnieżnego bałwany.

Czarni gwardziści wyprężając tułowy

Z żelaznych wozów salutują pomniki.

Noc się przeniosła na ich błyszczące guziki,

Na czarne pasy i na gwiazdy orderowe.

Mija wiek. Księżyc ukazuje ściętą głowę.

Drapieżnemu orłowi dziób zaciął się dziki.

Gasną gwiazdy. W proch rozsypują się pomniki –

Lecz za to ludzie odzyskują krew i mowę.



***Mieczysław Jastrun** – 1903-83, poeta, eseista, prozaik, tłumacz. Autor licznych zbiorów wierszy, esejów filozoficzno-kulturowych i literackich oraz przekładów poezji francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej. Wiersz za jego rozruchowym tomem „Gorący popiół”, PIW, Warszawa 1956

dy, kiedy nikt nie widzi. Do opisu takich godnych pochwały zachowań nie potrzebujemy jednak patriotyzmu. Wystarczy przecież odrobina przyzwoitości i dobre go wychowania.

Pisano wreszcie, że w odróżnieniu od epoki rozbiorowej „można być dobrym Polakiem, nie wstydząc się i nie wyrzekając patriotyzmu, także w Brukseli, Nowym Jorku czy Sydney”. Pewnie tak, ale po co? Można też przecież być dobrym człowiekiem i nieszczególnie myśleć o swojej polskości i o patriotyzmie, i w ogóle nie definiować się jako Polak i patriota. Po prostu nim być i nie zaprzętać sobie tym głowy, ponieważ jest to rzecz najzupełniej naturalna – w Brukseli czy Sydney. Oraz w Siemiatyczach. Nie podkreślamy przecież przy każdej okazji, że chodzimy na dwóch nogach – tak po prostu jest i fakt ten nie wydaje się konieczny do ideowej i egzystencjalnej samoidentyfikacji.

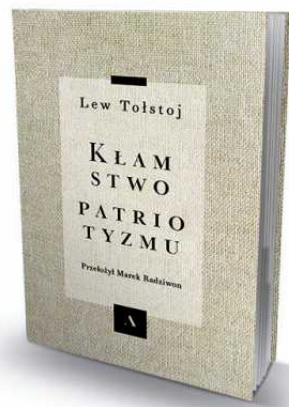
Wszystkie dodatkowe epitety świadczą o niepewności tych, którzy je ukuli, jakby w podświadomym przeczuciu, że patriotyzm sam z siebie jest ryzykowny i niebezpieczny. I o tym, jak głęboko nasze myślenie i język zostały zdominowane przez pojęcia tradycyjne, jak trudno się od nich uwolnić i jak odważne było stanowisko Tolstoja gotowego przed przeszło stuleciem odrzucić pojęcie patriotyzmu w całości.

W styczniu 1894 r. Lew Tolstoj pisał w dzienniku: „Aby wzbudzić patriotyzm, rozpala się najniższe, wulgarne uczucia: próżność, chciwość, rozpustę, nawet podłość”. W grudniu 1908 ta sama myśl pojawiła się ponownie, tym razem jako bon mot z XVIII-wiecznego pisarza i myśliciela Samuela Johnsona: „patriotyzm jest ostatnim schronieniem szubrawców”.

Głoszenie podobnych poglądów wymagało od Lwa Tolstoja więcej niż odwagi – tak-

że zgody na śmieszność, bo tak radykalne stanowisko powodowało, że starca z Jasnej Polany nie zawsze traktowano poważnie.

Tolstojowski maksymalizm uderzał i uderza nie tylko w konserwatystów. Był nie do przyjęcia także dla ludzi o światopoglądzie otwartym i liberalnym. Poglądy Tolstoja mogły być powodem żartów, w najlepszym razie brano je za dziwactwo. Wydaje się jednak, że dzisiaj wciąż jeszcze, mimo katastrof XX wieku, które dokonywały się w imię patriotyzmu, są zbyt odważne, żeby stać się tematem poważnych dyskusji. ●



Skrócona wersja wstępu do wyboru esejów Lwa Tolstoja „Kłamstwo patriotyzmu”, który ukazał się pod koniec października nakładem Wydawnictwa Agora w przekładzie Marka Radziwona. Tytuł i skróty: „Wyborcza”.

Książka już dostępna w dobrych księgarniach, na **Kulturalnysklep.pl** i w formie e-booka na **Publio.pl**.

Cały tekst: **Wyborcza.pl/magazyn**

A NIEMCY JAKOŚ JEŹDŻĄ *Szybko*



Polski kierowca jeździ, jak jeździ,
nie dlatego, że jest zły i przemocowy z natury.
Jeździ tak, jak go nauczono

Tomasz Bodył

FOT. TYMON MARKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jestem kierowcą i od kilku lat zarabiam na chleb, wożąc ludzi po mieście. Dziennie w trudnym ruchu miejskim robię jakieś 200 km. Dlatego mój stosunek do ruchu drogowego jest skrajnie pragmatyczny. Po pierwsze chcę wrócić do domu w jednym kawalku, nieuszkodzonym samochodem. Po drugie bez mandatu i punktów karnych.

Ale jestem też, czy bywam, dziennikarzem. Zajmuję się motoryzacją od kilkunastu lat. Bacznie przyglądam się temu, co dzieje się na polskich drogach oraz co o tym mówi się w mediach.

A mówi się rzecz oczywistą: żeby na naszych drogach życie i zdrowie traciło jak najmniej osób. Walczy się zaś o to, nawołując, by Polacy jeździli wolniej lub zgodnie z przepisami, oraz piętnując fatalne nawyki oraz mental polskiego kierowcy. Tyle że skupiając się na efektownej retoryce i dwóch łatwych hasłach – prędkość, przepisy – dokonujemy grubego uproszczenia. Przegapiamy całe mnóstwo czynników, które realnie podnoszą lub obniżają bezpieczeństwo na drodze. Oraz które sprawiają, że kierowcy są, jacy są.

Dobrym przykładem – jest ich mnóstwo, ale prościej odnosić się do jednego tytułu zbierającego wszystkie narracje niż do tuzinów ulotnych publikacji – jest świeża i głośna książka Bartosza Józefiaka „Wszyscy tak jeżdżą”, która na 400 stronach podsumowuje „polską jazdę”.

Wartko napisany tom jest pelen drastycznych opisów wypadków kierowców podrasowanych beemek, pijanych celebrytów za kółkiem i statystyk. Problem w tym, że więcej w niej anegdot, stereotypów oraz retoryki (wyobrażony, zwarty byt – kierowcy – kontra równie wyobrażeni jako jednolity podmiot piesi i reszta świata) niż wnikliwej analizy podglebia horrendalnych sytuacji, do jakich rzeczywiście dochodzi na polskich drogach.

Żeby nie być gołosłownym co do stereotypów. Tak dawno, że nawet przy tekście nie ma daty, ale na oko prawie 10 lat temu, napisałem do Interii tekst „5 lat walczyli o światła. Aż wreszcie zginął 2,5-letni Kubuś...”. Opisuję wypadek, w którym zginął 2,5-letni chłopczyk, spowodowany przez 70-letniego kierowcę volvo w miejscu, gdzie okoliczni mieszkańcy od wielu lat bezskutecznie walczyli o przejście dla pieszych. Chodziło mi jednak o to, że media kompletnie zignorowały tę tragedię, gdyż zajęte były spektakularnymi wyczynami niejakiego Froga – młodego chłopaka z Warszawy w usportowionej hondzie, który nocami śmigał na czerwonym niczym Vin Diesel w hollywoodzkich „Szybkich i wściekłych”.

News o Kubusiu żył w necie jeden dzień. News o chłopaku z pomarańczowego, tuningowanego bmw, który kilka lat później, pędząc przeszło 100 km/h warszawską ulicą Sokratesa, zignorował zatrzymując się przed przejściem samochód na sąsiednim pasie i zabił ojca małego dziecka, wraca do dziś jako przykład patologicznego polskiego kierowcy, a ulicę gruntownie przebudowano. Bo 70-letni kierowca statecznego szwedzkiego volvo średnio pasuje do stereotypu pirata drogowego.

Co innego młody kierowca bmw przekraczający ograniczenie prędkości czy pijany gwiazdor za kółkiem limuzyny mieszczańskiej, statecznej, lecz kojarzącej się z luksusem marki – ci zawsze mogą liczyć na uwagę mediów, nawet jeśli nikt nie ucierpi. I cóż, że akurat to pierwsza historia bardziej pokazuje, co naprawdę dzieje się na polskich drogach.

Trudno przeczyć temu, że subkultura związana z wyścigami ulicznymi istnieje. Jest głośna, a jej wyczyny są spektakularne, natomiast w stosunku do całego ruchu drogowego w Polsce to margines marginesu. Chłopaki (i – wbrew stereotypowi, że w upodobaniu do motoryzacji chodzi wyłącznie o realizację testosteronowych popędów – dziewczyny, naklejki „Warsaw/Gdańsk/Wrocław itd. Night Racing” dostrzeżemy na autach wielu kobiet) urządzają wyścigi nocą, często na rozległych parkingach marketów, a jeśli na ulicach, to wówczas, kiedy sygnalizacja przechodzi w tryb „pulsujące pomarańczowe”, a ruch ogranicza się do taksówek Ubera. Zaś w biały dzień, w gęstym ruchu, pośród pieszych, gdy ryzyko wypadku jest największe – jeżdżą grzecznie i przewidywalnie (choćby przez świadomość, że są bardziej na oku) niż przeciętny przedstawiciel handlowy, wiecznie w niedo czasie, czy pędząca ze spotkania na spotkanie menedżerka w służbowej skodzie.

Szukam analogii dla tego dominującego w mediach podejścia do ruchu drogowego – i znajduję: to tak jakby iść na koncert Zenona Martyniuka i na podstawie jego twórczości opisywać polską muzykę czy wręcz diagnozować stan całej kultury.

Kultura zapierdalania” – ten slogan przywołany w tytule flagowego rozdziału książki Józefiaka przewija się w niemal każdej dyskusji o polskich drogach, w pigułce zawierając perspektywę publicystów. W skrócie: polski kierowca to mężczyzna, młody lub w średnim wieku, o maczystowskich zapędach, który podrasowanym lub prestiżowym samochodem zapier... dla przyjemności, arogancko egzekwując prawo silniejszego. Receptą na poprawę bezpieczeństwa jest więc wyeliminowanie ich z ruchu, powsadzanie do więzienia albo przynajmniej odebranie prawa jazdy. A najlepiej byloby przesadzić całe towarzystwo do autobusów lub na rowery.

Tę konkluzję wzmacnia zatrważająca liczba. „W 2022 roku w Polsce zarejestrowanych było dwadzieścia sześć i pół miliona aut osobowych. Ta liczba tylko rośnie. Rok wcześniej po naszych drogach jeździło prawie milion samochodów mniej”. Cóż, że z danych renomowanego Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar wynika, że jeździ około 19 mln aut, a prawie 7 mln to „martwe dusze” – pojazdy widniejące w rejestrze, ale dawno zełomowane, porzucone graty gnijące na parkingach, „przydasie” zalegające gdzieś z tyłu obejścia.

I ten sam problem – ze statystyką i danymi – mają autorzy zajmujący się ruchem drogowym w kwestii przyczyn wypadków. Przywołajmy „Wszyscy tak jeżdżą”: w jednym miejscu czytamy, że „w statystykach widać, że to prędkość jest główną przyczyną wypadków”, kawalek dalej – że „najczęstsze przyczyny wypadków nad Wisłą to: nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu, niedostosowanie prędkości do warunków ruchu, nieustąpienie pierwszeństwa pieszemu na przejściu”.

Również w dokumencie „Wypadki drogowe w Polsce w 2022 r.” Komendy Głównej Policji czytamy, że „głównymi przyczynami wypadków było: nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu – 4526 wypadków, niedostosowanie prędkości do warunków ruchu – 4468 wypadków, nieustąpienie pierwszeństwa pieszemu na przejściu dla pieszych – 2251 wypadków”.

Publicyści rozpisujący się o kierowcach rzadko wspominają o systemie szkolenia i egzaminowania niezbędnego do otrzymania prawa jazdy. A to kwestia absolutnie niezbędna, jeśli chcemy zrozumieć, co dzieje się na polskich drogach. Zapier..., wymuszający pierwszeństwo kierowcy nie spadli przecież z nieba, lecz przeszli obowiązkowe szkolenie, a następnie zdali egzamin państwowy.

Rzecz w tym, że nikt w tym całym procesie nie jest zainteresowany uczeniem kierowców bezpiecznej jazdy. Kursanci idą do ośrodka szkolenia po to, żeby zdobyć upragniony papier, możliwie jak najmniejszym nakładem wysiłku i kosztów. Szkoły jazdy i WORD-y doskonale zdają sobie sprawę i z tych oczekiwań, i z tego, że są weryfikowane na podstawie zdawalności, ale też, w przypadku ośrodków egzaminacyjnych, nieformalnie rozliczane z tego, ile pieniędzy przyniosą.

W związku z tym szkoły koncentrują się jedynie na tym, żeby nauczyć, jak zdać egzamin, wyciskając z kursanta maksymalnie dużo. Stąd kursanci długie godziny spędzają na placach manewrowych, uczą się parkowania oraz gdzie jest wlew płynu do spryskiwaczy – a po egzaminie oblanym za najeżdżanie kołem na linię wracają na kurs doszkalający, żeby uczuć się tego samego. Nie uczą się natomiast wcale, a jeśli już, to w minimalnym zakresie, jazdy po autostradach lub drogach ekspresowych. Nikt nie zabiera ich na płytę poślizgową, nawet nie po to, żeby wyrobili sobie odpowiednie odruchy, ale żeby wpoić im świadomość, jak łatwo stracić kontrolę nad maszyną. A konsekwencje przekraczania prędkości odbębnia się rytualną pogadanką na etapie teorii.

Tak się składa, że we wrześniu ukazał się raport NIK, który sama Izba anonсуje znanym tytułem: „System szkolenia kandydatów na kierowców – jest gorzej niż źle”. „Konieczne są pilne zmiany w całym systemie szkolenia, tym bardziej w obliczu rosnących społecznych i ekonomicznych kosztów jednostkowych wypadków i kolizji drogowych, które sięgają rocznie ponad 39 mld zł” – czytamy na stronie NIK.

A jednak ta kwestia podstawowa, gdy mowa o umiejętnościach i psychologii kierowców, w żaden sposób nie przenika do opinii publicznej, nie toczy się żadna debata w tej sprawie.

S koro przy prędkości jesteśmy. Nie istnieje coś takiego jak jazda szybka, ale bezpieczna – powtarzają publicyści po każdym tragicznym wypadku.

Owszem, pod względem bezpieczeństwa jesteśmy na szarym końcu Europy. Na pewno jesteśmy też daleko za dużo bardziej cywilizowanym motoryzacyjnie krajem, jakim są Niemcy – tyle że, ciekawostka, tam nie ma górnego ograniczenia prędkości. Z jakiegoś powodu Niemcy, gdzie drogi są dużo bezpieczniejsze, a kursy jazdy traktowane serio – jak nauka obsługi dużej, ciężkiej, skomplikowanej, osiągającej duże prędkości maszyny podlegającej w ruchu dziesiątkom nieprzewidywalnych czynników i fizycznych zjawisk, a nie biurokratyczna formalność – prędkości się nie boją. A jeśli od czasu do czasu pojawiają się głosy, żeby takie ograniczenie wprowadzić, to z powodu ekologii, gdyż każdy kilometr na godzinę powyżej 120 km/h drastycznie podnosi spalanie.

Problem leży więc nie tylko w prędkości, ale też w tym, że wciąż mimo tysięcy kilometrów nowych autostrad nie mamy „zachodniej” na poziomie projektowania infrastruktury (jeśli Niemcy mogą sobie pozwolić na brak limitu prędkości, to również dlatego, że np. luki i zakręty są wyprofilowane

do wewnątrz, tak by siły dociskały auto do nawierzchni, a nie przez fuszerkę wykonawcy na zewnątrz, co sprawia, że siła odśrodkowa wypycha auto poza jezdnię w sposób wyczuwalny już przy prędkościach znacząco mniejszych niż maksymalne polskie 140 km/h) ani nie szkolimy kierowców. To trochę tak, jak gdyby chcąc ograniczyć odsetek utonięć, prowadzilibyśmy debatę o groźdzeniu wszystkich zbiorników wodnych, pomijając budowę basenów i naukę pływania.

Kierowca złamał przepisy” – to fraza, która równie często wraca w medialnych doniesieniach. Problem w tym, że przepisy i bezpieczeństwo nie idą w Polsce w parze. Weźmy choćby oznakowanie dróg.

Koszula zawsze najbliższa ciału, więc pokażę to na własnym przykładzie. We „Wszyscy tak jeżdżą” czytamy, że „jeździmy, jak nam się podoba. Dokładnie tak jak Tomasz Bodyl, który w terenie zabudowanym jechał z prędkością sto jeden kilometrów na godzinę. Stracił prawo jazdy na trzy miesiące. – Jechałem obwodnicą Lublina, szeroką, wielopasmową drogą. Po moim zatrzymaniu urzędnicy podnieśli tam dopuszczalną prędkość do siedemdziesięciu, a nic się tam nie zmieniło. Nie mam poczucia, że stwarzałem niebezpieczeństwo”. Autor przytacza to jako typową odpowiedź polskiego drogowego husarza, który lekceważył przepisy, bo przecież on jedzie szybko, ale bezpiecznie.

A ja mówię o patologii, jaką jest uznawanie, nie merytoryczne ustalanie reguł. Po pierwsze – nie jechałem 101 km/h, lecz tyle zmierzyla mi policja. A w Polsce to tylko teoretycznie to samo. Aby nie być gołosłownym: w kwietniu w „Wyborczej” opisałem sprawę prof. Artura Mezglewskiego, którego sąd uniewinnił od zarzutu przekroczenia prędkości („Policjantka posługiwała się niesprawnym radarem?”).

Profesor udowodnił, że radar był źle skalibrowany, przy czym policja poinformowała, że 15 innych kierowców dostało wówczas mandaty – a więc byli niewinni, a i tak trafili do szuflady z przekraczającymi prędkość piratami drogowymi, następnie zaś do statystyk, które później pokazują zatrważający obraz powszechnego zapier...

Po drugie, ograniczenie prędkości zostało tam podniesione z 50 do 70 km/h, przy czym sama droga nie zmieniła się ani na jotę. Nie skasowano jakiegoś przejścia dla pieszych, nie poszerzono pobocza. W ten sposób docieramy do przeznakowania oraz kafeonii wizualnej przy polskich drogach.

Często słyszymy pytanie, dlaczego polski kierowca w kraju nagminnie łamie przepisy, a wystarczy, że wyjedzie za granicę, i już staje się wzorem praworządności. Jest ono retoryczne, bo służy temu, by padła odpowiedź, że to z powodu kar i wysokich mandatów. Typowa, lecz nieprawdziwa.

Po prostu kierowca w Polsce jest nieustannie zdekoncentrowany przez coś, co w teorii ma się troszczyć o bezpieczeństwo pieszych, rowerzystów, innych słabszych uczestników ruchu drogowego. Z pewnością znacie państwo zasadę, że skrzyżowanie odwołuje ograniczenie prędkości. A czy jeszcze pamiętacie z kursu, że odwołuje również inne ograniczenia, zakazy czy nakazy? A to oznacza, że za każdą, nawet najmniejszą boczną uliczką administrator drogi musi ustawić znak przywracający to, co zostało zniesione.

I dlatego w tylu miejscowościach przy głównej ulicy co skrzyżowanie z małą osiedlową uliczką, czyli co 20-30 metrów, stoi las znaków „początek parkowania” – „koniec parkowania” – „początek parkowania” – „koniec...”, „droga dla rowerów” – „koniec drogi dla rowerów” – „droga dla rowerów” – „koniec...”. Już samo to sprawia, że kierowca, zamiast odruchowo jednym rzutem oka przyswajając naprawdę istotny komunikat bez odrywania uwagi od tego, co się dzieje na jezdni i w jej otoczeniu, dekoncentruje się, analizując, czy nie przegapił jakiegoś zakazu, nakazu i czy właśnie nie łamie przepisu. A gdy do takiej lawiny komunikatów do-

Utrwaliło się w świadomości Polaków, że przepisy dotyczą wyłącznie kierowców, a nie zarządców dróg czy pieszych

chodzą błyski – rzecz jasna różnej częstotliwości i w różnych kolorach – z mrugających reflektorami samochodów na billboardach, z diodowych szyldów reklamujących przydrożny kebab, salon piękności i market budowlany... Nieraz widziałem kierowców gwałtownie zwalnających lub zjeżdżających z jezdni na pobocze, bo nagle przed sobą albo w lusterku zobaczyli migające intensywne niebieskie światło.

Dla pełnego obrazu dopiszmy do listy raczej niespotykane w Niemczech, Szwecji czy Hiszpanii sytuacje typu „wydział drogowy postawił znak, a potem wydział zieleni zaplanował rewitalizację i posadził przed nim krzak” albo „wydział ruchu drogowego postawił znak, a potem wydział gospodarki przestrzennej wydał zgodę na billboard w tej samej lokalizacji”.

I kolejna typowa mrożąca krew w żyłach fraza: „przekroczył(a) prędkość w terenie zabudowanym”. Czytelnik oczami wyobraźni widzi samochód pędzący po krętych uliczkach śródmieścia, gdzie zza każdego węgła może wyskoczyć dziecko zapatrzone w smartfon. Tyle że codziennym doświadczeniem większości dzielnic polskich miast, nie mówiąc o śródmieściach, są kierowcy sunący zderzak w zderzak (kwestię raktwórczego diesla i dziesiątek godzin zmar-notrawionych w korkach zostawmy na boku, w tym tekście meritum jest bezpieczeństwo) 30 km/h i uważnie wypatrujący czerwonego światła (w przeciwieństwie do szoferów komunikacji miejskiej, którzy goniąc rozkład w słusznej sprawie – wszak prowadzą pojazd transportu zbiorowego, co czyni go moralnie uprzywilejowanym – nagminnie przeskakują na późnym czerwonym). Wciskamy pedał, gdy teren zabudowany staje się dwupasmówką z szerokim poboczem i rowem melioracyjnym oddzielającym jezdnię od szeregu hurtowni. Bo teren zabudowany to pojemna formuła: mieści się w niej zatłoczone śródmieście, obwodnica, fragment drogi ekspresowej czy nawet szczerę pole, zależnie od fantazji urzędników.

Nie bronię przekraczania prędkości. Wszyscy powinniśmy przestrzegać przepisów. Chcę tylko pokazać, że łatwo jest fero-wać wyroki, kogoś okrzyknąć piratem drogowym, bez znajomości wszystkich okoliczności.

Warto w tym miejscu wspomnieć o jeszcze jednej kwestii. Otóż na dobre utrwaliło się w świadomości Polaków, że przepisy dotyczą wyłącznie kierowców. Te, które określają limity prędkości czy zabraniają prowadzić auto po alkoholu, są rygorystycznie przestrzegane i w odczuciu społecznym (słusznym) dobrze, że się tak dzieje. Ale przecież przepisy dotyczą też zarządców dróg, nakazują im utrzymywać drogi w należytnym stanie – lecz ten przepis okazuje się martwy, o czym przekonał się każdy, kto dobił zawieszenie w dziurze powstałej w jedną noc podczas słynnego „przejścia przez zero” (jak to się dzieje, że Niemcy, z podobnym klimatem, jakoś nie doświadczają tego zjawiska) albo uprawiał słalom między zapadniętymi studzienkami rozmieszczonymi losowo co 20 metrów (jak to się dzieje, że Włosi czy Francuzi potrafią umieścić studzienki na równi z asfaltem i w jednym szeregu?).

Podobnie istnieją przepisy mówiące, jak powinny być oznakowane drogi czy jak policjant powinien skalibrować radar. Lecz o ile kierowców karze się z całą surowością, o tyle innym podmiotom czy instytucjom łamanie przepisów uchodzi na sucho i nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby wyciągnąć konsekwencje wobec winnych np. złego oznakowania. Podobnie jak, nie licząc sporadycznych akcji policji, nikomu nie przyjdzie do głowy wyciągać konsekwencje wobec ignorujących czerwone światło rowerzystów czy pieszych.

Tu mój ulubiony lokalny przykład. Często bywam w rejonie ulic Ruska – Nadstawna – Nowy Plac Targowy – Targowa w Lublinie i zawsze mam wrażenie, że to obszar wyjęty z obowiązującego kodeksu drogowego. Obok siebie znajdują się uczęszcza-

ny dworzec autobusowy oraz duży targ. Ludzie się tam roją, kupujący z siatkami mieszają się z podróżnymi z bagażami i wszyscy oni poruszają się bez ładu i składu, często po prostu środkiem jezdni, przystając na pogaduszki. Widok staruszki obładowanej siatkami drepczącej środkiem jezdni absolutnie nikogo nie dziwi.

Powie ktoś: miasta mają być dla ludzi i w takim Berlinie... Pełna zgoda. Ale w takim razie zorganizujmy ruch uliczny w Lublinie czy Warszawie tak jak w Berlinie czy Amsterdamie, zamiast oczekiwać od kierowców, że będą łamać przepisy. Bo – uważa, uwaga – zgodnie z kodeksem kulturalne i godne pochwały przyhamowanie i skinięcie na pieszego, by – jako słabszy i mniej uprzywilejowany – przeszedł w miejscu niedozwolonym, bo do pasów musiałby nadłożyć dziesiątki metrów, jest kierowaniem ruchem drogowym. A kierować ruchem drogowym mogą tylko osoby uprawnione.

Żadne kary i zakazy nie powstrzymają pewnego typu ludzi przed zapier... i łamaniem przepisów drogowych, tak samo jak żadne kary i zakazy nie powstrzymują pewnego typu ludzi przed zwyzrywaniem geja albo pobiciem przechodnia o innym kolorze skóry



Tu przykład znakomicie ilustrujący i podwójne standardy publicystów czy aktywistów, i absurd literalnego trzymania się przepisów dla zasady bez związku z rzeczywistym bezpieczeństwem.

Co rusz w lokalnych portalach można przeczytać o Niemcu, Duńczyku czy Szwedzie, który przeszedł lub przemknął rowerem na czerwonym i był zdumiony, kiedy kilka metrów dalej patrol uprzejmie poprosił go o dokumenty. Przecież w zasięgu wzroku nie było żadnego samochodu, pod który mógłby wpaść, ani pieszego, którego mógłby potrącić, ulica była kompletnie pusta! Absurd? Absurd. Ale zgodny z przepisami. A przepisów trzeba przestrzegać, przecież – i tu złośliwie przytoczmy argumentację, jaką zwykle stosuje się wobec kierowców – Niemcy czy Szwedzi nie tłumaczą się, że złamali przepis, kierując się zdrowym rozsądkiem, nie literą, od tego są przepisy, żeby od nich nie było wyjątków, i należy je bezwzględnie egzekwować, bo gdyby każdy je naginał, toby w Niemczech było niebezpiecznie jak w Polsce.

Polskie podejście do ruchu drogowego doskonale ilustruje historia opisana w książce Bernarda Newmana „Rowerem przez II RP”. Oto pierwsza rzecz, jaka uderza Anglika na naszej ziemi. Zaraz za portem droga gwałtownie się pogarsza, więc wjeżdża rowerem na chodnik – i natychmiast łapie go policjant, wlepiając mu mandat. Bezcelny, przyzwyczajony do brytyjskiego niezdyscyplinowania Anglik wyklóca się, że nic złego nie zrobił, jezdnią nie dało się jechać, a chodnik był pusty, ale policjant był nieugięty. Odpuścił, kiedy na chodniku pojawił się kolejny rowerzysta – a był nim policjant.

Autorom i autorkom zajmującym się ruchem drogowym bardzo podoba się niedawno wprowadzone prawo chroniące pieszych, w którym znalazł się m.in. zapis, że każdemu pieszemu sygnalizującemu – czyli np. zbliżającemu się do pasów, nawet jeśli dopiero z pewnej odległości – zamiar przejścia przez jezdnię należy się pierwszeństwo. To słuszne prawo spotkało się również z krytyką, często – taka specyfika internetowych forów – niewybredną. Lecz jej ton i autorstwo, typowe dla anonimo-

wych internetowych naparzanek, polemiści szybko przypisali ogółowi kierowców.

„W tych tyradach o pieszych świętych krowach przebijają poczucie wyższości, siły, władzy. To opowieść o tym, do kogo należy jezdnia, kto na kogo musi poczekać, kto jest w tym układzie ważniejszy, silniejszy. Mam tu figurę polskiego kierowcy – egoisty i egocentryka, którego potrzeby są ważniejsze od potrzeb innych. Teraz ja jadę, ja się spieszę, najważniejsze jest, żebym to ja dojechał na czas, pierwszy. Potrzeby innych mogą poczekać, bo przecież ten inny – pieszy – jest słabszy, w podtekście: biedniejszy, gorszy jakiś. Kolejny raz społeczeństwo zza samochodowej szyby nie istnieje. Istnieje ja, a ja się nie mogę zatrzymywać. Pieszy najwyższej poczeka. Relacja władzy, pan i poddany, szlachecka wolność kontra poddaństwo: skąd my to w Polsce znamy?”

Są w tej gorzkiej narracji pozory logiki: rzeczywiście samochód trudniej zatrzymać

niż pieszego, samochód jest większy, szybszy, twardszy i powoduje większe obrażenia, dlatego kierowca ponosi większą odpowiedzialność. To jak z paleniem – większe szkody wyrządza niepalącemu ten, kto pali, niż niepalący, zakazując palącemu palenia.

Problem w tym, że Józefiak opisuje debili za kółkiem ścigających się samych z sobą i swoim niepewnym ego w podrasowanych bmw. Albo zwykłych chamów, jakich nie brakuje w każdym społeczeństwie. Lecz ich bezmyślność czy najgorsze intencje przypisuje się wszystkim kierowcom – również starszej pani, która się zagapiła i jadąc kodeksowe 49 km/h, przetacza się nawet nie na późnym pomarańczowym, ale na pełnym czerwonym; goniącemu ze szkoły do szkoły w ramach ćwierci etatu tu, połówki etatu tam nauczycielowi czy ledwo widzącemu na oczy ukraińskiemu budowlancowi, któremu ze stresu czy zmęczenia ucieka uwaga i w ostatniej chwili hamuje przed pasami; studentce czy studentowi, którzy dopiero co zrobili prawko i choć bardzo się starają jeździć przepisowo, to jeszcze nie wyrobili sobie odruchów i wpadają w decyzyjny dygot (pani z piskiem zbliża się, to się liczy jako wchodzi czy jeszcze nie, hamować czy przejechać? – a auto cały czas się toczy i, o Boże, ona już wchodzi na pasy).

Każde z nich złamało przepis, każde stworzyło zagrożenie – ale czy to czyni z nich aroganckich jaśniepanów powielających feudalne schematy? Albo dyszących nienawiścią do pieszych (którzy, jak wiadomo, poruszają się wyłącznie pieszo i nigdy nie wsiadają za kółko) psychofanów zapier...? Czym to się różni od każdej innej stereotypizacji i szufladkowania, które zgodnie potępiamy jako tworzące podziały i nakręcające negatywne emocje?

A przy okazji – i znów komentatorzy pomijają stan infrastruktury. W świetnej, poświęconej komunikacji publicznej – czy raczej jej upadkowi i jego ponurym konsekwencjom – książce Olgi Gitkiewicz „Nie zdążę” dość często pojawia się motyw niebezpiecznych przejść dla pieszych, przed którymi kierowcy powinni zwalniać. Absolutna zgoda – powinni. Rzecz w tym, że samo pojęcie „niebezpieczne przejście dla pieszych”, będące przecież sprzecznością

i czymś, co woła o pomstę do nieba, nie wywołuje żadnej refleksji. Traktuje się to jako coś absolutnie naturalnego. Ani autorzy tych publikacji, ani wielu z nas nie zastanawia się, dlaczego są w ogóle niebezpieczne przejścia, co zrobić, żeby stały się bezpieczne. Nie dążymy do tego, żeby mieć bezpieczne przejścia dla pieszych, tylko cały wysiłek idzie na to, żeby i kierowcy, i piesi dostosowywali swoje zachowanie to tego, że te przejścia są niebezpieczne.

Zna to każdy kierowca, nie tylko ten pozbawiony wyobraźni arogant w podrasowanej beemie: czarno-szary zimowy wieczór, nieoświetlone lub ledwo oświetlone przejście, pieszy ubrany cały na czarno wkracza na nie z pogrążonego w półcieniu chodnika (gdyż z jakichś powodów w Polsce latarnie oświetlają jezdnie, a nie chodniki; najwidoczniej piesi mają wbudowane reflektory, a samochody nie). Oczywiście, moim obowiązkiem jako kierowcy jest mieć oczy z tyłu głowy i baczenie na najsłabszego uczestnika ruchu – ale może jednak dałoby się to przejście doświetlić albo nawet podnieść ponad poziom jezdni?

W kwestii bezpieczeństwa na drogach zapętliliśmy się: domagamy się tego, co potępiamy, choćby w przypadku niedawnych reform kodeksu karnego, prawiać o edukacji, prewencji, kształtowaniu dobrych nawyków, nieskuteczności represji – czyli kar, więcej kar, ostrzejszych kar!

Wydaje się nam, że wystarczy więcej zakazów, nakazów i gróźb, by drogi były bezpieczniejsze. Tylko to tak nie działa – większość tych, którzy powodują wypadki, nie wsiada za kółko w przeświadczeniu, że wszystko im wolno.

A ktoś taki, jak sprawca głośnego wypadku na autostradzie A1, w którym spłonęli jadący na wakacje rodzice z małym dzieckiem, i tak będzie zapier... w przekonaniu, że jego status społeczny go do tego uprawnia, a poza tym jest wybitnym kierowcą w perfekcyjnej maszynie, wszystko przewidzi, nic mu się nie przydarzy, a nawet jeśli, to jest nietykalny. To kwestia mentalu – tak samo jak perspektywa surowych kar za naruszenie nietykalności cielesnej nie powstrzymuje napakowanego dresiarza przed zastraszeniem współpasażerów w autobusie. I jak groźba za przestępstwo z nienawiści nie powstrzymuje homofobów, rasistów czy zwykłych nienawistników przed zwyzrywaniem geja czy osoby niebinarnej albo pobiciem przechodnia o innym kolorze skóry.

Umyka nam z pola widzenia to, za czym tak gardlujemy w innych dziedzinach organizacji państwa, przestrzeni i życia – rozwiązania systemowe, w których zaszębiają się przemyślana, przyjazna dla wszystkich infrastruktura i otoczenie (organizacja ruchu, oznakowanie, oświetlenie, konstrukcja dróg) oraz wychowanie, motywacja pozytywna i budowa zaufania (czyli szkolenie na wszystkich poziomach – kierowców, inżynierów nauki jazdy i egzaminatorów).

Dlatego nic się nie zmienia, jeśli chodzi o te podstawowe kwestie? Bo administratorom dróg i lokalnym urzędnikom brakuje dobrej woli, kompetencji oraz pieniędzy. I te czynniki napędzają się wzajemnie.

Jaworzno, które uchodzi za najbezpieczniejsze polskie miasto, osiągnęło to, wydając onegdaj na zmianę infrastruktury drogowej 500 mln zł – a mówimy o mieście średniej wielkości. W skali kraju potrzebne są więc miliardy. Natomiast gniewne, pełne potępieńa posty pod adresem kierowców wrzucające raz po raz przez premiera Morawieckiego, policję czy drogowców cały czas są darmowe. Kolejne zmiany przepisów podwyższające kary dla kierowców kosztują tyle co papier, na którym zostały opublikowane – a przynoszą konkretny pieniądź dla budżetu. To, że efektem są zabici i ranni na polskich drogach, nikogo specjalnie nie martwi – bo nadal życie i zdrowie ludzkie są w naszym kraju najtańsze. ●

LATAJ, ALE NIE LATEM.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

I MOŻE NIECO RZADZIEJ

Ludzie będą podróżowali, bo mają taką potrzebę

Z **BERIT WILLUMSGAARD**, PREZESKĄ ALBATROS TRAVEL, ORAZ **JESPEREM MÄKELÄ-DICHMANNEM**, SZEFE MARKETINGU TEJ FIRMY, ROZMAWIA **ALEKSANDRA SZYŁŁO**

Czy katastrofa klimatyczna spowoduje zasadnicze zmiany w globalnej turystyce? Coraz więcej ludzi w Polsce, ale i w innych wschodzących gospodarkach, jak Chiny, stać, by polecieć chociaż raz w roku, a najlepiej dwa, na ciepłą plażę, na tanie all inclusive. To pozostawia nie tylko ogromny ślad węglowy, ale też zmienia część naszej ziemi w plażowe disneylandy, pogrodzone hotelowe plaże z ogromnymi basenami i zjeżdżalniami oraz drinkami. Jak długo to wytrzymamy?

BERIT WILLUMSGAARD: Kiedy my z mężem zaczynaliśmy się zajmować turystyką, nie mówiło się o zmianie klimatycznej i dylematach etycznych związanych z podróżowaniem. Dziś nasza córka odpowiada w firmie właśnie za zrównoważony rozwój, co samo w sobie pokazuje zmianę.

Ale turystyka ma wiele imion. Odpowiadam pani trochę nie w swoim imieniu, bo nasza firma nie specjalizuje się w tanich wczasach all inclusive. My oferujemy raczej podróże niż wczasy. Nasi klienci raczej nie spędzają większości czasu nad basenem, naprawdę poznają kraj, i to w taki sposób, aby korzyść była obustronna, nie tylko pod względem finansowym, ale też wymiany kulturowej.

Owszem, zdarza się słyszeć, że podróżowanie samo w sobie jest nieodpowiedzialne, bo każdy lot zanieczyszcza środowisko, i podszycie fałszem, bo nawet przy najlepszych chęciach między turystą a miejscowymi nie ma równej relacji.

Ale drastyczne ograniczenie turystyki nie jest rozwiązaniem. Czasy pandemii pokazały, że to oznaczałoby zapaść finansową i regres dla wielu lokalnych społeczności, które żyją z tego od pokoleń. W afrykańskich parkach narodowych w okresie COVID-u usypiano zwierzęta, bo nie było środków na ich utrzymanie.

I podróżowanie wcale nie musi się wiązać z mimowolną wyższością czy egzotyzowaniem mieszkańców. My współpracujemy z lokalnymi, rodzinnymi usługodawcami. W Kazachstanie czy Uzbekistanie nasi klienci są goszczeni przez tamtejsze rodziny. Podróżnik wchodzi, na ile to możliwe, w kraj, może poznać prawdziwy smak tamtej kuchni, otrzeć się o rzeczywiste zwyczaje. Spotyka nie nisko opłacanych pracowników folkloru, którzy odgrywają rolę dla spragnionego egzotyki turysty, ale autentycznych ludzi w ich codzienności, dowiaduje się, jak żyją naprawdę. I zostawia pieniądze im bezpośrednio, więc korzystają obie strony.

Chodzi o to, żeby pieniądze klientów w jak największej części

szły do rodzinnych przedsiębiorców, a nie międzynarodowych korporacji. A przy okazji prowadzimy działalność charytatywną, sponsorując np. szkołę w Indiach lub opiekę medyczną dla plemion na Borneo. Czyli w miejscach, gdzie bez naszej pomocy by tego nie było.

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Chciałbym, żebyśmy w turystyce wzorowali się trochę na backpackersach. To taka postawa, kiedy wyruszamy w podróż również po edukację, z ciekawością i otwartością na innych. Uczymy się siebie nawzajem. Przy takim podejściu zwykle nie ma miejsca na rasizm, wykorzystywanie czy wyższość.

A korzyści dla obu stron mogą być nieoczywiste i długofalowe. My w Kopenhadze bardzo uważnie segregujemy śmieci, bo już się tego nauczyliśmy, a poza tym jest nam łatwiej, bo jesteśmy na innym etapie, żyjemy w zamożnym, wysoko rozwiniętym państwie. Jeśli młody duński inżynier poleci z nami do Manili i zobaczy na własne oczy, na czym tam polega i z iloma mechanizmami gospodarczymi, społecznymi wiąże się problem plastiku, to po pierwsze, w przyszłości mniej pryncypialnie będzie się odnosił do cudzych wyborów czy postaw. A po drugie – może będzie w stanie zaproponować rozwiązanie.

Ale wasze wycieczki są drogie. Gdy dla kogoś jest poza zasięgiem 10 tys. zł za zrównoważony, odpowiedzialny wyjazd, to chce pojechać chociaż za 1,5 tys. i oderwać się od własnej, też nie zawsze kolorowej codzienności, odpocząć po roku ciężkiej pracy w wakacyjnym fast foodzie, opalić się, wypić drinka i zrobić zdjęcie przy jakimś znanym pomniku. Możemy oceniać to krytycznie, ale mówimy przecieć o demokratyzacji, uprząstęczeniu przywileju. Czy turystyka będzie znów tylko dla bogatych?

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Zgoda, ten masowy pęd na świecie, żeby polecieć gdzieś daleko i poleżeć nad basenem z ciepłą wodą, to jest problem. Ale coraz więcej lu-

dzi na to stać i nie da się przecieć tego zabronić.

BERIT WILLUMSGAARD: Jednak katastrofa klimatyczna sama wymusza tutaj zmianę. Miejsca, do których tradycyjnie lataliśmy opalać się na plaży, stają się zbyt gorące. Trawią je pożary.

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Mam szczęście mieszkać w Kopenhadze, która jest wspaniałym miejscem na letni odpoczynek. Mamy czystą plażę z czystą wodą, w której można pływać. Mamy zielone tereny i drogi rowerowe. Moja żona pochodzi z Helsinek, które mają podobne zalety. Gdy mieszkasz w takim miejscu, nie musisz nigdzie lecieć tylko po to, żeby chwilę odpocząć, zrelaksować się, nacieszyć przyjazną przestrzenią, nabrać zdrowia.

Przyszłością jest takie dbanie o nasze miasta, żeby dobrze nam się w nich żyło na co dzień. A turystyka niech będzie czymś innym, czymś więcej. Czymś nadzwyczajnym, poszerzającym horyzonty, w pewnym sensie odświętnym. Owszem, również droższym, ale jeśli potrzebę relaksu, kontaktu z przyrodą, zapania oddechu będziemy mogli zrealizować u siebie, a polecimy gdzieś krajoznawczo drożej, ale raz w roku, to może rachunek wyjdzie zbliżony?

W Grecji od roku protestują mieszkańcy turystycznych miejscowości, którzy mają dosyć tego, że na plażę nie mogą po prostu pójść z własnym ręcznikiem, bo wszędzie w okolicy trzeba płacić za leżak czy parasol. W Nowym Jorku władze wprowadziły ograniczenia dla krótkoterminowego najmu apartamentów, bo turyści zamienili codzienne życie obywateli miasta w piekło.

BERIT WILLUMSGAARD: Jestem zdecydowaną zwolenniczką rozwiązań mających na celu ochronę dobrostanu mieszkańców lokalnych społeczności. Turystyka nie może być rozdeptywaniem i pozostawianiem po sobie śmietnika.

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Nadzieja jest w rozwoju mniej oczywistych kierunków, ale też

Osoby 50 plus to jest ten rodzaj turysty, który raczej nie oszczędza na dobrej kawie, prędzej wybiera dobrą lokalną restaurację niż fast food, nie rzuca plastikowego kubeczka na trawnik, nie imprezuje hulaśliwie po nocach. Interesy i potrzeby jego i „lokalsów” są zwykle zbieżne

w turystyce pozasezonowej, w zmianie nawyków. Czy wszyscy muszą lecieć do Rzymu latem? Czy Rodos staje się brzydsze późną jesienią?

Rodzina z dziećmi musi lecieć w sezonie, bo dzieci wtedy mają wakacje w szkole.

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Rodzina z dziećmi w wieku szkolnym tak. Ale już 30 proc. naszych klientów to single. Zazwyczaj to osoby w wieku 50 plus, które chcą w interesującym towarzystwie zobaczyć coś nowego, przeżyć przygodę, czegoś się dowiedzieć. Ten sektor mocno się rozwija ze względu na zmiany społeczne – nasze zachodnie społeczeństwa starzeją się, a jednocześnie ludzie dłużej pozostają w pełni sprawni i w dobrym zdrowiu.

Turystyka singli i osób starszych rozwija się intensywnie w ostatnich dziesięciu latach. Większość naszych klientów z tego sektora to dojrzałe kobiety. Żyją dłużej, chcą zrobić coś dla siebie, mają w sobie ciekawość. A to jest ten rodzaj turysty, który raczej nie oszczędza na dobrej ka-

wie, prędzej wybiera dobrą lokalną restaurację niż fast food, nie rzuca plastikowego kubeczka na trawnik, nie imprezuje hulaśliwie po nocach. Interesy i potrzeby jego i „lokalsów” są zwykle zbieżne.

BERIT WILLUMSGAARD: Każdego, kto może sobie na to pozwolić, namawiam do podróży poza sezonem. Nie róbmy sobie tego, nie ustawiamy się na pół dnia w kolejce w lipcu do najpopularniejszego muzeum.

W sezonie czy poza, ślad węglowy to ślad węglowy. Czy nie byłoby odpowiedzialnie ograniczyć loty?

BERIT WILLUMSGAARD: Ludzie będą podróżowali, bo mają taką potrzebę. Na krótszych trasach dobrym wyjściem są pociągi. No i czekam na samoloty elektryczne. Przyszłość jest w lepszej technologii, nie w zakazach.

A co z podróżami służbowymi? Czy to nie hipokryzja, że politycy i aktywiści latają na odległe kontynenty na szczyty klimatyczne?

BERIT WILLUMSGAARD: Pandemia nauczyła nas, że wiele spraw służbowych możemy z powodzeniem załatwiać online. W takich sprawach jestem zwolenniczką platform typu Teams.

Czyli państwa biuro pracy jest zdalnie?

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Część pracowników ma możliwość pracy zdalnej, ale nie ukrywam, że lubimy się spotykać. Spotkania są ważne. Inaczej się pracuje, kiedy pewne rzeczy dyskutuje się na żywo w grupie, a inaczej, jak każdy w swoim domu skupia się wyłącznie na swojej działalności. Ale praca stacjonarna nie musi się wiązać z jakąś wielką emisją. Ja do pracy chodzę pieszo, zajmuje mi to dziesięć minut.

BERIT WILLUMSGAARD: Ja jeżdżę autem, bo mam daleko, pół godziny samochodem, transportem publicznym byłoby znacznie dłużej. Ale wyjeżdżam przed korkami i wracam po nich, wieczorem, więc pocieszam się, że zużywam znacznie mniej paliwa i wy-

twarzam mniej smogu – bo przecieć największym problemem samochodów w miastach są korki, ciągle zwalnianie, ruszanie, stanie na pracującym silniku.

Na szczęście w firmie pracujemy całą rodziną, mąż, dorosłe dzieci, więc jest to też miejsce naszych spotkań. Czyli niestety jadę autem do pracy, ale w zamian nie uruchamiam go w weekend, żeby zobaczyć się z bliskimi.

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Jeśli chodzi o klientów, to

99 proc. wycieczek sprzedajemy online. Pozostaje ten 1 proc. osób, które wolą przyjść do biura, obejrzeć folder i porozmawiać z pracownikiem biura podróży. W Warszawie akurat jeszcze kilka lat temu dużo sprzedawaliśmy stacjonarnie, ale COVID to zmienił. Po pandemii Polakom pozostał już zwyczaj kupowania w sieci.

Kiedy i gdzie byli państwo ostatnio na wakacjach?

BERIT WILLUMSGAARD: Ostatnio to poleciał mój mąż. Na siedemdziesiąte pierwsze urodziny poleciał do Afryki, zobaczyć miejsca, których wcześniej nie widział, poza znanymi szlakami. Spędził tam półtora miesiąca. Czasem po prostu kładł się i patrzył w gwiazdy. Dla niego to trochę odpoczynek, ale trochę też praca. Píše książki podróżnicze i zawsze robi rozeznanie na potrzeby naszej firmy. My się już od tego nie odetniemy. Podróże, które ja mam w planach, Grenlandia, Afryka Południowa, to też mój taki coroczny objazd „naszych” miejsc. Rodzinnie wybieramy się zimą na narty do Norwegii. Ale tam nie musimy lecieć, mamy drogę morską i lądową.

JESPER MÅKELA-DICHMANN: Ja spędziłem urlop w Helsinkach, rodzinnym mieście żony. Ale przyznaję, jesteśmy na etapie planowania podróży lotniczej – naszej podróży marzeń, do Afryki. Wyobrażam sobie, że tam zobaczę, jak narodziło się życie. ●

OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

”

Terapia par prowadzona przez dwójkę terapeutów to bardzo skuteczna metoda pracy. Agata i Robert dzielą się bogatym doświadczeniem z pracy z parami, pokazując ich nieoczywiste dynamiki. Ciekawa, zaskakująca, pozbawiona pruderii i nowoczesna – taka jest "Sztuka bycia razem".

MARTA NIEDŹWIECKA

Robert Kowalczyk
Dawid Krawczyk
Agata Stola

Sztuka bycia razem

JAK BYĆ RAZEM W ZWIĄZKU, W ŁÓŻKU I... W ŻYCIU

NOWY TOM BESTSELLEROWEJ SERII

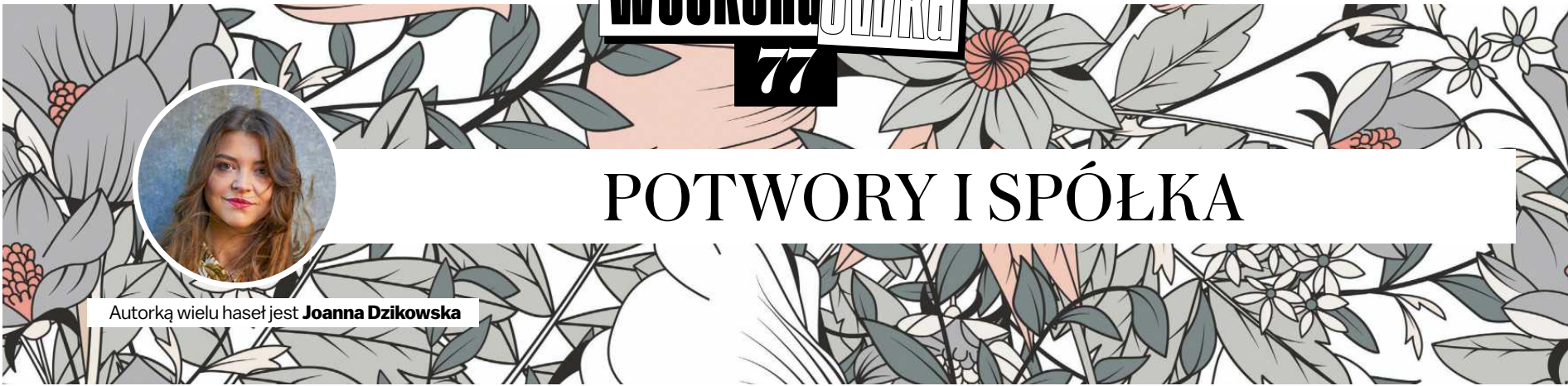
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA **K** KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

Wydawnictwo Agora

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



weekendówka
77

POTWORY I SPÓŁKA

Autorką wielu haseł jest **Joanna Dzikowska**

W czerwcu 1953 roku Nowy Jork zaatakował Rhedosaurus – gigantyczny dinozaur, obudzony z hibernacji w wyniku prób atomowych prowadzonych za kręgiem polarnym. Film „Bestia z głębokości 20 000 sążni” zarobił całkiem dobre pieniądze, zebrał pochwalne recenzje choćby za efekty specjalne, a AFI (Amerykański Instytut Filmowy) nominował tytuł do 10 najlepszych amerykańskich filmów science fiction (ostatecznie „Bestia...” na listę nie trafiła, przewodzi jej „2001: Odyseja kosmiczna”).

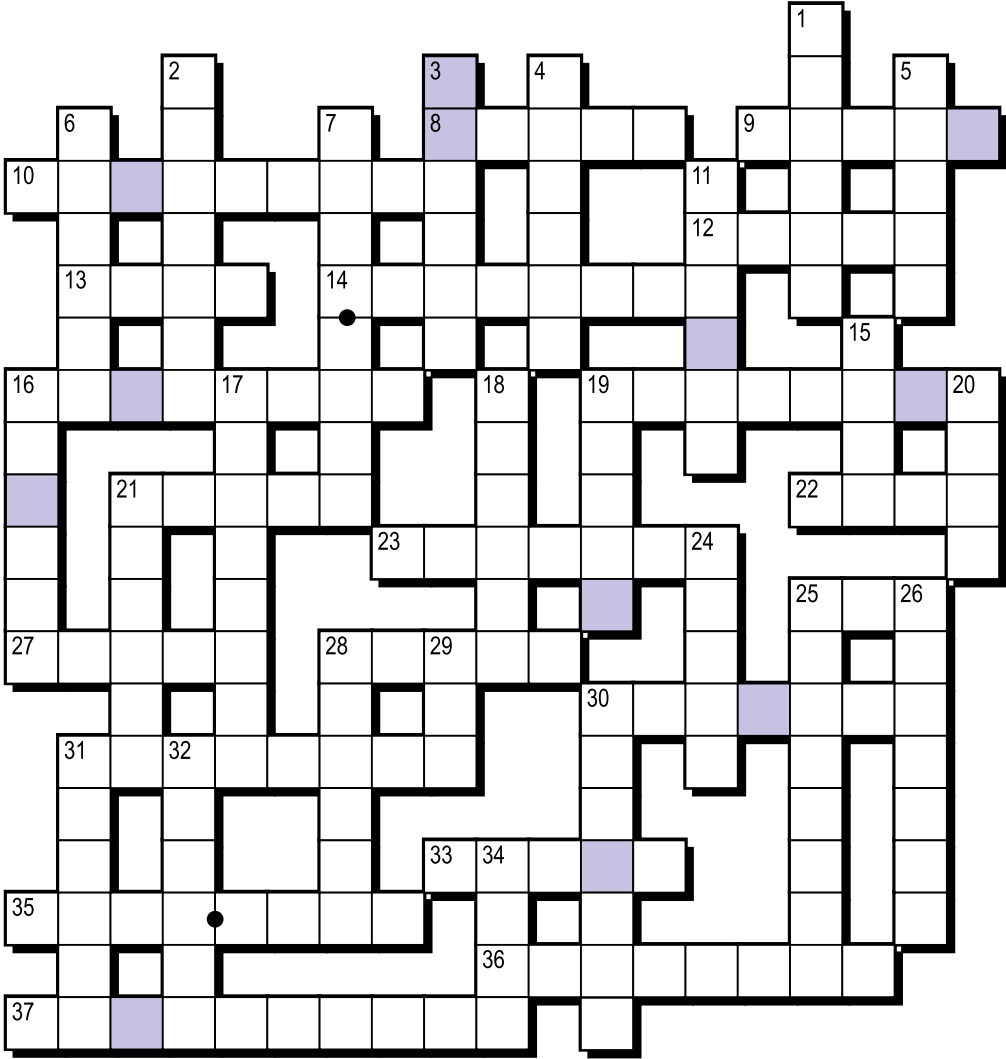
Ale ekranizacja opowiadania Raya Bradbury’ego najbardziej zaskoczyła tym, że stała się bezpośrednią inspiracją dla innego potwora, który zrobił znacznie większą karierę niż Rhedosaurus, a światło dzienne ujrzał 3 listopada 1954 roku.

Mowa o Godzilla. Jeden z najsłynniejszych filmowych monstrów, prawdziwa ikona Japonii, początkowo miał przypominać jaszczura, ale producent Tomoyuki Tanaka z tokijskiego studia Toho nie chciał, by za bardzo przypominał o rok starszego poprzednika z USA. Porzucono też projekt uczynienia z Godzilla wielkiej ośmiornicy (pomysł eksperta od efektów specjalnych Eijiego Tsuburayi), skrzyżowania wieloryba z gorylem czy bestii z głową w kształcie grzyba. Choć dwie ostatnie wizje wywarły na potwora wpływ istotny. Otóż imię Godzilla – po japońsku Gōjira – to krzyżówka słów „gorira” (goryl) i „kujira” (wieloryb). Zaś grzyb to oczywiste nawiązanie do broni atomowej, która Godzillę zbudziła i której alegorią było właśnie pustoszące Japonię monstrum.

Nie jest to bowiem sobie taki zwykły film s.f. o gnębiącym ludzkość potworze, lecz obraz ukazujący strach przed zagrożeniem atomowym („Godzilla” powstała zaledwie 9 lat po zrzuconiu bomb na Hiroszimę i Nagasaki), podnoszący problem odpowiedzialności ludzi nauki wobec świata, stawiający pytanie o granice użycia nowych technologii, kondycję ludzkości czy generalnie o granice dobra i zła i obawy o przyszłość. Film niezwykle, imponujący przesłaniem i efektami specjalnymi, który wyznaczył drogę całemu gatunkowi podobnych obrazów – kaijū-eiga (filmów o potworach).

Honorując przypadającą w piątek rocznicę oficjalnych narodzin Godzilli (choć pierwszy pokaz odbył się 27 października 1954 roku), zapraszamy do „Weekendówki” o filmowych (ale nie tylko!) potworach wszelakich. A o pomoc poprosiliśmy Joannę Dzikowską, dziennikarkę wrocławskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, której talenty i zainteresowania naprawdę trudno jest zliczyć. Potwory i stwory wszelakie, jak sami się przekonacie, też do nich należą! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 76 z 28.10:

- Poziomo:**
1) Lukas 5) Ekier
8) Blechacz 11) pomnik
12) Piotr Adamczyk
14) sonata 15) koncert
16) ronda 18) nauczyciel
20) zachwyt 23) Chopin
24) nominał 25) świt
30) wódka 31) fortepian
33) uczestniczka
34) scena 35) piano

- Pionowo:**
2) kochanka 3) Szafarnia
4) werdykt
6) Romantyczność
7) kwiaty 9) Lato
w Nohant 10) Zimmerman
13) Czerny 14) skrzypce
17) planetoida 19) ucho
21) triumfator 22) mazurki
26) edycja 27) Gazebo
28) Jerzy 29) finał 32) Nos

HASŁO:
**WIELKI
KOMPOZYTOR**

POTWORY

Hasła Joanny Dzikowskiej oznaczono inicjałami (J.D.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
8) „coś” na Antarktydzie, ale w innym tłumaczeniu (J.D.)
9) „piramidalna” seria filmów grozy
10) tańczący klaun, który przegrał z Klubem Frajerów (J.D.)
12) ludojad z nerwową nutą w tle (J.D.)
13) najbardziej krwiożerczy w „Parku Jurajskim”

- 14) drżyj, Japonio, przed nią!
16) w dżungli ze Schwarzeneggerem (J.D.)
19) „...rozrabiają”, jeśli je zmoczysz albo nakarmisz po północy (J.D.)
21) smok, który ma coś wspólnego z Sherlockiem (JD)
22) ... Voldemort albo ... Vader
23) pajęczycza z „Władcy Pierścieni”
25) nawiedzony – w niejednym filmie grozy
27) przeraża w „To”
28) woźny ... z horroru „Silent Hill”
30) w „Labiryncie fauna”: demon z gałkami ocznymi w dłoniach
31) potwór w kapeluszu z dziecięcej książeczki,

- który „słyszysz swój głos, zna każdy krok” (J.D.)
33) chorobliwy lęk
35) w tej sadze Sarlacc miał dokonać egzekucji Luke’a (J.D.)
36) krwiożercze stworki, które uciekły z więziennej asteroidy (J.D.)
37) „zjadacz przeszłości” ze sfilmowanego opowiadania Stephena Kinga

- Pionowo:**
1) najstraszniejsza laleczka
2) przywódca cenobitów z serii „Hellraiser”
3) ... Krueger („Koszmar z ulicy Wiązów”)
4) imię potwora ze szkockiego jeziora (J.D.)
5) na tej planecie czerwie pustyni (J.D.)

- 6) wsunął wątróbkę rachmistrza z fasolką, popijając świetnym chianti (J.D.)
7) kawał małpispzona!
11) połknął kapitana Jacka Sparrowa
15) ... grozy (oglądamy i drżymy)
16) warował w obronie Kamienia Filozoficznego w Hogwarcie (J.D.)
17) gadzina z filmu, w którym zagrała Jennifer Lopez
18) „...w czerni” pilnują, żebyś nie dowiedział się o istnieniu kosmitów (J.D.)
19) „strażnik galaktyki”, z niewielkim zasobem słów (J.D.)
20) zmarł na wygnaniu na planecie Dagobah (J.D.)

- 21) dziewczynka, która wypęzła z telewizora (J.D.)
24) android, który zniszczył sekrety Pana Kleksa
25) przeciw niemu Expecto Patronum (J.D.)
26) potwory
28) tak nazwano potwora z filmu „Projekt: Monster”
29) bojaźń, obawa
30) „... Rim”, film o potworach z dna oceanów
31) potworny książę, który podarował Belli bibliotekę (J.D.)
32) demon, z którym Gandalf walczył w podziemiach Morii
34) ksenomorf na Nostromo (J.D.)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!